



# CYKLON

PRZEMYSŁAW SEMCZUK

Prawda, której nikt nie chciał poznać



Świat Książki

# Spis treści

Karta tytułowa

Karta redakcyjna

Prolog

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Rozdział 5

Rozdział 6

Rozdział 7

Rozdział 8

Rozdział 9

Rozdział 10

Rozdział 11

Rozdział 12

Rozdział 13

Rozdział 14

Rozdział 15

Rozdział 16

Rozdział 17

Rozdział 18

Rozdział 19

Rozdział 20

Rozdział 21

Od autora

Bali się całe życie

CYKLON  
PRZEMYSŁAW SEMCZUK

  
Świat Książki  
wydawnictwo

Wydawca  
Magdalena Hildebrand

Redaktor prowadzący  
Tomasz Jendryczko

Redakcja  
Jerzy Lewiński

Korekta  
Jadwiga Piller  
Mirosława Kostrzyńska

Copyright © by Przemysław Semczuk, 2020  
Copyright © for this edition by Dressler Dublin Sp. z o.o., 2020

Wydawnictwo Świat Książki  
02-103 Warszawa, ul. Hankiewicza 2

Warszawa 2020

Księgarnia internetowa: [swiatksiazki.pl](http://swiatksiazki.pl)

Skład i łamanie  
Laguna

Dystrybucja:  
Dressler Dublin Sp. z o.o.  
05-850 Ożarów Mazowiecki  
ul. Poznańska 91  
e-mail: [dystrybucja@dressler.com.pl](mailto:dystrybucja@dressler.com.pl)  
tel. + 48 22 733 50 31/32  
[www.dressler.com.pl](http://www.dressler.com.pl)

ISBN 978-83-813-9640-0

Skład wersji elektronicznej  
[pan@drewnianyrower.com](mailto:pan@drewnianyrower.com)

*Każda rodzina ma szafę, w której trzyma trupy.  
Czasem wypadają...*

Na motywach prawdziwych wydarzeń.





# PROLOG

## *Sierpień 1944 roku*

Słońce stało już w zenicie. Dzień był ładny, choć jak na drugą połowę sierpnia niezbyt gorący. Na plac apelowy zapędzono wszystkich więźniów. Domyślali się, co się wydarzy. Przed dwoma dniami na skraju obozu męskiego w Birkenau postawiono szubienicę. Druga, taka sama, pojawiła się w obozie kobiecym.

Punktualnie w południe z baraku wyprowadzono niewysokiego młodego mężczyznę w brudnym, postrzępionym pasiaku. Miał związane z tyłu ręce. Lagerkapo Jupp Windeck wprowadził go na podwyższenie. Więzień od razu stanął na stołku, nad którym wisiała pętla.

Esesman stojący plecami do szubienicy wyjął kartkę i zaczął po niemiecku czytać wyrok. Mężczyzna, nie czekając, aż skończy, przekręcił głowę, tak że znalazła się w pętli, a potem odbił się bosymi stopami od stołka. Sznur się naprężył. Lagerkapo zaczął krzyczeć. Złapał skazańca w pasie i próbował unieść. Na podwyższenie wbiegło kilku esesmanów. Jeden podstawiał stołek, a pozostali podnieśli skazańca do góry i rozluźnili sznur.

Ten stojący przed szubienicą coraz szybciej odczytywał tekst. Skończył po niemiecku i z trudem, myśląc się, czytał ten sam po polsku.

– Jeszcze Polsk... – krzyknął skazaniec, ale nie zdążył dokończyć. Lagerkapo Windeck wyrwał mu stołek spod nóg.

Sznur naprężył się po raz drugi.

Na placu zapadł cisza. Nagle w tłumie więźniów ktoś krzyknął na cały głos po polsku:

– Czapki z głów!

Mężczyźni na komendę równo unieśli ręce i idealnie wyćwiczonym ruchem uderzyli czapkami w spodnie obozowych pasiaków.

W tym samym czasie w obozie kobiecym na podwyższenie wprowadzono ładną kobietę o długich czarnych włosach. Więźniarki patrzyły, jak zatrzymuje się przy stołku. Ręce miała związane z przodu. Stojąca do niej plecami esesmanka zaczęła odczytywać wyrok. Kobieta uniosła ręce i wyjęła coś spomiędzy włosów.

– Niedługo wszystkie będziecie wolne, trzymajcie się! – krzyknęła więźniarka, zagłuszając słowa wyroku. Z jej przegubów trysnęła krew.

Esesmanka odwróciła się i wtedy otrzymała cios. Skrwawione ręce uderzyły ją w twarz. Bez namysłu oddała cios, a potem uderzyła po raz drugi i trzeci. Kobieta upadła.

Niemka skinęła głową na więźniarki, które położyły konającą koleżankę na wózek. Nie były pewne, co mają teraz zrobić.

– Do krematorium! – rozkazała, widząc, że kobieta powoli traci przytomność.

# 1

## ***Sierpień 2005 roku***

– Jeszcze tego brakowało – jęknęła Kasia, widząc oczko na czarnych rajstopach.

Zawsze miała przy sobie zapasową parę. Ale nie dzisiaj. Duża torebka nie nadawała się na pogrzeb. Wychodząc, wzięła taką, w której mogła zmieścić jedynie portfel z dokumentami i telefon.

Rozejrzała się. Przy cmentarzu stały tylko kioski ze zniczami. Wiedziała, że obok hotelu jest mały sklepik. Tam by z pewnością kupiła rajstopy. Na to jednak potrzebowała przynajmniej dziesięciu minut. Nic już nie mogła z tym zrobić. Nie teraz.

Ołowiane chmury zasnuły niebo. Długie cienie rzucane przez drzewa zniknęły w jednej chwili. Przytłumione światło rysowało niewyraźne kształty. Powiał wiatr. Początkowo delikatny, ciepły podmuch szybko przybierał na sile. Uderzał falami, podrywając drobne liście i śmieci. Wirującymi drobinami piasku sypał w twarze. Zapach przypominał bardziej wczesną jesień niż lato.

Stali, nieśmiało rozglądając się wokół. Wciśnięci w odświętne ubrania krępujące ruchy. Białe koszule, ciemne marynarki. Czarne bluzki i spódnice. Spoglądali niepewnie po sobie, zastanawiając się, ile czasu pozostawi im deszcz. Czy będą

musieli uciekać w popłochu? Spiesznie szukać schronienia? Zapłacić karę za nieroztropny brak parasoli?

Nagle zmiany pogody i nawałnice były czymś zwyczajnym w Kotlinie Jeleniogórskiej. Ale dzisiaj nikt nie spodziewał się burzy. Nic jej nie zapowiadało. Na niebie nie było najdrobniejszej chmurki. Duże pierzaste obłoki pojawiły się nagle znikąd, zmieniając skwarny sierpniowy dzień w początek jesieni. Nadciągająca burza zdawała się częścią scenografii. Zesłana przez Boga dla podkreślenia spektaklu, w którym brali udział.

Stali w grupkach na placu przed kaplicą, nerwowo przestępując z nogi na nogę. Ze zniecierpliwieniem patrzyli na pracowników firmy pogrzebowej wynoszących trumnę i wieńce. Niewielki wózek elektryczny, taki sam, jakich używali kolejarze odbierający worki z przesyłkami z wagonów pocztowych, na cmentarzu stanowił ostatni środek transportu. Elektryczna łódź Charona zmierzająca do Hadesu.

Trumna z jasnego drewna wystawała ponad brzeg platformy wózka. Pojazd ruszył, prowadzony przez kościelnego i księdza. Toczył się z cichym buczeniem na grubych gumowych kołach, wolno przecinając alejki starej nekropolii. Kondukt złożony z kilkudziesięciu osób uformował się szybko i opuścił plac przed szarą kaplicą św. Michała Archanioła. Wiejąca chłodem, szara eklektyczna budowla złowrogo zaznaczała centralny punkt ogromnego cmentarza. Za czasów niemieckich pełniła także funkcję krematorium. Ale gdy Dolny Śląsk znalazł się w Polsce, nikt już nie miał odwagi palić zwłok. Skojarzenie było zbyt oczywiste. Tak oczywiste, że nawet nie wspomniano o piecu w kaplicy. I tak źle się kojarzyła. Znajdująca się nad wejściem płaskorzeźba św. Michała z mieczem napawała lękiem. Niewielka rozeta poniżej wpuszczała do wnętrza jedynie odrobinę światła. Surowe i zimne, przypominało bardziej prosektorium.

Kasia tysiące razy mijała kaplicę w drodze pomiędzy grobem dziadka a grobem pradziadków, rodziców babci. Rozrzucone na przeciwległych krańcach cmentarza, zmuszały do długiej wędrówki alejkami przecinającymi kwatery wypełnione tysiącami kamiennych nagrobków. Mijając kaplicę, zawsze robiła znak krzyża i pospiesznie szła dalej. Pierwszy raz weszła do niej, mając dwanaście lat, gdy zmarł jej ukochany dziadek. Sześćdziesiąt sześć lat to niewiele. Choroba płuc, której nabawił się podczas wojny, była jednak w stanie powalić silnego, wysokiego i postawnego jak dąb mężczyznę. Była zima. Zapamiętała czerń ubrań i woalki zakrywające twarze babci i mamy. Czarne firanki na twarzach kobiet kontrastowały z białym puchem otulającym cmentarz. I trumnę. Dużą i ciężką z mnóstwem ozdobnych ornamentów. Zupełnie nie przypominała tej, w której dziesięć lat później pochowała babcię. Ani tej, za którą szła dzisiaj.

Po tym pierwszym pogrzebie, który spadł na nią nagle, wyznaczając granicę zmian w jej życiu, unikała kaplicy. Celowo wybierała jeszcze dłuższą trasę wiodącą od grobu dziadka do pradziadków. Byle tylko nie zbliżać się do kaplicy św. Michała. A jeśli już musiała przejść obok niej, robiła to chyłkiem, licząc, że nigdy więcej nie wydarzy się nic, co spowoduje konieczność ponownego wejścia do środka. Wydarzyło się. Babcia Teresa dołączyła w końcu do męża, by spocząć razem z nim w jednym grobie. Dzisiaj, po jedenastu latach, grabarze po raz trzeci rozkopali mogiłę położoną kilka metrów od płotu od strony ulicy Sudeckiej, by złożyć w niej trumnę matki. Trzeci raz weszła do kaplicy, trzeci raz w milczeniu przemierzała drogę w kierunku rodzinnego grobu.

*Chociażbym chodził ciemną doliną,  
zła się nie ulękne,*

*bo Ty jesteś ze mną.*

*Twój kij i Twoja laska tym, co mnie pociesza.*

Słowa psalmu docierały do niej jak zza niewidzialnej ściany. Szła za wózkiem, wpatrując się bezwiednie w wieńce przykrywające trumnę. To jej ostatni pogrzeb. Nie było już nikogo, kogo mogła pochować. Nikogo, za czyj pogrzeb mogła być odpowiedzialna. Nie była pewna, czy w tej chwili przerażała ją bardziej pustka, brak najbliższych, czy świadomość utraty matki.

Wózek minął śmietniki i ceglany budynek administracji cmentarza. Do niedawna mieszkała tam jeszcze rodzina jednego z grabarzy. Mieli córkę. Kasia chodziła z nią do szkoły. Dziewczynka nie miała wielu koleżanek. Z powodu miejsca, w którym mieszkała, większość dzieci jej unikała. Kasi to nie przeszkadzało, przychodziła do niej czasem odrabiać lekcje.

Kondukt zatrzymał się pod drzewami. Dalej nie dało się dojechać. Pracownicy firmy pogrzebowej unieśli trumnę i ruszyli wąską ścieżką pomiędzy nagrobkami. Drogę utrudniały im płotki i łańcuchy, którymi ludzie ogrodzili pomniki. Zupełnie jakby chcieli wyznaczyć granicę swoich domostw, działek budowlanych, poletek uprawnych czy ogródków działkowych. Ani trochę przy tym nie się zastanawiali, jak inni dotrą do grobów swoich bliskich. Grodzili, wyznaczając przynależną im przestrzeń, nierzadko stawiając na drodze dodatkowe zapory w postaci wkopanych głęboko ławek.

Grabarze pokonywali cmentarne miedze, lekceważąc bezprawnie wyznaczoną prywatność. Stąpali po nagrobnych płytach, balansując z trumną opartą na ramionach. Ludzie przeciskali się za nimi, ale nikt nie odważył się stanąć na nagrobku. Tabu było zbyt silne. Postawienie stopy na grobie kojarzyło się z nadeptaniem na leżącego pod ziemią zmarłego.

Wreszcie dotarli do wykopanego dołu. Na jego dnie widać było wyzierające z piachu wieko poprzedniej trumny. Wydawała się nienaruszona, zupełnie jakby włożono ją tu wczoraj. Lakier trzymał się nieźle, nie pozwalając drewnu, by się poddało.

Suchy grób – pomyślała Kasia, spoglądając w otchłań przedśmionka dzielącego jej bliskich od życia wiecznego.

Trzydzieści lat temu, będąc jeszcze dzieckiem, zastanawiała się, dlaczego wejście do nieba znajduje się pod ziemią. Na religii uczono ją, że podziemia prowadzą do piekła. A jej dziadek był dobrym człowiekiem i z pewnością trafił do nieba. Prowadzony pod rękę przez białe anioły, zasiadł gdzieś na górze i patrzył, jak dorasta. Teraz już wiedziała, że tylko dusza jest nieśmiertelna i to ona trafia do nieba. A ciało zostaje tu, w dole. Tak, by bliscy mieli kogo odwiedzać.

– Na ziemi nie mamy stałego miejsca... – do Kasi dotarły słowa księdza. Mówił donośnym głosem ze śpiewną intonacją, tak jak duchowni zwykle przemawiają do wiernych – ...ale oczekujemy nowego w przyszłym świecie. Umocnieni wiarą, że Bóg wskrzesi zmarłych do życia, żegnamy doczesne szczątki zmarłej Marii i pragniemy złożyć je w grobie. Błagajmy Boga, aby naszą siostrę wskrzesił w chwale i doprowadził do społeczności Świętych. Prośmy o to słowami modlitwy Pańskiej.

– Ojcze nasz, któryś jest – zaczęła powtarzać bezwiednie za innymi słowa modlitwy, której nauczyła ją babcia. Wypowiadała je tak machinalnie, że nie zauważyła chwili, gdy dobiegła końca.

– Ojcze miłosierny, dzięki Ci składamy za wszystkie dobrodziejstwa, którymi obdarzyłeś Twoją służebnicę Marię w ziemskim życiu i które za jego pośrednictwem nam przypadły w udziale. Boże, Ty w chrzcie świętym uczyniłeś naszą siostrę swoim dzieckiem. Wysłuchaj nasze prośby i otwórz jej bramy raju, nam zaś, którzy pozostajemy na ziemi,

daj moc, abyśmy się wzajemnie pocieszali słowami wiary, aż spotkamy się wszyscy w Chrystusie i na zawsze połączymy się z Tobą i naszymi zmarłymi. Przez Chrystusa, Pana naszego.

– Amen. – Silne uderzenie wiatru i grom przewalający się gdzieś w oddali podkreśliły to ostatnie słowo.

– Na szczęście zdążyliśmy przed burzą – usłyszała z boku bezbarwny głos siostry. Jej słowa zabrzmiały jak podczas górskiej wycieczki, jakby koniec pogrzebu był podobny do dotarcia w porę do schroniska.

Rozejrzała się wokół. Ludzie stali pomiędzy grobami z rękami złożonymi jak w kościele. Niektórych znała. Sąsiadów, bliższych i dalszych znajomych. Z rodziny przyjechał tylko ojciec Kasi i wujek. Jeden kuzyn zadzwonił, przeprosił, że nie może się wyrwać z pracy. Drugiego syna usprawiedliwił wujek. Nie musiał, bo i tak by się nie pojawił. Takie wyjazdy były dla niego uciążliwością, a poza tym jego obecność nic by nie wniosła. Mając dziesięć lat, zachorował na zapalenie opon mózgowych. Uratowano go, ale był już inny. Patrzył gdzieś, jakby oglądał świat, którego inni nie widzą. Milczał i palił. Jednego papierosa za drugim.

– Panie Boże, pobłogosław ten grób, w którym składamy trumnę z doczesnymi szczątkami naszej siostry Marii, i obmyj jej duszę z wszelkiej winy, aby razem z wszystkimi Świętymi miała udział w radości życia wiecznego.

Mówiąc to, pokropił trumnę małym metalowym kropidłem, które szybko schował do kieszeni i spoglądając ukradkiem w niebo, wrócił do ceremonii.

– Z prochu powstałaś i w proch się obrócisz, ale Pan Cię wskrzesi w dniu ostatecznym. Żyj w pokoju. – Nachylił się i rzucił na trumnę grudkę ziemi. – Złożymy teraz trumnę z doczesnymi szczątkami naszej siostry do grobu. Ponieważ Chrystus zmartwychwstał jako pierwszy z umarłych i zapowiedział, że odnowi nasze śmiertelne ciała na



podobieństwo swojego ciała uwielbionego, ufamy, że wskrzesi je, gdy przyjdzie w chwale.

Mama miała trochę koleżanek i kolegów ze szkoły. Kasia знаła nawet kilka osób z widzenia, ale nie wiedziała, jak się z nimi skontaktować. Po wyjeździe z Jeleniej Góry i umieszczeniu matki w domu pomocy społecznej nie miała pojęcia, jak zawiadomić jej znajomych o pogrzebie. Dlatego zamieściła nekrolog w „Nowinach Jeleniogórskich”, licząc, że wiadomość dotrze, do kogo trzeba. Nie pomyliła się.

Przyszło trochę ludzi. Niektórych pamiętała jak przez mgłę, innych widziała pierwszy raz w życiu. Stali w milczeniu, trwożnie spoglądając w coraz bardziej ciemne niebo. Z ulgą przyjęli słowa błogosławieństwa. Odczekali, aż trumna znajdzie się w dole, a potem zgodnie ze starą tradycją zaczęli się przepychać bliżej, aby rzucić na wieko garstkę piachu. Ustawiali się z boku, czekając na złożenie kondolencji.

Kasia nie chciała patrzeć, jak grabarze zasypują grób. Ruszyła znowu pomiędzy nagrobkami, pokonując zaskakujące łańcuchów. Siostra podążyła za nią, rozglądając się wokół. Na tym cmentarzu była pierwszy raz, więc wszystko ją ciekawiło. Stały pod drzewami, tuż przy alejce prowadzącej do furtki. Ludzie kłaniali się i odchodzili. Tylko niektórzy zatrzymywali, aby zamienić z nimi zwyczajowe uprzejmości. Powtarzali te same słowa, składając kondolencje. Puste, nic nieznaczące, które miały zaświadczyć o ich smutku. Choć z całą pewnością pogrzeb był dla nich tylko krótkim oderwaniem od codziennej rutyny. Chwilową atrakcją, a nawet okazją do spotkania starych znajomych. Zdobycia informacji, zasłyszania aktualnych plotek. Powodowani ciekawością pytali, jak umarła Maria. Czy chorowała? Jak długo była w domu opieki? Pytali też Kasię, jak poradziła sobie w życiu. Co robi, czym jeździ, ile zarabia? Ciekawość była dla wielu jedynym powodem, dla którego postanowili spędzić dwie godziny na cmentarzu. Tego Kasia

była pewna, widząc ich spojrzenia. W oczach dostrzegała pytania o kobietę stojącą przy jej boku. Nie znali jej, nigdy o niej nie słyszeli.

– Trafisz do Tokaju, wujku? – zapytała Kasia, aby cokolwiek powiedzieć. Wiedziała, że trafi. Bywał w Tokaju, jeszcze zanim ona przyszła na świat. Kiwnął głową, burknął coś pod nosem i odszedł w kierunku furtki, prowadząc starszą kobietę z gładko zaczesanymi siwymi włosami upiętymi w niemodny kok, w popielatym letnim płaszczu i drogich pantoflach.

– Kto to jest? – spytała Małgorzata, wskazując na kobietę, która szła z wujkiem.

– Siostra dziadka, Camila. Mieszka pod Wiedniem. W osiemdziesiątym czwartym nie mogła przyjechać na jego pogrzeb. Na pogrzeb babci nie przyjechała, bo jej nie lubiła. Ale teraz powiedziała Staszкови, że to ostatnia szansa, aby odwiedzić grób brata. Ma chyba z dziewięćdziesiąt lat.

Niewysoki mężczyzna podszedł do Kasi.

– Dzień dobry, proszę przyjąć moje kondolencje.

Uklonił się i ucałował jej dłoń.

– A pan...? – zawiesiła głos, licząc, że domyśli się, o co jej chodzi.

– Chodziliśmy z mamą do szkoły. Do technikum drzewnego, do jednej klasy. Znalazłem nekrolog w gazecie i przyszedłem.

– Bardzo się cieszę. Zupełnie nie znam nikogo, z kim chodziła do szkoły. Niewiele wiem o tamtych czasach. Będzie nam bardzo miło, jeśli pójdzie pan z nami na stypę do Tokaju. To w centrum miasta, koło poczty.

– Dobrze wiem, moje dziecko, gdzie to jest. To jest teraz restauracja Bosman. O przepraszam – poprawił się. – Jest pani kobietą, ale w moim wieku takie osoby jak pani są bardzo młode.

Uśmiechnął się usprawiedliwiająco.

– Nic nie szkodzi. Wie pan, ja wciąż mówię Tokaj, bo to pamiętam z dzieciństwa.

Mężczyzna uśmiechnął się. Stara nazwa z pewnością budziła sporo wspomnień.

– Nie chcę robić kłopotu – zaczął się wymawiać.

– Ależ to żaden kłopot, będzie nam miło. A przy okazji dowiem się czegoś o mamie. My z siostrą nic nie wiemy o tamtych czasach.

– Z siostrą? – Mężczyzna stojący z tyłu wydawał się zaskoczony.

– Tak, to Małgorzata, moja starsza siostra.

– Starsza? – mężczyzna powtórzył bezwiednie. – Ja znałem Marię, jeszcze zanim wyszła za mąż i urodziła córkę. Widziałem ją parę razy przelotnie, ale nic nie wspominała.

Mówiąc to, wpatrywał się w Małgorzatę.

– Pana też serdecznie zapraszamy.

Kasia wypowiedziała te słowa z ulgą. Liczyła, że uda jej się zaprosić jak najwięcej osób. To była jedyna szansa, aby dowiedzieć się teraz czegoś o matce. O tym, co robiła przed jej urodzeniem.

– Dziękuję, ale...

– Nie przyjmuję wymówek – powiedziała zdecydowanym tonem. – Pan był znajomym mamy?

– Tak, przepraszam, nie przedstawiłem się. Cybulski, Franciszek Cybulski.

– Mieszka pan tu? W Jeleniej Górze? – Kasia kontynuowała przesłuchanie, na wszelki wypadek chcąc wyciągnąć jak najwięcej informacji, gdyby mężczyzna jednak postanowił uciec.

– W Zgorzelcu. W Jeleniej Górze byłem w szkole, w podchorążówce. Spotykaliśmy się trochę z Marią. Później ona wyjechała do szkoły do Wrocławia i kontakt się urwał.

O czym on mówi? – Kasia uśmiechnęła się, potwierdzając kiwnięciem głowy, że wie, o co chodzi.

– Bardzo proszę, niech pan z nami pójdzie do Tokaju, zjemy coś, porozmawiamy.

Kątem oka dostrzegła, że siostra zmieniła się na twarzy. Poszarzała, a usta wykrzywiły się w grymasie strachu. Szturchnęła ją. Małgorzata wzdrygnęła się i udawany uśmiech wrócił. Potwierdziła skinieniem głowy słowa Kasi.

– Pani mama urodziła się w tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym? – Wskazał na tabliczkę przytwierdzoną do krzyża opartego jeszcze o sąsiedni grób.

– Tak, w sierpniu. Kilka dni temu skończyła pięćdziesiąt pięć lat.

– Cóż, myślałem... – Zmarszczył brwi, próbując coś odtworzyć w pamięci. – Wydawało mi się, że była trochę starsza. Pani nadal mieszka w rodzinnym domu?

– Musiałam sprzedać dom. Mama była ciężko chora, wymagała specjalistycznej opieki, a ja pracowałam w Warszawie. Dom stał pusty.

– Ach tak.

– To co? Możemy na pana liczyć? – powtórzyła z naciskiem. Zabrzmiało to bardziej jak polecenie niż pytanie.

– Przyjdę – odpowiedział niepewnie mężczyzna. Jeszcze raz się uklonił i odszedł w kierunku ulicy.

– Trafisz? – Kasia spojrzała na kolejnego mężczyznę, który stał cierpliwie na końcu kolejki.

Przytaknął skinieniem głowy. Patrzył na Małgorzatę. Otworzył usta, jakby chciał coś powiedzieć, ale zrezygnował. Na jego twarzy odmalowało się poruszenie. Trudno było dostrzec podobieństwo między obiema kobietami. Kasia miała okrągłą twarz i mocną figurę. Stała prosto z piersią wysuniętą do przodu. Jedna stopa lekko wysunięta, podbródek uniesiony. Przypominała modelkę na wybiegu. Małgorzata była inna.

Szczupła, nawet bardzo. Wąskie ramiona, przygarbiona sylwetka. Gdyby nie wyróżniający ją drogi strój, można by rzec: niepozorna.

Nikły uśmiech zakłopotania pojawił się na gładkiej, okrągłej twarzy mężczyzny. Nie miał ani jednej zmarszczki, co odejmowało mu przynajmniej dziesięć lat. Wiek zdradzały tylko siwe włosy. Kiwnął głową i odwrócił się.

– To mój ojciec, Piotr – szepnęła Kasia, gdy odchodził.

– Podobna do niego jesteś – siostra przytaknęła, wciąż patrząc na plecy znikające za furtką. – Bardzo podobna – powtórzyła z nieukrywanym zdziwieniem.

– A ty do matki. – Kasia wzięła ją za rękę.

– Wszyscy to powtarzają. – Wzruszyła ramionami. – Nie potrafiłabym zrobić czegoś takiego jak ona.

– Miałam na myśli...

– Tak wiem – Małgorzata przerwała jej z rozdrażnieniem. – Chodźmy już. Mam dość na dzisiaj, a czeka nas jeszcze posiadówka. Nie chce mi się gadać z tymi ludźmi. Te pytania wymalowane na twarzy. To, jak się we mnie wpatrują.

– Nie dziw się. Wszyscy są w szoku. Coś takiego? – Podniosła oczy ku górze i zaśmiała się. – Babcia zawsze powtarzała, że jesteśmy porządną rodziną. Żadnych skandali, sensacji. No, może poza trzema żonami wujka.

Roześmiały się obie.

– I rozwodem twojej mamy – dodała z rozbawieniem Małgorzata.

– O nim nigdy się nie mówiło.

Wskazała głową w stronę furtki, gdzie przed chwilą zniknął ojciec.

Małgorzata jedynie westchnęła. Przy grobie stał już tylko jeden człowiek. Wpatrywał się w leżącą z boku płytę z drogiego czarnego marmuru. Widniały na niej dwa nazwiska i daty.

Błyszcząły złotem na tle czarnego kamienia. Wyglądały tak, jakby ktoś je wczoraj odmalował.

– A ten to kto? – zapytała Małgorzata, wskazując w stronę grobu.

Kasia wzruszyła ramionami.

Mężczyzna jakby poczuł, że o nim rozmawiają. Odwrócił się i spojrzał w stronę stojących pod drzewem sióstr. Ukłonił się staromodnie. Miał na sobie granatową marynarkę, białą koszulę i apaszkę zawiązaną pod szyją.

– Znam go – szepnęła Kasia. – Jest właścicielem firmy ochroniarskiej. Jakiś czas temu pisano o nim w „Nowinach”.

– Znał mamę? – Małgorzata spojrzała na siostrę.

– Nie mam pojęcia. – Kasia pokręciła przecząco głową. – Pracował w peteteku. Niedawno wyszło, że to esbek. Oficer Służby Bezpieczeństwa.

Mężczyzna podszedł do sióstr. Ukłonił się i wyciągnął dłoń. Najpierw do Małgorzaty. Uniósł i ucałował, schylając głowę. Potem powtórzył to samo, ujmując rękę Kasi.

– Jerzy Lisiewicz, byłem znajomym Bronisława Żołnierowicza. Mamę też pamiętam. I panią – zwrócił się do Kasi. – Była pani wtedy jeszcze małą dziewczynką.

– O! To bardzo miło. Dobrze pan znał dziadka?

Mężczyzna uśmiechnął się.

– Spotykaliśmy się czasem. Pani dziadek był doskonałym przewodnikiem górskim.

– Chodziliście razem po górach?

– Zajmowałem się obsługą ruchu turystycznego; sprawy administracyjne związane z grupami wycieczkowymi. Taka tam papierkowa robota.

Machnął lekceważąco ręką.

– To może nam pan coś opowie o dziadku? Wie pan, ja byłem wtedy jeszcze dzieckiem. Niewiele wiemy z siostrą o tamtych czasach.

– Siostrą?

Mężczyzna odwrócił z zainteresowaniem głowę i spojrzał na Małgorzatę.

– Tak, to moja siostra. Małgorzata Michońska.

– Ach tak, wydawało mi się, że skądś panią znam, tylko nie mogłem skojarzyć.

Pokiwał głową.

– Pewnie dlatego, że jestem podobna do matki. Przynajmniej wszyscy tak twierdzą – odpowiedziała melodyjnym głosem, prawie rozbawiona porównaniem, którego tym razem sama użyła.

– Rzeczywiście, skóra zdarta – wypowiedział te słowa powoli, wciąż wpatrując się w jej twarz.

– Będzie nam miło, jeśli przyjmie pan zaproszenie na stypę.

– Ja... – zawahał się – ...nie wiem, czy wypada. Nie jestem z rodziny. To niezręcznie – zaczął się prędko usprawiedliwiać.

– Ależ absolutnie. Nalegam. Liczymy, że opowie nam pan coś o dziadku.

– Niewiele pamiętam, to było tyle lat temu. – Lisiewicz teraz zaczął się jąkać, jakby ktoś przyłapał go na niewygodnym kłamstwie. – Zresztą to nic ciekawego... turyści, góry, wycieczki... – wyliczył na jednym oddechu. – Praca jak praca.

– Czekamy za pół godziny w Tokaju na Pocztovej – powiedziała Kasia tonem nieprzyjmującym sprzeciwu.

– Skoro pani nalega. – Kiwnął głową, potwierdzając, że się zgadza. – Ale nie obiecuję nic szczególnie ciekawego. Może panie podwieźć? – zaoferował uprzejmie, pokazując kluczyk od mercedesa.

– Dziękuję, mamy auto. Zaraz będziemy jechać, chcę jeszcze dopilnować, aby wieńce dobrze ułożyli. – Kasia wskazała na grabarzy, którzy kończyli formować kopczyk na grobie.

Lisiewicz kiwnął głową na pożegnanie i odszedł.

– Coś mi się wydaje – Małgorzata zaczęła niepewnie – że pan Lisiewicz coś wie.

Kasia westchnęła i spuściła oczy. Przez kilka minut stały jeszcze, obserwując grabarzy. Pierwsze, ciężkie krople deszczu zaczęły spadać na nagrobki, rozbryzgując się po kamiennych płytach. Woda mieszała się z pyłkiem kwiatowym, którym pokryte były pomniki, tworząc błotnistożółte plamy. Silne uderzenia wiatru i gromy przewalające się coraz bliżej zapowiadały nadciągającą nawałnicę. Siostry ruszyły w stronę furtki. Szły szybko, aby zdążyć, zanim na dobre się rozpada.

\*

Zwalisty mężczyzna stał wciśnięty pod niewielkie zadaszenie osłaniające wejście do restauracji. Ludzie przemykali tuż przed nim, kuląc się i osłaniając od deszczu parasolami targanymi przez silny wiatr. Nawet tu, pomiędzy kamienicami w samym centrum miasta, dawał się mocno we znaki. Krople deszczu uderzały z dużą siłą, tworząc bańki na powierzchni pokrywających asfalt rozlewisk. Wpatrywał się w nie beznamiętnie, jakby patrzył gdzieś dalej, w głąb. Na coś, co widzi pod powierzchnią spienionej kałuży.

Okrągła, nieogolona twarz poorana bruzdami zdradzała zmęczenie. Regularnie unosił do ust papierosa, aby po chwili wypuścić chmurę dymu, którą natychmiast rozwiewał wiatr.

Drzwi uchyliły się i z wnętrza wyszła drobna, czterdziestoletnia kobieta o krótko ściętych blond włosach. Miała na sobie jasny, dość drogi płaszcz przewiązany w pasie i eleganckie buty. Stylizacja przypominała gwiazdy filmowe z lat sześćdziesiątych. Wyjęła z kieszeni granatową paczkę rothmansów. Zajrzała do środka, a potem zgmiotła kartonik. Rozejrzała się na boki, szukając wzrokiem kiosku. Był zaledwie kilkadziesiąt metrów dalej, w narożnej kamienicy. Deszcz



jednak zniechęcił ją do podjęcia próby przebiegnięcia na drugą stronę ulicy. Mężczyzna bez słowa wydobył z kieszeni papierosa i przesunął w jej stronę. Spojrzała z zaskoczeniem na pudełko goldenów.

– Dziękuję – mówiąc to, wyjęła papierosa.

Mężczyzna schował paczkę do kieszeni i wciąż nie odwracając głowy, podsunął w jej stronę zapalniczkę. Nachyliła głowę i dłonią lewej ręki osłoniła ogień. Dotknęła go przy tym, ale nie zareagował. Zaciągnęła się i szybko wypuściła dym.

– Dziękuję – powtórzyła, patrząc na niego kątem oka.

– Jest pani do niej bardzo podobna. – Wreszcie odwrócił głowę i spojrzał jej w oczy.

– O, jaka zmiana – odpowiedziała z sarkazmem. – Czyli już nie jestem oszustką?

Zignorował tę uwagę i ponownie zaczął wpatrywać się w bąble na powierzchni kałuży.

– Małgorzata. Tak będzie prościej – przedstawiła się i ponownie zaciągnęła papierosem.

Skinął głową, akceptując propozycję. Westchnął głęboko i po namyśle odpowiedział:

– Stanisław. Jestem... byłem – poprawił się – bratem twojej matki.

– Wolę mówić: kobiety, która mnie urodziła – powiedziała bez emocji.

Pokiwał głową.

– Mam nadzieję, że teraz, gdy już zaakceptowaliście moje istnienie, uda mi się dowiedzieć, co się stało. Kasia mówiła...

– O niczym nie ma pojęcia – przerwał jej. – Nie było jej na świecie.

– Czyli wiesz?

Jego twarz wykrzywił grymas smutnego uśmiechu.

– Matka by się w grobie przewróciła, gdyby wiedziała, że to wszystko...

– ...się w końcu wydało – teraz ona wpadła mu w słowo, kończąc zdanie. – Kochana babcia?

– Babcie zostawcie w spokoju – odezwał się głos za plecami Małgorzaty. – Była dobrą kobietą, pomagała twoim rodzicom.

– Ludziom, którzy mnie wychowali – odpowiedziała Małgorzata z rozdrażnieniem.

Kasia otworzyła usta, ale nie wiedząc, co powiedzieć, wydobyła z siebie tylko ciche jęknięcie.

– Tak, moja droga. Ty dorastałaś w ciepłku, w kochającej rodzinie. Ja nie miałam tyle szczęścia. Musiał wystarczyć przekaz na kilka stów co miesiąc.

– Co ty możesz wiedzieć o tym ciepłku? – Ostatnie słowo Kasia wypowiedziała z naciskiem. – Przynajmniej miałaś oboje rodziców. Jak to mówisz? Ludzi, którzy cię wychowywali. Ja nie. Ojciec porzucił nas, gdy miałam trzy miesiące. A matka spędzała więcej czasu w szpitalu niż ze mną.

– Hmm. – Ktoś chrząknął tym razem za plecami Kasi.

Odwróciła się raptownie. Ojciec stał na środku korytarza prowadzącego do wnętrza restauracji. Patrzył prosto w jej niebieskie oczy.

– Puszka Pandory – westchnął Stanisław, rzucając niedopałek do kałuży pomiędzy zaparkowanymi przy ulicy samochodami.

– Znaczy ja jestem tą puszką? – Małgorzata cisnęła swojego peta w tę samą stronę, tak jakby kładła mocniejsze karty na stół.

– Nie to miałem na myśli. Po prostu szambo wybiło i teraz przyszło nam się zmierzyć z przeszłością. Szkoda, że tylko nam.

– Na razie podają rosół – rzucił od niechcienia Piotr i zniknął.

– Chodźmy, bo nam wystygnie. – Stanisław uśmiechnął się znowu, patrząc na siostrzenicę, tę, którą znał od urodzenia. – Widzę, że zamówiłaś niedzielny obiad.

Ledwie zauważalnie kiwnęła głową. Jej zaciśnięte usta ułożyły się w idealną linię prostą. Nozdrza były rozchylone.

Oddychała głęboko. Emocje sięgały szczytu i wydawało się, że Kasia wybuchnie, gdy odpowiedziała nienaturalnie spokojnym głosem:

– Chodźmy jeść. Mamy sporo czasu i dużo do wyjaśnienia. Przynajmniej będę miała czym rzygać, bo coś czuję, że mnie zemdli, jeśli się odważysz powiedzieć prawdę.

Zaśmiał się, dotykając jej ramienia.

– Od dawna w tym siedzisz, gówniaro.

Wzdrygnęła się, słysząc, jak ją nazwał.

– No, już, już, pani idealna. Umieram z głodu.

# 2

## ***Grudzień 1999 roku***

Niebieska poświata z monitora oświetlała twarz Kasi. Do sylwestra pozostały tylko trzy dni. Zamknięcie roku zawsze wiązało się z problemami. Inwentaryzacja, bilans, a do tego walka o wynik sprzedaży. Na wykonanie planu nie było najmniejszych szans, ale każda złotówka miała znaczenie. Trzeba było wypchnąć do hurtowni tyle towaru, ile się dało. To oczywiście takie pozorowane ruchy, bo sprzedany towar i tak musiał jeszcze trafić do sklepów. I trafił, ale po Nowym Roku. A to oznaczało, że styczeń zamkną z dramatycznym wynikiem najwyżej dziesięciu procent miesięcznego planu. Wszyscy doskonale wiedzieli, że należało odpuścić i sprzedawać w styczniu. Nie miało to jednak znaczenia. Takie rozwiązanie nie wchodziło w grę, bo konkurencja robiła to samo i na początku roku wszystkie hurtownie były zapchane po sufit. I wtedy nikt nic już by nie kupił.

Nerwową atmosferę podkreślały jeszcze doniesienia prasowe. Dywagowano, co się stanie w nocy z trzydziestego pierwszego grudnia tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego dziewiątego roku na pierwszego stycznia dwutysięcznego. Eksperci nie mieli pewności, ale trzeba było brać pod uwagę, że komputery oszaleją. Zegary mogą nie rozpoznać daty i skasować zawartość dysków. Wszyscy w panice kopiowali dane i kupowali nowe komputery, które miały być już odporne na milenijny chaos.

Kasia lubiła pracować w nocy. Nikt jej nie przeszkadzał, telefony nie odrywały od analizowania ogromnych kolorowych tabel, zawierających wyniki sprzedaży poszczególnych produktów. Mogła się skupić nad ustalaniem, dlaczego jedne z nich szły jak woda, a drugie zalegały w magazynie. Miała przewagę nad menedżerami prowadzącymi inne działy. Oni trafili do firmy z konkurencji i od razu na kierownicze stanowiska. Znali rynek, ale produkty zawsze stanowiły dla nich pewną zagadkę. Ona przeszła całą drogę od stanowiska przedstawiciela handlowego do dyrektora działu sprzedaży. Zaczęła zaledwie przed siedmiu laty. Studiowała jeszcze zaocznie. Musiała zrezygnować z dziennych studiów, bo potrzebowała pieniędzy. Dostała służbowego opla astrę, kilka pudełek próbek, foldery i parę kartek z adresami dotychczasowych klientów. To musiało wystarczyć. Ale nie wystarczyło.

Właściwie nie miała nic. Klienci, których dane otrzymała, nie chcieli z nią nawet rozmawiać. Ktoś im kiedyś wcisnął towar, naobiecował, że zbierze zamówienia, i więcej się nie pojawił. Na początek musiała się z tym uporać. Posprzątać po poprzednikach. Objechać teren i znaleźć sklepy, które kupią produkty zalegające od roku w hurtowniach. Dała radę. Może dlatego, że była zupełnie nowa. Nie miała doświadczenia, uprzedzeń i nie zdawała sobie sprawy, na co się porywa.

Wcześniej pracowała jako sekretarka w niewielkiej fabryczce podzespołów aparatury pomiarowej. Wiedziała, że tam nic nie osiągnie, postanowiła więc rzucić się na głęboką wodę. Wydawało się, że to nic trudnego. Pojedzie, porozmawia, spisze zamówienie. I pojechała z głową nabitą promocyjnymi sloganami, które usłyszała podczas kilkudniowego szkolenia. Klienci śmiali się, gdy z zaangażowaniem opowiadała o zaletach produktów. Cena się liczy – mówiły kierowniczkę sklepów PSS, z którymi rozmawiała. A potem odwracały się

plecami. Ona jednak się nie zrażała. Przychodziła drugi i trzeci raz. Wreszcie dawały za wygraną. Z litości robiły niewielkie zamówienie. Potem drugie i trzecie, już z przyzwyczajenia, w nagrodę, że nie daje za wygraną, nie poddaje się. Same ustawiały towar w lepszym miejscu, by coś się sprzedało. Aby pomóc tej upartej dziewczynie.

Po kilku miesiącach wreszcie było widać efekty. Na spotkaniu handlowców zaczęto ją stawiać za przykład. Co zresztą nie wywołało pozytywnego nastawienia koleżanek i kolegów. Większość z nich miała postawę roszczeniową. Zamiast pożytkować energię na działanie tak jak Kasia, woleli narzekać. Wciąż marudzili, że produkt się nie sprzedaje. A jednocześnie szukali pracy w innych firmach, aby dostać lepszy samochód służbowy i wyższą pensję. Ona wolała zostać i walczyć o wykonanie nierealnego planu sprzedaży. Nagrodą miała być premia, której – jak się później dowiedziała – jeszcze nikt nigdy nie dostał. Faktycznie szybko się zorientowała, że target jest całkowicie nieosiągalny. Najlepszym udawało się zrobić niespełna połowę. Ale jej to nie zniechęcało. Wprost przeciwnie. Zawsze była ambitna i nawet nierealny cel motywował ją do ciężkiej pracy. Wystarczyło, że będzie najlepsza. Zawsze chciała być we wszystkim najlepsza. Kiedy nie musiała z nikim konkurować, też starała się robić wszystko jak najlepiej. Musiała mieć idealnie wyprasowaną bluzkę. Idealną fryzurę. Idealnie czyste buty. Idealną rodzinę. Rodzina dawała jej poczucie bezpieczeństwa. Stanowiła filar jej misternie budowanego świata. Ta, w której się wychowała, właściwie przestała istnieć. Babcia przez wiele lat była sprawna. Potem nagle zaczęła niknąć w oczach. Kasia nie była w stanie się nią zajmować. Zaczęła pracę, która wymagała dyspozycyjności. Na całe dni znikwała z domu. Mama nie mogła pomóc, bo sama potrzebowała opieki. Choroba coraz bardziej pożerała ciało. Wreszcie usłyszały makabryczną diagnozę – stopniowy zanik

struktur korowych i podkorowych mózgu. To oznaczało, że za jakiś czas stanie się warzywem. Miała dwa wyjścia: sama zająć się matką i babcią, co oznaczało, że musiałyby żyć z dwóch marnych rent, albo znaleźć im opiekę, a sama skupić się na zarabianiu pieniędzy.

Wybrała drugie rozwiązanie. Nie do końca sama. Właściwie decyzję podjęła teściowa. Kasia rozpląkała się, pytając, co ma robić. Rzucenie pracy było szaleństwem. To oczywiste, że babcia i mama musiały trafić do specjalistycznego ośrodka. Ale umieszczenie ich w takim miejscu nie było łatwe. Na początku lat dziewięćdziesiątych instytucje opiekuńcze właściwie nie istniały. Te, które były, przypominały śmierdzące umieralnie. Wystarczyło wejść na piętnaście minut, aby wszystkie ubrania przesiąkły smrodem moczu i potu starych, obłożnie chorych ludzi. Nadawały się tylko do prania.

Dla babci szybko znalazło się miejsce u sióstr zakonnych. Mama zwiedziła trzy marne przechowalnie, zanim teściowa wyblągała dla niej łóżko w jednym z nielicznych dobrych depeesów w Jugowie koło Nowej Rudy. W porównaniu z typowymi ośrodkami to był prawdziwy luksusowy hotel. Owszem, zapach nie był przyjemny, ale warunki idealne. Małe pokoje dla dwójki pensjonariuszy. Na miejscu lekarz, rehabilitacja, a nawet kaplica, do której raz w tygodniu przychodził ksiądz. Opiekunki pomagające w podstawowych czynnościach, tak aby pensjonariusze jak najdłużej pozostali we względnej samodzielności. Do tego dobre jedzenie. A jednak Kasia miała wyrzuty sumienia. Bolało ją, że musi zostawić tam matkę. Wstydziała się tego.

Babcia niebawem zmarła. Kasia zdążyła odwiedzić ją tuż przed śmiercią. Trzymała przez chwilę za rękę. Staruszka powtarzała w kółko tylko jedno zdanie: bardzo się boję. Kasia wyszła po dwóch godzinach ze łzami w oczach. To była jej ukochana babunia. Wychowała ją. Zawsze była silna, radziła

sobie z każdą przeciwnością. W trudnych czasach, gdy w sklepach nic nie było, babcia zawsze miała pełną lodówkę. Zawsze było ciepło i zawsze były pieniądze. Teraz leżała bezradna, zależna od innych, bojąc się tego, co nastąpi.

Telefon zadzwonił, gdy ujechała zaledwie pięćdziesiąt kilometrów. Widocznie babcia czekała, aby ostatni raz przed śmiercią zobaczyć ukochaną wnuczkę. Zobaczyła. I odeszła.

Po śmierci babci wszystko potoczyło się błyskawicznie. W rok po rozpoczęciu pracy Kasia dostała propozycję objęcia stanowiska kierownika regionalnego. Nie wzbudziło to zachwyty reszty zespołu. Była najmłodsza i miała najkrótszy staż. Ona jednak nie zrażała się nastawieniem innych. Całe życie wszyscy jej czegoś zazdrościli. Obgadywali za plecami. Dlatego zdążyła przywyknąć i mimo że w środku ją to bolało, niczego nie okazywała na zewnątrz.

Rok później awansowała ponownie. Tym razem na dyrektora pionu sprzedaży produktów konsumpcyjnych. Mając niespełna dwadzieścia pięć lat, dostała drogi samochód, gabinet i służbowe mieszkanie w Warszawie. W ciągu trzech lat przeszła drogę od sekretarki w małej, prowincjonalnej firmie do menedżera w dużej międzynarodowej korporacji. Każdego dnia podejmowała decyzje finansowe na ogromne kwoty. Od niej zależał los wielu ludzi. Zatrudniała i zwalniała. Nagle musiała stać się twarda. Pożegnać sentymenty i przyjaźnie nawiązane podczas wieczornych imprez, które przedstawiciele handlowi organizowali, przyjeżdżając do firmy.

Była już druga w nocy, gdy na biurku odezwał się cichy świergot stacjonarnego siemensa. Dźwięk rozdarł spokój na kawałki i przestraszył Kasię. Spojrzała na wyświetlacz. Nie знаła numeru komórki, z której dzwoniło, więc pomyślała, że to pomyłka, i nie podniosła słuchawki. Po kilku sygnałach aparat ucichł.



Tabela excela świeciła rzędami kolorowych kolumn wypełnionych liczbami, odpowiadającymi paletom towaru czekającego w magazynie na dalszą drogę do klienta. Coś się nie zgadzało i wciąż nie mogła odnaleźć kilkudziesięciu tysięcy złotych, których brakowało do wykonania osiemdziesięciu procent planu. Po objęciu stanowiska wywalczyła z zarządem zmniejszenie norm sprzedaży. Wyznaczyła je jednak trochę powyżej realnej granicy. Wiedziała, że sto procent nadal jest nieosiągalne. Ale uznała, że ambitniejszy cel będzie motywował ludzi do pracy. I dawał jej możliwość uznaniowego nagradzania za zaangażowanie i starania.

Telefon odezwał się ponownie. Kasia ze zniecierpliwieniem jeszcze raz spojrzała na wyświetlacz. Ten sam numer. Sięgnęła po słuchawkę.

– Tak, słucham – odpowiedziała niezgodnie z zasadami firmy, które określały, że powinna podać nazwisko, funkcję i nazwę korporacji. Uznała, że w środku nocy nie musi wypełniać procedur, szczególnie że połączenie z pewnością jest pomyłką.

– Dobry wieczór – ciepły głos odpowiedział z nutką delikatnego zdenerwowania. – Czy może pani Katarzyna Dulęba?

– Tak – odpowiedziała Kasia ostrożnie. To pytanie nie pozostawiało wątpliwości. To nie była pomyłka.

– Przepraszam, że tak późno. Nie mogłam się zdecydować na ten telefon. Chciałam pani zająć chwilę. Po tym, co powiem, będzie pani chciała odłożyć słuchawkę. Proszę tego nie robić i wysłuchać mnie do końca.

Kasia wciąż patrzyła w ekran komputera. Wreszcie dostrzegła błąd w arkuszu kalkulacyjnym. Wydała z siebie cichy pomruk aprobaty, który rozmówczyni musiała przyjąć jako zgodę i zaczęła mówić dalej. W tym samym momencie przebiegła jej przez głowę niepokojąca myśl:

Ta kobieta wie, jak się nazywam, i nie mogła się zdecydować zadzwonić.

Tylko jedno przyszło jej do głowy. Marek ma kochankę. Poczula nagły ucisk w żołądku. Wiedziała, odgadywała, że prędzej czy później może do tego dojść. Od kiedy awansowała, zaczęła zaniedbywać rodzinę. Do domu wracała późno albo – tak jak dzisiaj – nad ranem. Nie miała na nic czasu. Nie chodzili już do kina ani na spacer. A w weekendy była tak zmęczona, że musiała odespać cały tydzień. Raz już doszło do poważnej rozmowy. Obiecała coś zmienić. Ale nie dotrzymała słowa. Pracowała dalej tak, jakby praca była całym jej życiem. Wiedziała, co zaraz usłyszy. Tamta będzie chciała odebrać jej męża.

– Być może wyda się to pani dziwne, ale jestem pani starszą siostrą.

Te słowa zadziały jak kopnięcie prądem. Były tak absurdalne, że otworzyła usta ze zdumienia.

Co za wariatka – pomyślała i rzeczywiście chciała odłożyć słuchawkę, ale głos mówił dalej:

– Mam na imię Małgorzata. Mieszkam w Gdańsku. Urodziłam się w tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym siódmym roku w Rawiczu, w Wielkopolsce. To niedaleko Wąsosza, do którego jeździłaś, jeździła pani – kobieta poprawiła się – na wakacje. Byłam tam. Rozmawiałam z ludźmi i z księdzem. Ludzie pamiętają pani matkę. Znalazłam nawet starą kobietę, z którą długo utrzymywała kontakt. Za to ksiądz nic sobie nie przypomina. Przynajmniej tak twierdzi. Zbladł, gdy powiedziałam, o co chodzi.

Kasi pociemniało w oczach. Zgadzało się wszystko, co mówiła. Jeździła na wakacje do Wąsosza i Luboszyca, знаła starego księdza, który był przyjacielem jej dziadków. Co roku spędzała tam miesiąc. A stara kobieta, o której mówiła, to zapewne przyszywana babcia Marszałkowa. Dziadkowie

mieszkali w jej domu zaraz po wojnie, gdy babcia skończyła w Górze kurs aptekarski i prowadziła wiejski punkt apteczny.

– Zostałam oddana do adopcji – kobieta ciągnęła opowieść. – Kilka dni temu udało mi się dotrzeć do mojego pierwotnego aktu urodzenia. Było tam nazwisko kobiety, która jest moją biologiczną matką. Naszą matką. Odnalazłam ją. W bazie pesel figuruje jej aktualne miejsce pobytu. Dom pomocy społecznej w Jugowie koło Nowej Rudy. Byłam tam dzisiaj, właściwie wczoraj późnym wieczorem. Oczywiście się wyparła, powiedziała, że ma tylko jedną córkę. Od opiekunki dostałam numer pani telefonu. Teraz do pani należy decyzja, czy zechce się pani ze mną spotkać. Mój numer zapewne się wyświetlił – zawiesiła na chwilę głos. – Halo?! Jest tam pani?!

Kasia przełknęła ślinę. Nie widziała już tabelki na ekranie. Przed oczami nadal miała ciemność. Słowo Jugów było jak grom z jasnego nieba. Było jeszcze coś. Przed rokiem, gdy odstawiła mamę do jakiegoś marnego tymczasowego depeesu, przy wypełnianiu karty pacjenta na pytanie pielęgniarki o dzieci, matka odpowiedziała, że rodziła dwa razy. Chłopca i dziewczynkę. Była pewna, że to postępująca demencja miesza jej w głowie. Krzyknęła na nią, aby nie opowiadała bzdur, ma przecież tylko jedno dziecko. Matka potwierdziła natychmiast, że ma jedno dziecko, córkę. Jednak to nie była pomyłka.

– Tak, jestem.

– Dobrze się pani czuje?

– Chyba nie – odpowiedziała, z trudem wymawiając słowa i hamując łzy napływające jej do oczu.

– Mam wezwać pomoc?

– Chyba nie – wykrztusiła niepewnie tę samą odpowiedź.

– Cóż, to chyba wszystko, co chciałam powiedzieć. Cieszę się, że w końcu po tylu latach udało mi się panią odnaleźć. Dobranoc. Choć domyślam się, że dzisiaj pani nie zaśnie. Ja zresztą też nie.

– Dobranoc.

Kasia odłożyła słuchawkę. Czowała, jak krew pulsuje jej w skroniach. Sięgnęła po filiżankę z kawą. Była zimna i gorzka. Przełknęła kilka łyków. Przetarła twarz. Przez chwilę zastanawiała się, czy to nie sen. Może ze zmęczenia przysnęła i coś jej się śniło. Niepewnie dotknęła klawiatury telefonu. Na wyświetlaczu pojawił się ostatni dzwoniący numer i godzina połączenia. Pięć minut temu. To nie był sen. Wstała i podeszła do okna. Przekręciła klamkę. Chłodne powietrze uderzyło ją w twarz. Trochę się uspokoiła, choć myśli wciąż galopowały w głowie. Próbowwała sobie przypomnieć wszystkie sytuacje, które mogły mieć związek z tym, co usłyszała przed chwilą. Kobieta nie podała swojego nazwiska. Powiedziała tylko, jak ma na imię. Wspomniała też, że mieszka w Gdańsku.

– Gdańsk, tak – powiedziała do siebie cicho.

Kiedyś, gdy babcia pojechała do kościoła, grzebała w jej skarbczyku w tapczanie, próbując znaleźć wyjaśnienie pewnej rodzinnej tajemnicy. Były tam różne ważne dokumenty, świadectwa szkolne, akty urodzenia, akt własności domu. Sporo listów od znajomych dziadka mieszkających w Niemczech Zachodnich. Wielu znała, u niektórych była nawet na wakacjach. Były też marki, złote monety, które babcia kupowała jako lokatę kapitału, na czarną godzinę, jak zwykła mawiać. Były też przekazy nadania pieniędzy. Regularnie co miesiąc wysyłała kilkaset złotych jakimś ludziom mieszkającym w Gdańsku. Nie miała pojęcia, kim są i skąd babcia ich zna. A już tym bardziej, dlaczego wysyła im niemałą kwotę, choć wciąż narzeka na brak pieniędzy.

– Jezu, czego ona się bała? – zapytała cicho, przypominając sobie tę ostatnią spędzoną wspólnie chwilę. Dotąd była pewna, co oznaczał ten strach. Po prostu strach przed śmiercią. I przed tym, co odkryła, grzebiąc w jej rzeczach. Teraz zrozumiała, że chodziło o coś jeszcze.

Babcia była bardzo wierząca. Zawsze powtarzała jej, że kiedyś Bóg rozliczy każdego za to, co uczynił w życiu. Za dobre i złe uczynki. Wyglądało na to, że w ich rodzinie było sporo tajemnic. Niektóre już znała. Innych, jak widać, nie. Ta była kolejną. Z pewnością przed śmiercią należało się bać odpowiedzialności za oddanie dziecka do adopcji. Ale dlaczego? Dlaczego oddali?

Poczuła, jak oddech się uspokaja i powoli mija pierwsze zdenerwowanie. Gorączkowo myślała, co ma teraz zrobić. Nie miała pojęcia, co ludzie robią w takiej sytuacji. Zresztą czy na taką wiadomość można być przygotowanym, wiedzieć, co należy zrobić? Odruchowo podniosła słuchawkę telefonu. Wystukała szereg cyfr i jednocześnie spojrzała na wiszący na ścianie zegar. W delikatnej, dochodzącej zza okna poświacie dostrzegła, że jest wpół do trzeciej.

Trochę późno – pomyślała, ale w słuchawce odezwał się już buczący sygnał oczekiwania, który oznaczał, że gdzieś rozległ się dzwonek aparatu.

– Słucham – zaspany, chrypiący głos odezwał się po drugiej stronie.

– Wujek?

– Czyś ty, gówniaro, zmysły postradała? Wiesz, która jest godzina?!

– Wiem – odpowiedziała rzeczowo. Nawet nie zauważyła, że znowu nazwał ją gówniarą, co ją bardzo złościło.

– Maria? Umarła? – zapytał z ledwie dostrzegalnym lękiem.

– Nie umarła, żyje, ale o nią właśnie chodzi... – zawiesiła głos.

– Mówże, do cholery! Nie mam ochoty na gierki. Dzwonisz po trzech latach, w środku nocy, jakby dnia nie było.

Zawahała się przez chwilę. Wzięła oddech i przełknęła ślinę.

– Dzwoniła do mnie przed chwilą moja siostra.

– Na żarty ci się zebrało?! Daj mi spokój, idę spać!

– To nie jest żart i dobrze o tym wiesz. Przynajmniej tak myślę. Musiałeś wiedzieć.

– Co ty pieprzysz?! Jaka siostra? Nie masz siostry! To nie była dzie... – nie dokończył.

– A jednak.

Kasia poczuła, jakby ktoś przekłuł balon, z którego uciekło powietrze.

– Nie, nie – wujek zaczął się jękać. – Nie masz żadnego rodzeństwa. Poza moimi synami, Andrzejem i Grzegorzem.

– Mam siostrę, dzwoniła do mnie.

– To jakaś oszustka. Pewnie chce od ciebie wyciągnąć forszę. Bogata jesteś. Wycygałaś dom od babci.

– Który ty byś przepił, gdybym tego nie zrobiła.

– Odpieprz się! I daj mi spokój!

Trzask odkładanej słuchawki był tak silny, że aż zabolęło ją ucho. Ta kobieta miała rację. Dzisiaj bez wątpienia nie zaśnie. Ma o czym myśleć. Postanowiła, że jutro do niej zadzwoni. Zresztą nie było sensu czekać. Ona też pewnie nie spała. Chciała wiedzieć, jak ma na imię.

# 3

## ***Sierpień 2005 roku***

Stoły w bocznej salce restauracji ustawiono w kształcie litery „u”. Kilkanaście osób zajadało już rosół, gdy Kasia i Małgorzata weszły do środka. Było kilku sąsiadów, paru znajomych i niewielu członków tej małej rodziny.

Dziewczyny usiadły jako ostatnie. Właściciel restauracji, niewysoki, choć dobrze zbudowany mężczyzna, zajrzał do sali. Uchwycił wzrok Kasi i po chwili pojawił się, stawiając obok niej wazę z gorącym rosółem. Unosząca para drażniła podniebienia smakowitym zapachem. Mieli sporo szczęścia, że udało im się zdążyć przed burzą, i teraz w cieple mogli spokojnie zasiąść do stołu.

Goście w milczeniu, jakby na jakiś znak poruszali łyżkami. Nikt nie miał ochoty na rozmowę. Wymieniano zaledwie krótkie uprzejmości. Powtarzano zdawkowe pytania, by ustalić kto jest kim i jaka relacja łączyła go ze zmarłą. Dopiero przy drugim daniu, tradycyjnym schabowym z ziemniakami, zapanowało większe rozluźnienie. Mężczyzna, który znał Marię jeszcze ze szkoły, opowiadał o czasach, gdy uczyli się w Sobieszowie. Kasia przysłuchiwała się tej rozmowie, próbując wyłapać z niej coś interesującego.

– To co?! Dowiem się wreszcie, co się wtedy stało? – Małgorzata zaatakowała nagle Staszka, który siedział tuż obok niej. Celowo wybrała to miejsce. Zaczekała, aż usiądzie, i ku

jego zaskoczeniu zajęła miejsce obok. Wiedział, co to oznacza, ale nie miał już jak uciec. Zresztą gdyby próbował, oznaczałoby to, że jest tchórzem i za wszelką cenę chce ukryć niewygodną prawdę.

– A po co to komu? – odburknął, nie odrywając się od krojenia kotleta.

– Żartujesz? – odpowiedziała pytaniem i odłożyła sztucę. – A nie chciałbyś wiedzieć, dlaczego matka cię porzuciła?

– Ja? – zająknął się.

W sali zapanowała cisza. Nikt już nie jadł. Wszyscy wpatrywali się w Staszka. Zdał sobie sprawę, że jest jedyną osobą, która zna prawdę. Przełknął ślinę.

– Ja – powtórzył bezwiednie. – Ja nie wiem, czy to ci pomoże – powiedział powoli.

– Mów! Mów wreszcie! Chcę wiedzieć, dlaczego mnie oddała! Co się stało?!



# 4

## ***Sierpień 1966 roku***

Kremowy trabant zatrzymał się przed wejściem do peteteku. Wysoki, dobrze zbudowany mężczyzna w średnim wieku stanął przy krawężniku i zapalił papierosa. Z wnętrza lokalu dobiegały dźwięki muzyki. Kapela grała *Historię jednej znajomości*, najnowszy szlagier Czerwonych Gitar. Wokalista z marnym skutkiem naśladował Jerzego Kosselę, zawodząc niemiłosiernie.

Przed wejściem do budynku grupka młodych, najwyżej dwudziestoparoletnich mężczyzn śmiała się, wskazując na właściciela trabanta. Pomiędzy nimi krążyła butelka wina, którą podawali sobie z rąk do rąk, opróżniając ją prosto z gwinta.

– Te, dziadek, na zabawę się zachciało?! – krzyknął głośniej jeden z młodzików.

Mężczyzna rzucił papierosa i podszedł do nich. Był o głowę wyższy i postawniejszy. Silne ramiona i mocna szczęka wskazywały na zawodnika klasy ciężkiej. Na pierwszy rzut oka mógł sobie bez trudu poradzić w bójce, mając przeciw sobie nawet wszystkich. Spojrzał na tego, który przed chwilą go zaczepił. Potem wyciągnął rękę, poprawił mu klapę marynarki i otrzepał niewidoczne paprochy z ramienia.

Ten gest wystraszył chłopaka. Pewnie spodziewał się uderzenia. Mężczyzna uśmiechał się jednak dobrotliwie.

Chłopak zupełnie stracił pewność siebie, ale trzymał fason, nie cofając się ani o krok.

– Staszka Żołnierowicza znasz? – zapytał, patrząc młodzikowi prosto w oczy.

– A co? Na kolację się Stachu spóźnił? – zaśmiał się inny, stojący z boku z butelką wina w ręce. – Mamusia się martwi, bo Stasiu mleczka nie wypił?

Cała grupa wybuchnęła gromkim śmiechem. Mężczyzna też się uśmiechnął i mrugnął okiem do tego, który stał przed nim.

– Rusz się i zawołaj Staszka! Tylko prędko, bo mamy coś pilnego do obgadania! – powiedział tonem nieznoszącym sprzeciwu. W tym głosie było coś władczego, jakby wydawał rozkaz. Jakby miał prawo przypuszczać, że jego polecenie musi być wykonane.

Chłopak cofnął się i zniknął wewnątrz. Reszta grupy zaczęła coś przebąkiwać pod nosem, dalej żartując, ale już znacznie ostrożniej.

Po chwili w drzwiach pojawił się młody chłopak. Dość wysoki, barczysty, z grzywką zaczesaną na bok.

– Co jest, ojciec? – rzucił, widząc, kto go wywołał na zewnątrz. Był rozbawiony i miał już mocno w czubie. Zachwiał się, schodząc po schodkach, i podał ojcu rękę.

Chłopcy stojący z boku zaczęli komentować, że Stachu podobny do ojca i obaj mają łapy jak bochny chleba.

Ojciec kiwnął tylko głową, aby odeszli dalej. Przeszli kilka kroków. Mężczyzna wyjął paczkę papierosów i podał synowi.

– Maryśkę widziałeś? – zapytał, zapalając zapałkę.

– Przecież szlaban ma. W chałupie siedzi. – Chłopak zdziwił się, przypalając papierosa.

– Dała nogę, smarkula. Matka się wściekła.

Staszek pokiwał głową i wypuścił kółko dymu.

– Tu jej nie ma. Spryciula wie, że ja tu baluję, omija więc petetek szerokim łukiem. – Spojrzał pod nogi i zaczął

rozgarniać butem śmieci leżące przy krawężniku. – Zawsze mi musi spieprzyć zabawę – warknął z rozdrażnieniem.

– Nie wyrażaj się! – Ojciec zganił go bez większego entuzjazmu, bardziej dla zasady niż z konieczności. – Popytaj tych tam, może ją gdzieś widzieli. – Wskazał na grupę stojącą nadal przed wejściem.

Staszek, ociągając się, poszedł w ich stronę. Chód miał ciężki, lekko kołysał się na boki. Chwilę rozmawiali, śmiali się. Pociągnął nawet łyk z ich butelki. Potem wrócił tak samo wolno do stojącego z boku ojca.

– Godzinę temu była w Relaksie.

– Pojedziesz ze mną? – zapytał ojciec, wzdychając. – Nie chcę robić sensacji. – Wskazał głową w stronę chłopaków. – Wyciągniesz ją.

Staszek podszedł do trabanta i otworzył drzwi. Odwrócił się do grupy stojącej przed wejściem i gwizdnął przeciągle.

– Józiek, powiedz chłopakom, że zaraz wracam.

– Sie wie – odpowiedział tamten, unosząc rękę.

Staszek wsiadł do wozu w chwili, gdy ojciec zapuszczał silnik. Auto wydało charakterystyczny odgłos, a z tyłu uniosła się chmura białego dymu. Trabant, warcząc, wyjechał na ulicę i zawrócił w stronę miasta. Do Relaksu nie było daleko. Restauracja, w której urządzano zabawy, znajdowała się na parterze budynku Miejskiego Domu Kultury. Po dwóch minutach byli już na miejscu. Ojciec został przed wejściem, opierając się o maskę samochodu.

Staszek przywitał się ze stojącymi na zewnątrz chłopakami, zamienił z nimi parę słów i zniknął. Długo go nie było. Ojciec zdążył wypalić trzy papierosy i podejrzewał, że syn wkłęcił się na inną zabawę, ale w tej właśnie chwili pojawił się w drzwiach. Za rękę trzymał szarpiącą się drobną dziewczynę o długich blond włosach. Usiłowała się wyrwać i wolną ręką okładała go pięścią. To wywoływało tylko jego rozbawienie. Gdy

dostrzegła ojca stojącego przy samochodzie, zdwoiła wysiłki, próbując kopać brata. Ten stracił cierpliwość, chwycił ją w pól i przerzucił przez ramię.

Uwolnione ręce dziewczyny zaczęły walić go po plecach, a nogi wierzgały we wszystkie strony. Stojący przed wejściem chłopcy zaczęli gwizdać i dokazywać.

– Nie daj się, Beata! – krzyknął jeden i przyłożył dłonie do ust, robiąc z nich tubę, tak by słyszała doping.

Ojciec otworzył drzwi samochodu i odsunął siedzenie kierowcy. Staszek próbował wcisnąć siostrę na tylną kanapę. Nie było to łatwe, bo skutecznie zapierała się rękami i nogami. W końcu dał za wygraną, odsunął ją od auta i nadal trzymając w pasie, wymierzył siarczystego klapsa.

Uderzenie musiało być solidne, bo zawyła i zaczęła płakać. Opór zmalął i Staszekowi udało się ją wepchnąć do samochodu. Szybko skoczył z drugiej strony, blokując drogę, gdyby próbowała się tamtędy wydostać. Ojciec zatrzaskał fotel i wsiadł do wozu.

– Z jakimś podchorążym ją znalazłem. Jak się obściskowała na zapleczu. Kawaler akurat wyskoczył do kibla i poszło bez kłopotu.

– Jaka Beata? – zapytał ojciec, uruchamiając silnik.

– Jej zapytaj? Niech się pochwali gówniara.

Dziewczyna płakała. Trabant zastękał pod ciężarem dwóch dobrze zbudowanych mężczyzn i ruszył w stronę dworca kolejowego.

– Pseudonim artystyczny sobie wymyśliła. Jakbyś kiedyś jej sam szukał, to pytaj o Beatę, bo Maryśki tu nikt nie zna. Na skrzyżowaniu mnie wyrzuc – Staszek zmienił temat. – Dojdę sobie ten kawałek, przewietrzę się.

– Jak dziadkowie? – zapytał ojciec, zwalniając.

– Trzymają się dobrze.

– Na obiedzie jutro będziesz? Wiesz, jaka jest matka.

– Będę, będę.

– Jest spokojniejsza, jak przychodzisz. Nie może zrozumieć, dlaczego się wyniosłeś do dziadków. A powodów do nerwów jej nie brakuje.

Mówiąc to, kiwnął głową lekko do tyłu.

Staszek roześmiał się niskim, dudniącym głosem. Ojciec zatrzymał auto przy nieczynnej o tej porze stacji CPN, na skrzyżowaniu Wojska Polskiego i 1 Maja. Chłopak wyskoczył z wozu i uniósł na pożegnanie rękę. Auto ruszyło z warkotem, wyrzucając z tyłu kłęby białych spalin.

\*

– Staszek, wstawaj!

Niska kobieta o okrągłej twarzy stała przy łóżku i uśmiechała się, kiwając głową.

– Babciu, jeszcze trochę – wymamrotał, ziewając ciężko.

– Staszek, już jedenasta. Jeszcze trochę i się do matki na obiad spóźnisz. Wiesz, jaka jest moja córka.

– Wiem, wiem, babciu. *Ordnung muss sein.*

Wypowiedział te słowa, dobitnie je akcentując. Podniósł się wolno, opierając na jednym łokciu. Drugą ręką przetarł twarz.

– Nie żartuj tak, Stasińku. Ale masz rację. Porządek musi być. Cała Tereska – zganiła go dobrodusznie. Odsunęła zasłonę, potem firankę i otworzyła na oścież okno. – Herbaty ci zrobiłam. Jeść pewnie nie będziesz, ale przynajmniej wypij coś, zanim wyjdiesz.

Zaczęła składać spodnie wnuka, które nad ranem niedbale rzucił na krzesło przy starym poniemieckim biurku. Leżało na nim kilka gazet motoryzacyjnych i książek o budownictwie. Była też popielniczka i pomięta pusta paczka po giewontach.

– Za dużo palisz, Stasińku.

Pokiwała jeszcze raz głową i wyszła z pokoju, zabierając brudną koszulę.

Staszek wygramolił się z łóżka. Przeciągnął się przed oknem i spojrzał w nie, oceniając pogodę. Niebo zakryły chmury, ale nie zapowiadało się na deszcz. Wciągnął na siebie spodnie i pobiegł szybko do łazienki. Pięć minut później był z powrotem w pokoju. Wyjął z szafy czystą koszulę i szeroki krawat w paski.

Przed wyjściem z domu wypił tylko łyk herbaty. Ucałował babcię, chwycił wiszącą w przedpokoju marynarkę i wybiegł.

– Gdzie tak pędzisz, Stasiu? – usłyszał za plecami, gdy wyskoczył przed dom i nie rozglądając się, ruszył w stronę dworca. Miał jeszcze sporo czasu, ale skończyły mu się papierosy. Głód nikotynowy gnał go bardziej niż obawa przed spóźnieniem do matki na obiad. Odwrócił się i zobaczył siedzącego na ławce sąsiada.

– Na obiad, do rodziców.

– To jeszcze czas. – Mężczyzna spojrzał na zegarek. – Dopiero pół do dwunastej.

– Po prawdzie to papierosy mi się skończyły.

Starszy pan zaśmiał się i wyjął z kieszeni paczkę, wysuwając w jego stronę.

– Oooo, życie mi dziadek uratował.

Staszek sięgnął po papierosa i szybko zapalił. Mówił do sąsiada dziadku, bo znał go, od kiedy pamiętał.

Dziadkowie Staszka przyjechali do Jeleniej Góry w tysiąc dziewięćset czterdziestym siódmym roku. Jan Kneblowski dostał pracę jako księgowy w podnoszącej się z wojennej zawieruchy Hucie Szkła Technicznego. Wawrzecki już tam pracował. Pomógł Kneblowskiemu wyszukać jakiś kąt. Wbrew zapowiedziom, które zachęcały do osiedlania na tak zwanych Ziemiach Odzyskanych, w mieście nie było już wolnych mieszkań. Trafili do marnej, wilgotnej, dwupokojowej klitki na

tyłach bazy transportowej w centrum miasta. Spędzili tam niemal dziesięć lat.

Na początku lat pięćdziesiątych Kneblowscy sprowadzili do Jeleniej Góry córkę z zięciem i dwójką dzieci: synem Staszkiem i córką Marią. Zbiegło się to z wyjazdem dyrektora huty, inżyniera Pawła Szlajfera, który otrzymał posadę wykładowcy na wydziale chemii Uniwersytetu Wrocławskiego.

Szlajfer dobrze żył z Kneblowskim i zaproponował, że sprzeda mu dom, piękną, piętrową, poniemiecką willę, położoną w malowniczej okolicy na obrzeżach miasta. Dom był podpiwniczony, miał pięć pokoi, kuchnię, łazienkę, osobną toaletę, a do tego ogromny ogród z warzywnikiem, pełen drzew owocowych i krzewów. Marzenie.

Kneblowski zgodził się na cenę dwudziestu jeden tysięcy, która stanowiła równowartość jego rocznych zarobków. Zapłacił całą sumę i poszli do jedyne go w okolicy rejenta. Ten jednak twierdził, że dekret o ochronie granic państwowych zabrania sprzedaży domów w pasie przygranicznym. Mimo że Kneblowski zapłacił, notariusz nie spisał aktu własności. Szlajfer machnął ręką i wyjechał, a sprawa ciągnęła się jeszcze przez kilka lat.

Kneblowski pisał najpierw do Wojewódzkiego Urzędu Spraw Wewnętrznych we Wrocławiu. Urzędnicy odpowiedzieli, że owszem, dekret zabrania osiedlania w pasie przygranicznym, ale nie reguluje spraw związanych ze sprzedażą nieruchomości. Tym bardziej jeśli ktoś już się osiedlił. To notariuszowi nie wystarczyło. Nie pomogła też interwencja w Ministerstwie Sprawiedliwości. Był niewzruszony. Nie chciał spisać aktu. W międzyczasie do sprawy włączył się urząd finansowy, który wciąż naliczał należności podatkowe na prawowitego właściciela, czyli Szlajfera. Ten odmawiał zapłaty, okazując umowę pisemną z Kneblowskim. Dla urzędników skarbowych nie miała wartości, bo nie została potwierdzona u rejenta. Ale

skoro już ją przedstawiono, urzędnicy zakwestionowali cenę. Ich zdaniem dom był wart kilkakrotnie więcej. I wtedy okazało się, że to była prawdziwa przyczyna odmowy spisania aktu. Notariusz liczył, że kupi od Szlajfera dom za wyższą, zbliżoną do rynkowej cenę. Nie miał pojęcia, że kwota na umowie była zaniżona, a Kneblowski zapłacił tyle, ile dom był wart.

Sprawa oparła się w końcu o sąd. Na mocy wyroku Kneblowski pojechał do Wrocławia i u innego notariusza dopełnił z byłym właścicielem wszelkich formalności. Przy okazji przepisał dom na córkę, z zastrzeżeniem, że tylko ona może nim dysponować. Musiał jednak uregulować sporny podatek. Połowę sumy, którą oficjalnie zapłacił Szlajferowi. Odwoływał się, pisząc, że kwota podatku jest zawyżona, dom był w złym stanie, wymagał remontów i napraw. Razem z żoną żyli z rent inwalidzkich i niewielkich kwot, które Jan otrzymywał za prowadzenie księgowości w kole łowieckim. Urząd był niewzruszony. Wyznaczył termin zapłaty i nie zamierzał zmieniać decyzji. Rodzina uzbierała jakoś całą sumę i w końcu zapłaciła.

Ku zdziwieniu Wawrzeckiego Kneblowscy nie zamieszkali w nowym domu razem z córką Teresą i zięciem Bronisławem. Miejsca było aż nadto, bo Staszek zaczął naukę w Technikum Przemysłu Drzewnego w Sobieszowie. Ledwie piętnaście kilometrów, ale w szkole był internat, w którym otrzymywali miejsce wszyscy dojeżdżający uczniowie. Do rodziców wpadał w sobotę po południu, a w niedzielę wieczorem jechał już z powrotem do Sobieszowa.

Na co dzień duży dom zajmowały tylko trzy osoby. A Kneblowscy nadal gnieździli się na tyłach bazy transportowej. Wawrzecki szybko jednak zrozumiał, w czym rzecz. Teresa była trudna we współżyciu. Na każdy temat miała własne zdanie, o wszystkim musiała decydować. Począwszy od tego, co będzie na obiad, po to, co będzie robił w życiu ich syn.



Zainteresowania i wybory chłopaka nie miały znaczenia. Dyrygowała też mężem, który zupełnie nie miał nic do powiedzenia. Najpierw popchnęła go, aby otworzył niewielką hurtownię warzyw i owoców. A gdy inicjatywa prywatna zaczęła być źle widziana, załatwiła mu pracę w zaopatrzeniu wydziału melioracji.

Podobnie było w pracy. W Wojewódzkim Przedsiębiorstwie Handlu Artykułami Codziennego Użytku Teresa pracowała jako kierowniczka działu zaopatrzenia materiałowego i administracji. Wszystko musiało zależeć od niej. To ona wybierała dostawców, to ona decydowała, gdzie, kiedy i kto wykona remont. Była kłótliwa i roszczeniowa. Ale skuteczna. Dbała jednak o swoich przełożonych, co zapewniało jej mocną pozycję. A przy okazji ogromne możliwości i wpływy. Działała jak grabie, które garną do siebie. Dzięki temu rodzinie niczego nie brakowało. Dlatego rodzice, pomimo że kupili jej dom, nie chcieli z nią mieszkać.

Wawrzecki zlitował się nad znajomymi i zaoferował, by zajęli parter jego domu. Eleganckiej willi w stylu art déco na wzgórzu zaraz przy dworcu kolejowym. Wiedział, że w ten sposób zapewni sobie dobrego sąsiada, a zarazem spadnie z niego część kosztów utrzymania i remontów budynku. I tak Kneblowscy w tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym siódmym roku zamieszkali przy Dworcowej. Wnuk Staszek przychodził do nich często, a dziesięć lat później, chwilę po tym, jak stał się pełnoletni, zamieszkał z dziadkami. Z Wawrzeckim spędzał sporo czasu. Radził się w sprawach życiowych i po jakimś czasie zaczął go traktować jak drugiego dziadka, a nawet ojca.

Stał, delektując się papierosowym dymem. Niedziela była jedynym dniem, w którym Staszek mógł pospać dłużej. Praca w Jeleniogórskim Przedsiębiorstwie Budownictwa Mieszkaniowego nie była zbyt ciężka. Wręcz nudna i monotonna. Co gorsza, w biurze musiał być o siódmej rano.

A on lubił pospać. Po robocie zwykle wpadał z kolegami na piwo. Ci jednak po jednym, najwyżej dwóch kuflach uciekali do domu. Do żon i dzieciaków. Każdy miał obowiązki.

Staszek też miał dziecko, ale syna widywał jedynie co parę miesięcy. Matka chłopca wyjechała na drugi koniec Polski. Dziewczyna była porządna, pracowita, z dobrej rodziny. Właściwie uciekła, do ślubu nie doszło, bo nie była w stanie dogadać się z przyszłą teściową. To wtedy Staszek wyniósł się od rodziców. I on miał dość matki, która wtrącała się we wszystko i w każdym obcym widziała wroga. Teraz też miał na oku jedną dziewczynę, ale nie zamierzał powtarzać poprzedniego błędu. Uznał, że będzie lepiej, jak matka dowie się o przyszłej synowej tuż przed ślubem, gdy wszystko będzie już ustalone. I gotów był ponieść konsekwencje tej decyzji, bo nie miał wątpliwości, że mamusia się wścieknie.

– Jak sprawy? – zapytał Wawrzecki, widząc, że Staszek o czymś rozmyśla.

Chłopak wzruszył ramionami.

– Oj Stasiu. Mogłeś ty poczekać na moją Anię.

– Toż to jeszcze parę lat, dziadku.

– Zleci jak nic.

– Pewnie tak, ale na razie muszę się żenić.

– Musisz? – Wawrzecki uniósł brwi.

– Muszę i basta! – Staszek mrugnął porozumiewawczo okiem.

– A, jak mus, to mus. – Mężczyzna rozłożył ręce.

– Biegnę. Kupię papierosy na dworcu i złapię tramwaj.

Sąsiad tylko uniósł rękę na pożegnanie.

Staszek zbiegł po kamiennych schodkach na plac przed dworcem. Kupił papierosy w kiosku i dogonił odjeżdżającą jedynekę. Stary tramwaj skrzypiał i piszczął na zakrętach. Od kilku miesięcy mówiono, że Miejska Rada Narodowa zamierza całkowicie zlikwidować tramwaje. Parę lat temu zamknięto już i zastąpiono autobusami linię do Podgórzyna. Okazało się, że

autobusy, choć nowsze, były jeszcze bardziej awaryjne, ale mogły dojechać wszędzie. Czy dojeżdżały, to inna sprawa. Zimą nie miały szans ze śniegiem, z którym tramwaje mimo wszystko dawały sobie radę. To nie miało jednak znaczenia. Decyzje podejmowano na wyższym szczeblu partyjnym, we Wrocławiu. A może nawet w Warszawie. W mieście mówiono, że wysłużone wozy tramwajowe przydadzą się jeszcze przez jakiś czas w innym mieście. A zatem los jeleniogórskich tramwajów był przesądzony.

Tramwaj zatrzymał się przy Małej Poczcie. Staszek przebiegł na drugą stronę ulicy i spojrzął na zegarek. Było już piętnaście po dwunastej. Z tego miejsca miał do domu rodziców jeszcze piętnaście minut marszu. A to dawało mu pół godziny zapasu. Postanowił wykorzystać ten czas. Podbiegł kawałek w kierunku, w którym odjechał tramwaj, i wszedł po schodkach do restauracji Myśliwska. Tak naprawdę nie była to restauracja. Poza daniami barowymi serwowano tu głównie piwo. A piwo Staszek lubił. Ugasił pragnienie kuflem lwóweckiego, zapalił papierosa, a potem zamówił jeszcze jeden. Wypił wolniej niż poprzedni. W głowie mu zaszumiało i poczuł się senny. Odezwała się zakończona nad ranem zabawa, z której niewiele pamiętał. Kilka godzin snu nie mogło wystarczyć do zregenerowania sił. Postanowił zdrzemnąć się po obiedzie. Odstawił kufel i wyszedł na ulicę.

Droga do domu zajęła mu nieco więcej czasu niż zwykle. Szedł wolno, a mimo to dostał zadyszki. Czysta koszula zaczęła nieprzyjemnie lepić się do pleców. Sapiąc, skręcił w ulicę Szpaczą za pięć pierwsza. Z daleka dostrzegł ojca siedzącego na ławce przed domem. Był przygarbiony, miał strapioną twarz. Palił, patrząc wprost przed siebie. Obłoczki dymu unosiły się nad jego głową.

Staszek otworzył furtkę i przywitał się z psem. Poklepał ciemnoburego kundla i pokonał ścieżkę biegnącą wzdłuż

małego, zadrzewionego ogrodu przed domem. Drugi, ogromny ogród znajdował się na tyłach.

Na drzewach wisały niedojrzałe jabłka. Zerwał jedno i wytarł o spodnie, a potem ugryzł. Kwaśny sok popłynął mu po brodzie. Przysiadł obok ojca i bez słowa wyjął papierosy.

Przez długą chwilę palili, wpatrując się w drzewa uginające się pod ciężarem owoców. Wreszcie usłyszeli dzwonek, który oznajmiał, że nadeszła pora obiadu. Jego dźwięk dobiegał z wnętrza domu wzmacniany zapachem wydobywającym się z kuchennego okna, pod którym siedzieli.

Staszek zgniótł niedopałek o betonowy chodnik okalający dom i wrzucił do stojącej przy ławce starej puszki po farbie. Obaj wstali i wciąż nic nie mówiąc, weszli do środka.

W jadalni siedziała już Maria. Miała spuszczoną głowę i skulone ramiona. Staszek wiedział, że musiała dostać od matki solidną burę, a może i kilka razy od ojca. Nie zamierzał się wtrącać. Sam by jej chętnie dołożył, ale czasy, gdy wymierzał braterską sprawiedliwość, dawno minęły. Może z wyjątkiem ostatniej nocy, ale ten klaps był usprawiedliwiony koniecznością zapanowania nad krnąbrną dziewczuchą.

Należało się gówniarze – pomyślał, siadając do stołu przykrytego białym niedzielnym obrusem.

Rosół. Gorący i tłusty. To było coś, czego Staszek teraz potrzebował. Już po pierwszej łyżce poczuł się lepiej. Ciepło rozchodziło się po ciele, wywołując błogie uczucie senności. Zjedli w milczeniu. Maryśka mieszała łyżką w talerzu i skończyła, gdy on i ojciec mieli już przed sobą talerze z drugim daniem. Mężczyznom zawsze przypadły udka. Kobiety jadły pierś.

Atmosfera była ciężka. Coś wisiało w powietrzu. Po minie ojca i zapuchniętych oczach Marii domyślił się, że w nocy musiała być solidna awantura. Matka też wyglądała, jakby to była stypa, a nie niedzielny obiad. Bez słowa posprzątała

talerze. Ojciec nie ruszył się od stołu, choć zwykle przed kawą i deserem wychodził na papierosa. Zamiast tego sięgnął do stojącej przy ścianie komody i wyjął butelkę wódki. Postawił na stole trzy kieliszki i nalał. Matka, która akurat wniosła ciasto, nie zareagowała. To było kolejne odstępstwo od normy, bo zwykle zaczynała zrędzić, widząc na stole alkohol. Widać powód musiał być ważny. Staszek wypił z ojcem po dwa kieliszki, zanim zdążyła podać kawę. Maria siedziała w milczeniu, wciąż ze spuszczoną głową.

Wreszcie matka usiadła za stołem i posłodziła swoją kawę. Słodziła dużo, trzy łyżeczki. Staszek i ojciec pili zawsze gorzką. Marii rzadko pozwalano, choć Staszek wiedział, że w lokalach, w których bywa, bez przerwy pije kawę i wino. Nie miała jeszcze osiemnastu lat, a jednak jakoś jej się udawało zamawiać alkohol. Pewnie dlatego, że flirtowała z kelnerami.

– Musisz coś zrobić – odezwała się matka poważnym tonem, patrząc na Staszka.

Uniósł kieliszek i w milczeniu wychylił z ojcem jeszcze jedną kolejkę. Wiedział, że nie ma sensu nic mówić. Nawet gdyby to było coś, czego nie chciałby zrobić, i tak by musiał. Taka już była. Zawsze stawiała na swoim.

Czekał, aż sama powie, o co chodzi. Nie spieszyła się. Nadpiła kawę i nałożyła wszystkim ciasto. Widać było, że się zastanawia, szuka odpowiednich słów, aby wyłożyć sprawę.

– Jak on się nazywa? – zapytała nie wiedząc kogo, rozstawiając jednocześnie talerzyki.

Staszek spojrział teraz na Marię. Po sposobie, w jakim matka zadała to pytanie, domyślił się, że było skierowane właśnie do niej. Wciąż siedziała ze spuszczoną głową.

– Nie będę powtarzać! – Teresa syknęła ze złością. Jej kręcone jasne włosy drgnęły nerwowo, a usta zacisnęły się i skrzywiły.

– Franek – odpowiedziała Maria przyciszonym głosem, nie podnosząc głowy.

– Franek, jak?! – Teraz ton matki był jeszcze bardziej jadowity.

– Cybulski. – Dziewczyna wyszeptała nazwisko.

– Znasz, Stasiu, jakiegoś Franciszka Cybulskiego?

Nagle zmieniła barwę głosu na łagodną i uśmiechnęła się, odwracając do syna.

Staszek doskonale znał ten uśmiech. Wcale nie oznaczał zadowolenia. To była maska, którą matka przybierała w chwilach szczególnej wściekłości. Rozłożył bezradnie ręce, wciskając jednocześnie głowę między ramiona.

– No to zjesz ciasto... – zawiesiła na chwilę głos – ...a potem zbieraj się. Masz się dowiedzieć, kto to jest. Gdzie mieszka? Kim są jego rodzice? Jaką szkołę skończył? Wszystko.

Staszek spojrzał na ojca, który kiwnięciem głowy potwierdził słowa matki. Otworzył lekko usta, chcąc o coś zapytać, ale ubiegła go.

– No, powiedz bratu! – warknęła znowu na córkę. Jej głos na powrót przypominał syk jadowitego węża.

Maria zaczęła chlipać pod nosem i jeszcze bardziej spuściła głowę. Teraz podbródkiem dotykała już piersi.

– W ciąży jest, smarkula. – Matka z taką siłą nacisnęła na kawałek ciasta, że łyżeczka omal nie rozbiła talerzyka. – Twierdzi, że z tym Frankiem. Coś o tym wiesz?

– Ja? – Staszek wybałuszył oczy. – A skąd mam wiedzieć? – Pokręcił głową, natychmiast zaprzeczając.

W duchu dziękował, że naprawdę nic nie wie, bo zostałyby od razu obarczony winą, że nie zaalarmował wcześniej o zbliżającym się niebezpieczeństwie.

– Jeszcze tego nam brakowało. Nie skończyła jeszcze siedemnastu lat. Co ludzie powiedzą? – mówiła, nie spuszczać wzroku z córki. – Dziewiąta klasa. I co teraz? Co teraz? – powtarzała, nie oczekując odpowiedzi.

Staszek sięgnął po kieliszek. Kątem oka dostrzegł unoszącą się dłoń matki. Spojrzał w jej stronę. Oczy miała lodowate, a twarz stężała.

– Wystarczy! – Pokręciła głową.

Cofnął rękę i zacisnął palce, jakby jej głos był smagnięciem niewidzialnej różgi.

– Musisz się jeszcze dzisiaj czegoś dowiedzieć o tym chłopaku. Tylko pamiętaj. O ciąży ani słowa. Nikomu!

Westchnął i zabrał się do ciasta. Doskonale wiedział, że nie ma się co ociągać. Matka nie żartowała. Dawno nie widział jej w takim stanie. Ostatnio przed pięciu laty. Wtedy to on spowodował jej wściekłość. Wściekłość i strach. Była silną kobietą. Przeżyła wojnę i tułaczkę po wsiach, zanim trafili do Jeleniej Góry. Przez niemal dziesięć lat mieszkali w Wąsoszu nieopodal Rawicza w Wielkopolsce. Ojciec chorował, a cały dom był na jej głowie. Poradziła sobie. Skończyła kurs aptekarski w Górze i została panią aptekarką w niewielkiej wiosce Luboszyce. Trochę zarabiała, trochę ludzie przynieśli. Głównie mleko, masło czy jajka. Z wdzięczności. Bo o leki było trudno. Niewiele dało się dostać. Szczególnie na wsi. Resztę sami musieli wypracować. Mieli króliki, kozy i trochę kur. Radzili sobie jako tako. Mieszkali w dwóch pokojach nad apteką. Z piecami kaflowymi, małą kuchenką i wychodkiem na podwórku. Najtrudniej było zimą. Staszek z przerażeniem przypominał sobie tamte czasy.

Gdy przyjechali do Jeleniej Góry, wszystko zmieniło się na lepsze. Mieli piękny dom, a rodzice dobrą pracę. Staszek skończył szkołę i dzięki protekcji matki trafił do JPBM-u. A jednak były sprawy, których matka się bała. Sprawy, które mogły zagrozić rodzinie, zniszczyć ich spokojne, poukładane i dostatnie życie. On też się bał. Wszedł w dorosłość z bagażem, który niespodziewanie trafił na jego barki. Odpowiedzialnością za bezpieczeństwo rodziny.

Zjadł ciasto, zapalił jeszcze z ojcem przed domem i poszedł, nie chcąc drażnić niepotrzebnie matki. Wiedział, że jest za wcześnie, aby kręcić się po jeleniogórskich lokalach. O tej porze, jak to w niedzielę, ludzie siedzieli jeszcze po domach. Obiad z rodziną, potem spacer z dziećmi i lody. Do lokalu na wódkę przychodzili później. Dlatego Staszek uznał, że lepiej będzie się przespać i nabrać siły przed zadaniem, jakie mu wyznaczono.

Wiedział, że nie będzie łatwo. Siostra ostro balowała. A że była ładna, wciąż kręciło się przy niej sporo chłopaków. Raczej gówniarzy. Byli sporo młodszy od Staszka. Przeważnie uczyli się w ostatnich klasach szkół średnich, studiowali na Politechnice czy w oddziale zamiejscowym Wyższej Szkoły Ekonomicznej we Wrocławiu. Martwiło go co innego. Zastanawiał się, czy ten Franek nie jest przypadkiem chorążym, z którym przyłapał siostrę ubiegłej nocy.

Było po siódmej wieczorem, gdy Staszek wyszedł z mieszkania dziadków. Wolał im nie wspominać o tym, co się dzieje. I tak mieli sporo problemów. Babcia przed dwoma laty przeszła wylew i wciąż miała niedowład lewej ręki. Dziadek chorował na kataraktę i już niewiele widział. Oboje dobiegali osiemdziesiątki. Chciał im oszczędzić dodatkowych trosk.

Do peteteku miał zaledwie kilkaset metrów, ale tam i tak niczego by się nie dowiedział. Ten lokal odwiedzała młodzież w jego wieku. Mimo że miał już dwadzieścia pięć lat, wciąż określano go w ten sposób. Minął skrzyżowanie i wszedł do Relaxu. Przy stolikach siedziało zaledwie kilka osób. Nikogo nie znał, więc postanowił pogadać z kelnerami. Owszem, widzieli Marię, ale nic konkretnego się nie dowiedział. Wokół niej zawsze dużo się działo. Za dużo jak na tak młodą dziewczynę.

Odwiedził kilka lokali wokół placu Ratuszowego, co też nic nie przyniosło. To nie był jej rewir. Wreszcie trafił do Gieku przy Obrońców Pokoju. Klub Garnizonowy, nazywany Giekiem,



należał do podchorążówki. Wiosną odbywały się w nim komisje wojskowe. Na piętrze urzędowała Wojskowa Komenda Uzupełnień. A na parterze, w dużej sali, organizowano zabawy dla młodzieży.

Przy barze spotkał kolegę ze szkoły, który został w wojsku po odbyciu obowiązkowej służby zasadniczej. Staszek do wojska nie poszedł. Nie chciał. Pomogły znajomości matki. Na komisji wojskowej dostał kategorię B, a takich nie brano. Piotrek był teraz na etacie w szkole radiotechnicznej „Pod Jeleniami”. Tak ją nazywano, bo na masywnych filarach bramy prowadzącej do jednostki stały dwa mosiężne jelenie.

Spotkanie po latach było dobrą okazją do wypicia paru piw i wspomnień z czasów szkolnych. Rozmawiali o kolegach. Kto skończył studia, gdzie pracuje, kto wyjechał z Jeleniej Góry i gdzie teraz mieszka. Staszek nie liczył, że Piotrek może coś wiedzieć o poszukiwanym chłopaku siostry. Mimo to podzielił się sprawą, która przygnała go do Gieku. Nie wspomniał jednak, dlaczego go szuka.

Ku jego zaskoczeniu Piotrek okazał się bardzo pomocny. Znał wszystkich, którzy bywali na zabawach w Klubie Garnizonowym. Wyszedł na chwilę i zatelefonował z aparatu w holu. Zanim Staszek dopił piwo, miał już dokładne informacje, z kim aktualnie spotyka się Maria.

Było już po dziesiątej, gdy Staszek wszedł do budki telefonicznej na Podwalu. Nie czuł się na siłach iść pieszo do rodziców. Było za daleko, a poza tym sporo wypił. Miał trochę w czubie. Obawiał się, że matka nie okaże zadowolenia na jego widok. Mimo to uznał, że musi jeszcze dzisiaj przekazać wszystko, czego się dowiedział. Zadzwoił, prosząc, aby ojciec po niego przyjechał. Piętnaście minut później wcisnął się do enerdowskiej mydelniczki, która ruszyła z warkotem, wyrzucając z siebie jak zawsze kłęb białych spalin.

Po drodze z trudem streścił, jak się sprawy mają. A miały się niezbyt dobrze. Gdy wchodzili do domu, zobaczył, że ojciec jest blady jak ściana. Nie był tym zdziwiony. Rozumiał.

Matka nie skomentowała ani słowem stanu upojenia alkoholowego syna. Wysłuchiwała go z kamienną twarzą. Milczała przez kilka minut. Nie zareagowała nawet, gdy ojciec sięgnął po butelkę. Odezwała się dopiero, gdy wypili po drugim kieliszku.

– Zadzwoń jutro do pracy. Powiesz, że jesteś chory. Później załatwię ci zwolnienie – dodała, widząc, jak szeroko otwiera oczy ze zdziwienia.

Wszystkiego mógł się spodziewać po matce, ale nie tego, że załatwi mu lewe zwolnienie. Parę razy zdarzyła mu się bumelka i nigdy nie uległa, gdy prosił ją o coś podobnego.

– Zostaniesz tutaj – mówiła rzeczowo i spokojnie. Widać miała już jasny plan, co chciała zrobić. – Będziesz pilnował tej smarkuli. Nie ma prawa wyjść z domu. I żadnych telefonów. My z ojcem pojedziemy coś załatwić. Dwa dni nas nie będzie.

Uniosła rękę, uciszając go, zanim zdążył zadać pytanie.

Staszek spojrzał na ojca.

– Rób, co matka mówi – powiedział przygaszonym tonem. – Musimy jako... – zawiesił głos.

– Dokąd jedziecie? – Staszek z trudem wymawiał słowa.

Matka nie odpowiedziała. Wstała i wyszła z pokoju. Słyszał jeszcze, jak wchodzi po schodach na piętro i idzie do pokoju siostry, który znajdował się nad jadalnią. Potem dobiegły go tylko stłumione krzyki i jakieś głucho uderzenie. Coś upadło na podłogę. Tej nocy nic więcej się nie wydarzyło.

\*

Następnego dnia Staszek zrobił tak, jak kazała matka. Zadzwoił do pracy, mówiąc, że jest chory i musi iść do lekarza.

Prawdopodobnie zatrucie pokarmowe. Obiecał dostarczyć zwolnienie lekarskie, gdy tylko będzie na siłach dowlec się do zakładu.

Rano zdążył jeszcze wyskoczyć do kiosku i zrobić mały zapas papierosów. Kupił więcej, bo nie był pewny, czy wyjazd rodziców potrwa faktycznie dwa dni. Nie wiedział nawet, dokąd jadą. Domyślał się jedynie, bo pomógł ojcu włożyć do bagażnika dwa duże kanistry benzyny. To oznaczało, że wybierają się daleko, a daleko mogli jechać tylko w jednym kierunku. Ale nie zamierzał o nic pytać. Uznał, że tak będzie lepiej dla wszystkich. Był pewny, że matka znajdzie rozwiązanie. Zawsze wiedziała, co robić, by ratować rodzinę przed niebezpieczeństwem. Nie był jednak zadowolony z przymusowego aresztu domowego. Nie miał piwa, które tak lubił. Brakowało mu kufelka lwóweckiego fula, który zawsze wychylał w Myśliwskiej w drodze z pracy.

Do knajpki nie było daleko, ale nie odważył się wyjść z domu. Gdyby smarkuła dała nogę, konsekwencje mogły być tragiczne. Uznał, że jakoś wytrzyma. Rzecz jasna w komodzie w stołowym była wódka i spory antałek z wiśniówką własnej roboty. Jednak i tego nie odważył się tknąć. Po wypiciu paru kieliszków miał mocny sen. A to też dawało siostrze szansę na wymknięcie się z domu. Właściwie nie był pewny, czy miała zamiar uciekać, ale można się było spodziewać wszystkiego.

Na szczęście rodzice wrócili już późnym popołudniem następnego dnia. Matka zarządziła, że jeszcze dzień może nie iść do pracy. Potrzebowała trochę czasu, aby załatwić jego zwolnienie, i to ze wsteczną datą. Zdążył skoczyć do pobliskiego sklepu i przyniósł kilka butelek wrocławskiego piasta.

Piwo było świeże i smakowało wybornie. Szczególnie po niemal dwóch dniach przymusowej abstynencji. Siedzieli z ojcem na ławce przed domem. Nie rozmawiali. Staszek nie chciał pytać, a ojciec pewnie i tak nic by mu nie powiedział.

Palili papierosy, wpatrując się w jabłka i pociągając co jakiś czas goryczkowany płyn. Było spokojnie i cicho, choć Staszek czuł się nieswojo. Jemu też udzielił się strach.

W następną niedzielę podczas obiadu matka powiedziała, że muszą wyjechać na kilka dni. Tym razem z Marią. On miał przypilnować domu pod ich nieobecność. Wracać zaraz po pracy, nakarmić psa oraz przydomowy inwentarz: kury i króliki. Tak jak poprzednio nie wspomniała, dokąd jadą i kiedy wrócą. Nadal nie zadawał pytań. Robił to, czego od niego oczekiwano.

Rodzice wrócili w czwartek. Sami. Matka nic nie powiedziała o Marii. Tak jakby nigdy nie było jej w tym domu. Zdał relację z tego, co działo się pod ich nieobecność. Opowiedział o wizycie tego chłopaka. Przyszedł nagle i dopytywał się o Marię. Właściwie o Beatę. Pogonił go. Wspomniał też o wciąż dzwoniącym telefonie, którego po prostu nie odbierał.

Matka wysłuchiwała w milczeniu, a na koniec pochwaliła, że wszystko wykonał dobrze. Usiedli z ojcem, wypili parę kieliszków wiśniówki, a potem Staszek wrócił do dziadków. Nic im nie powiedział o kłopotach z Marią ani o jej zniknięciu. Gdy babcia pytała, odpowiadał jak zwykle, że wszystko dobrze.

Przez kolejne miesiące życie toczyło się zwykłym rytmem. W każdą niedzielę Staszek przychodził do rodziców na obiad. Palił z ojcem przed domem, a gdy zrobiło się chłodno, schodzili do warsztatu w piwnicy. Matka pozwalała na palenie w domu tylko przy wyjątkowych okazjach. Głównie gdy mieli gości. Teraz jednak nikogo nie zapraszano. Na wszelki wypadek, aby nie trzeba było się tłumaczyć z nieobecności córki.

Wśród sąsiadów rozpowiedziano wieść, że wyjechała do Wrocławia, do szkoły z internatem. Pytali, dlaczego tak nagle, już po rozpoczęciu roku szkolnego. Ale i to dało się łatwo wytłumaczyć. Wszyscy wiedzieli, że znalezienie miejsca w dobrej szkole nie jest łatwe. Trzeba było mieć chody albo

zwyczajnie dać komuś w łapę. Więc ludzie, widząc mrugnięcie okiem, które miało zastąpić odpowiedź, kiwali głowami ze zrozumieniem, a nawet z uznaniem. Przy okazji wspomniano, że dziewczyna zdolna; szkoda, aby się marnowała na prowincji. A Wrocław to zawsze szansa.

Rzeczywistość była inna. Maria już w podstawówce miała trudności. Z klasy do klasy ciągnęły ją znajomości matki i noszone prezenty. Za kilo schabu i parę butelek importowanego alkoholu nauczyciele byli skłonni przymykać oko. W podstawówce taki układ sprawdzał się doskonale. Niestety, pierwszy rok w technikum okazał się kompletną klapą. Grono pedagogiczne podchodziło do takich rzeczy nieufnie. Nauczyciele nie znali Teresy i bali się przyjmować podarunki. Zresztą to nie podstawówka i starano się trzymać wysoki poziom nauczania. W tej sytuacji drobny prezent nie wystarczał. A do tego sama Maria mocno utrudniała sytuację. Nie dość, że uczyła się słabo, to zaczęła wagarować. Wołała przesiadywać w parku z chłopakami. Każdy piątek i sobotę spędzała na prywatkach albo zabawach w lokalu. Matkę sporo kosztowało, aby rada pedagogiczna przepuściła ją do kolejnej klasy.

W każdą niedzielę Staszek, wchodząc do stołowego, spoglądał na stół i liczył nakrycia. Wciąż stały tylko trzy talerze. A to oznaczało jedno. Zdał sobie sprawę, że Maria nie wróci, dopóki nie urodzi. Nie miał tylko pojęcia, co potem. Zastanawiał się, jak tym razem matka to załatwi. Mógł się jedynie domyślać.

Przed Bożym Narodzeniem postanowił wykorzystać niejasną sytuację w domu. Uznał, że teraz matka łatwiej przełknie wiadomość o zamiarze ożenku. Podczas deseru wspomniał, że w pierwszy dzień świąt chciałby przyjść ze swoją dziewczyną. Spojrzała badawczo, ale o nic nie zapytała. Już sam fakt, że nie zaprotestowała, był sukcesem. Zawsze mówiła, że święta to czas wyłącznie dla rodziny.

\*

Aromat ciasta, świeżo mielonej kawy i świątecznych potraw mieszał się z zapachem dymu ulatującego z kuchennego pieca. Ogromna choinka w stołowym i śnieg za oknem tworzyły wyjątkowy klimat. Matka krzątała się w kuchni. W tym roku nie miała za wiele pomocy. Ojciec zmielił jak zawsze mak i ser. Zabił karpie pływające od tygodnia w wannie. Ale poza tym niewielki był z niego pożytek. Staszek przyszedł dopiero na Wigilię.

Po kolacji matka zamknęła się w pokoju i gdzieś telefonowała. Gdy wróciła do stołu, spojrzała na syna i zapytała, o której przyjdzie ze swoją sympatią. Wtedy powiedział, że to nie sympatia i że dobrze będzie zrobić ślub na Wielkanoc. Uśmiechnęła się tylko. Ten uśmiech mógł oznaczać wszystko.

Następnego dnia Staszek przyprowadził Basię. Przyszli wcześnie, jeszcze przed dziewiątą. Była ładna. Miała długie blond włosy i zgrabną figurę. Z zażenowaniem próbowała ukryć zaokrąglony brzusek. Matka zapytała, który to miesiąc, i dodała, że w takim razie ślub trzeba wziąć na dwie raty. Dziecko musiało urodzić się w rodzinie. Do tego wystarczył ślub cywilny. A do kościoła nie wypadało iść z brzuchem. Jej zdaniem sierpień był najlepszy, bo pogoda dobra i tradycja, która mówi, że „r” w nazwie miesiąca przynosi szczęście małżeńskie. Dziewczyna spłonęła rumieńcem.

Całą rodziną pojechali do kościoła w Dąbrowicy. Po mszy wrócili do domu. Basia zaoferowała pomoc przy przygotowaniu obiadu. Matka chętnie na to przystała. To był doskonały moment, aby przyjrzeć się przyszłej synowej. Staszek dostrzegł w jej oczach zadowolenie. Ale nie dał się zwieść. Wiedział, że to tylko pozory. Matka nie zamierzała poprzestać na krótkim zapoznaniu. Na pewno zaraz po świętach zrobi dokładny wywiad.

Do stołu usiedli o pierwszej. Atmosfera była uroczysta. Teresa brylowała i wciąż chwaliła syna. Długo powstrzymywała się przed zarzuceniem dziewczyny pytaniami. Staszek z uśmiechem przyjął jej pierwsze.

– Basiu, a ty skąd pochodzisz?

– Ze Śląska, z takiej małej miejscowości.

Matka przechyliła głowę, pokazując, że czeka.

– Z Bierunia. Małe miasteczko, w połowie drogi z Tychów do Oświęcimia.

– Ach tak. A jaką szkołę kończyłaś?

– Handlową.

– A gdzie pracujesz?

– W sklepie. W delikatesach na 1 Maja – dodała, widząc, że zdawkowa odpowiedź nie wystarczy.

Teresa kiwnęła głową z aprobatą.

– Mam tam dobrą kierowniczkę i koleżanki.

– Tak, znam panią Ewę – powiedziała z uśmiechem Teresa. – A co robią twoi rodzice?

– Mamy małe gospodarstwo. Ale ojciec i bracia pracują w kopalni. U nas się mówi, że w Bieruniu też będą otwierać kopalnię.

Staszek widział, że matka odgrywa rolę wspaniałej teściowej. Przyszłej teściowej. Chwaliła dziewczynę, mówiła, że trafiła jej się piękna synowa. Zaproponowała nawet, aby oboje zostali na noc. W końcu święta były dobrą okazją do poznania się lepiej. Był pewny, że zaraz po świętach zrobi o Basi dokładny wywiad. Sprawdzi jej rodziców, krewnych i ją samą.

Na szczęście rekonesans wypadł pomyślnie. Dziewczyna miała dobrą opinię. Nie chodziła po lokalach, nie prowadziła się z chłopakami. Handlowkę skończyła z dobrym wynikiem i dostała bez problemu pracę w PSS Społem. Dobre referencje wystawiła jej też kierowniczka sklepu. Na razie to wystarczyło.

Ślub cywilny wzięli jeszcze w karnawale. Dyskretny. Panna młoda z brzuchem i tak stanowiła wystarczający powód do plotek. Ale matka pomyślała o wszystkim tak, by nie wzbudzać sensacji. Najpierw szybka wizyta w Urzędzie Stanu Cywilnego, a potem obiad dla rodziny w restauracji Perła Zachodu, poza miastem. Z dala od oczu sąsiadów i znajomych. Uroczystość kościelną, zgodnie z wcześniejszym planem, wyprawiono w sierpniu. Tym razem już z większym rozmachem.

Maria wróciła wiosną. Była przybita. Przez kilka dni nie wychodziła ze swojego pokoju. Staszek widywał ją tylko podczas niedzielnych obiadów. Wyglądała jak cień. Nie chciała jeść. Miała podkrążone oczy, była przeraźliwie chuda. To tylko ułatwiło sprawę. Rodzice powiedzieli sąsiadom, że rozchorowała się i ostatnie dwa miesiące spędziła w klinice. Miała nawet operację. Kłopoty zdrowotne zmusiły ją do rezygnacji ze szkoły. Na wszelki wypadek zapowiedziano jeszcze dłuższy pobyt w sanatorium, co miało utwierdzić ciekawskich, że sytuacja jest poważna. Uwierzyli. Współczuli, pytali, czy mogą pomóc. Matka prosiła tylko o modlitwę. Nad doczesnymi sprawami panowała, tego wszyscy byli pewni. Dlatego wciąż powtarzała, że trzeba zwracać się do Boga, bo tylko On mógł pomóc.

Sama co tydzień jechała z mężem i córką do kościoła w Dąbrowicy. Zawsze byli pierwsi, niemal pół godziny przed rozpoczęciem mszy. Siadali w pierwszej ławce. I wychodzili jako ostatni. Potem wracali do domu i jedli obiad. Wszystko zgodnie z ustalonym rytmem.

Któregoś dnia Maria zniknęła. Długo odczekała, aby uspić czujność matki, i w końcu wymknęła się z domu. Wróciła w środku nocy kompletnie pijana. Zrobiła potworną awanturę. Wrzeszczała na Teresę, że ta zniszczyła życie jej, temu chłopakowi i ich dziecku. Wyzwała ją od potworów.



Powiedziała, że jest gorsza niż esesmani w Auschwitz. Że brzydzi się nią.

Staszek dowiedział się o tym następnego dnia od ojca. Wpadł do rodziców po telefonie. Teraz, po ślubie, rzadko przychodził, bo razem z żoną zamieszkał u dziadków.

Ojciec był bardzo zdenerwowany, gdy opowiadał o tej kłótni. W takich chwilach sobie nie radził. Dużo palił, a to nie służyło jego zdrowiu. Jeszcze w czasie wojny nabawił się zapalenia płuc, które odzywało się co jakiś czas. Po tej awanturze wylądował w szpitalu. Matka przez chwilę przestała zajmować się Marią, a ta skrzętnie to wykorzystała. Wróciła do Relaxu i znowu zaczęła się bawić. W domu pojawiała się zwykle w środku nocy, mocno wstawiona. Ale teraz matka nie śmiała jej już zwracać uwagi. Po tym, co wtedy wykrzyczała, schodziła jej z drogi. Była przerażona słowami, które padły.

Maraton, który Maria urządziła sobie w lokalach rozrywkowych, trwał prawie dwa lata. Zmieniła się nagle po tym, gdy poznała Piotra. Którejś niedzieli przyprowadziła go do domu na obiad i przedstawiła jako swojego narzeczonego. Matka zaniemówiła i odruchowo spojrzała na jej brzuch. To wywołało tylko śmiech. Tym razem nie była w ciąży.

Piotr szybko dogadał się z ojcem i ze Staszkiem. Nie lubił pić i nie palił, ale był gadułą i chętnie przesiadywał z nimi na ławce, rozprawiając o różnych sprawach. Pracował w Kowarach w fabryce dywanów. Niby tylko robotnik, ale jak każdy obrotny facet mógł załatwić to i owo. Zarabiał bardzo dobrze, a do tego zaopiekował się Marią. Widać było, że dziewczyna jest szczęśliwa. Skończyły się nocne wypady do lokali i powroty w stanie nietrzeźwym. To sprawiło, że i matka zaakceptowała Piotra. Przyjęła nawet to, że jego rodzina należy do Świadków Jehowy. Uspokoilo ją, że on nie wyznaje „kociej wiary”, jak zwykła mówić o jehowitach. I zgodziła się na ślub, a potem razem z mężem i młodymi pojechała na wczasy nad

morze. Za które sama zapłaciła. I sama zaproponowała, aby zamieszkali razem. W końcu dom był duży, miejsca nie brakowało.

Dziecko urodziło się rok po ślubie. Dziewczynka, Kasia. Przez jakiś czas wszystko było w idealnym porządku. Staszek przychodził z żoną na niedzielne obiady. Im urodził się syn. Miał już prawie pięć lat. Matka była szczęśliwa i odgrywała rolę wspaniałej babci. Ale sielanka trwała krótko.

Staszek nie wiedział, co się stało. Ojciec powiedział mu, że doszło do paru awantur. Piotr wyprowadził się i zniknął. Matka wyjawiała później, że pił. Po kryjomu. W domu miało dojść do paskudnej awantury z rękoczynami. Trochę się zdziwił, bo ciężko mu było namówić szwagra na parę kolejek albo wypad na piwo. Ale i tym razem nie zadawał pytań. Tak było prościej.

# 5

## ***Sierpień 2005 roku***

Staszek westchnął ciężko. Podniósł wzrok i spojrzał w oczy Małgorzaty. Były szeroko otwarte. Łapczywie pochłaniała każde słowo, które wypowiadał. Widać było, że opowieść zrobiła na niej ogromne wrażenie. Czekala jeszcze na jedną, najważniejszą informację. Wreszcie nie wytrzymała napięcia i zapytała:

– Ale dlaczego? Co się stało?

Było jasne, że nie pyta o ojca siostry, tylko o to, dlaczego ją oddano do adopcji. Staszek chciał już coś powiedzieć. Wciągnął powietrze i zamarł. Jego wzrok padł na siedzącego na wprost mężczyznę. Był blady. Usta miał rozchylone. Ciężko oddychał. Sięgnął po szklanę z wodą. Ręka drżała tak mocno, że nie mógł sobie poradzić. W końcu zrezygnował. Podniósł wzrok i zwrócił się do Staszka.

– Dlaczego? Też chciałbym wiedzieć dlaczego – wykrztusił z trudem.

Słowa więły mu w gardle. Dławił się i przełykał ślinę. Wreszcie opanował drżenie rąk. Jeszcze raz podniósł karafkę i udało mu się napełnić szklanę. Powoli napił się wody i odstawił naczynie. Spojrzał na siedzącą po drugiej stronie stołu Małgorzatę.

– Nazywam się Franciszek Cybulski. Jestem twoim... – przełknął ślinę raz jeszcze – ...jestem pani ojcem – poprawił się,

a potem zwrócił się do Staszka: – Chyba już się kiedyś spotkaliśmy.

Te wypowiedziane słabym głosem słowa gruchnęły jak uderzenie pioruna. Staszek trzęsącymi się dłońmi wyjął papierosa z paczki. Kilka razy naciskał zapalniczkę. Nie udało się. Upadła na stół, gdy złamał przez nieuwagę trzymanego w drugiej dłoni papierosa. Z rezygnacją wrzucił go do popielniczki i wyjął kolejnego. Cybulski nachylił się, wziął do rąk zapalniczkę i podał Staszкови ogień.

– Może chcesz wiedzieć... – zapytał, patrząc mu prosto w oczy.

– Ja wiem. – Nie pozwolił mu dokończyć. Zaciągnął się i odchylił głowę do tyłu, aby wypuścić dym w górę. – Wiem, jak to było. Wtedy nie dało się inaczej. Ale wreszcie ci przeszło i gdzieś wyjechałeś.

– Wyjechałem? – Cybulski parsknął śmiechem. – Ja nigdzie nie wyjechałem. Dopiero teraz dotarło do mnie, co się wtedy stało. Wrobiliście mnie.

Uniósł palec, celując oskarżycielsko w Staszka.

– O czym ty mówisz?

– Ty naprawdę nic nie wiesz, czy udajesz teraz głupiego? Człowieku, ja nigdzie nie wyjechałem. – Cybulski odzyskał głos i teraz już niemal krzyczał, wciąż wymachując palcem przed twarzą wystraszonego Staszka.

– Dość! – wrzasnęła Małgorzata, przerywając kłótnię. – Nie wyjdziemy stąd, dopóki wszystko się nie wyjaśni. Zdaje się, że mamy sobie sporo do opowiedzenia. – Sięgnęła po stojącą na stole butelkę wódki. Ustawiła kilka kieliszków przed mężczyznami i powoli nalała. Sama uniosła jeden i wypiała, nie czekając, aż do niej dołączą. – No co? – spytała, widząc zdziwienie Cybulskiego. – Tatuś się dziwi? Jestem już pełnoletnia. Pij! – rozkazała Staszкови. – Łatwiej ci pójdzie z tą prawdą. Ty wiesz najwięcej.

Cybulski uniósł kieliszek i wypił do dna, znowu spojrzał na Staszka. Kilka osób zaproszonych siłą na stypę ukradkiem wymknęło się z sali. Przy stole pod oknem pozostał tylko właściciel firmy ochroniarskiej i starsza kobieta. Siedziała niemal w bezruchu. Jej twarz nie wyrażała żadnych emocji. Jakby to, o czym mówiono, zupełnie jej nie dotyczyło.

– Jak mogliście to zrobić? – zapytał teraz już spokojnym głosem.

– Nie mogłeś się dowiedzieć. To by wszystko skomplikowało...

– Nie mówię o tym. To draństwo. Skrzywdziliście ją – wskazał na Małgorzatę – mnie, Marię. Ja nie wiedziałem, że Maria jest w ciąży. Wszyscy ucierpieli. Ale to, co zrobiliście, aby się mnie pozbyć... – Patrzył z wściekłością. Jego oczy kipiały od nienawiści. – To się nie mieści w głowie.

Staszek zmarszczył brwi.

– O co ci chodzi? Po prostu cię pogoniłem. To wszystko.

– Wszystko? Ja pierdolę, człowieku, mogłem przez was zgnieć w więzieniu.

Sam sięgnął po butelkę i nalał córce i sobie. Wypił, nie czekając na resztę.

– W więzieniu? – zapytał Staszek ze zdziwieniem. – W jakim więzieniu?

Cybulski zaśmiał się, nie odrywając wzroku od jego twarzy.

– Albo jesteś głupi, albo tak dobrze udajesz!

– Co udaję? Mówże wreszcie! W jakim więzieniu?!

Wszyscy w milczeniu przysłuchiwali się tej pyskówce. Spoglądali to na Staszka, to na Franka, to na Małgorzatę. Wiadomość, że jej ojciec siedzi przy stole, sparaliżowała gości. Nie dość, że ujawniona historia rodzinna brzmiała jak scenariusz filmu sensacyjnego, to nagle okazało się, że ojciec, który nie miał pojęcia o istnieniu córki, siedzi z nią przy jednym stole.

Staszek gapił się otępiały na Cybulskiego i ten zrozumiał, że on nie udaje. Wypił jeszcze kieliszek wódki i wreszcie sam zaczął opowiadać.

# 6

## ***Sierpień 1966 roku***

– Franek!

Wysoki, szczupły chłopak próbował przekrzyczeć głośno grającą muzykę, która nawet przy toaletach utrudniała rozmowę.

– Co jest, Zdzisiu?

– Wypijemy? – zapytał, mrugając okiem i unosząc butelkę.

– Nie tym razem. Z Beatą jestem...

– Już nie. – Tamten zaśmiał się, wchodząc mu w pół zdania.

Franek odtrącił rękę, którą próbował go przytrzymać, i ruszył w stronę sali.

– Franek, spokojnie, brat po nią był. Właśnie odjechali.

– Co?! – Cybulski odwrócił się do kolegi.

– Mówię ci. Jej starszy brat. Wpadł tu, jak w kiblu byłeś, i ją zabrał. Darła się. Ludzie się przyglądali... mówię ci, jaka poruta. Możemy wypić.

Jeszcze raz uniósł do góry butelkę wódki i kieliszki, które trzymał w drugiej dłoni.

Franek już go nie słuchał. Wbiegł na salę i rozejrzał się. Przy stolikach siedziało sporo młodych ludzi. Przed nimi stały butelki oranżady i wina. Wódka była tylko gdzieś tam. Pomiedzy butelkami, upchnięte w nieładzie, tłoczyły się talerzyki z ciastem i zakąskami. Pełne niedopałków popielniczki uzupełniały nieład. Na niewielkim skrawku

podłogi, który spełniał rolę parkietu, w rytm muzyki podrygiwała grupa dziewcząt i chłopców. Stołki przy barze, tam gdzie pięć minut temu zostawił Beatę, były zajęte.

Franek przeszukiwał wzrokiem salę. Znajomi machali do niego, gdy tylko trafił na ich rozbawione spojrzenia. Przywoływali, aby się przysiadł, unosili do góry butelki, proponując toast. Beaty nigdzie nie było. Miał jeszcze nadzieję, że wyszła do toalety. Poprosił jakąś dziewczynę, aby sprawdziła, czy jej tam nie ma. Wróciła po chwili, rozkładając bezradnie ręce.

Zrezygnowany wyszedł na ulicę. Przed lokalem natknął się na trzy rozbawione dziewczyny.

– Widziałaś? – Śmiała się ładna, wysoka blondynka. – Taki numer. Wapniak po nią wpadł.

Wszystkie wybuchnęły śmiechem.

– Beata – szczupła brunetka wypowiedziała imię z wyższością. – Taka gwiazda. Zawsze ma najlepsze ciuchy i najfajniejszych chłopaków.

– Hmmm – prychnęła trzecia. – Zdzira jedna. Żadnemu nie przepuści. A tu proszę. Na dobranockę nie wróciła i się staruszki wnerwili. Ciekawe, czy się jeszcze pokaże po czymś takim.

– Widziałyście, jak jej wymierzył klapsa? – Blondynka nadal się śmiała.

– Ten jej brat ma łapę. Lubię klapsy, ale takiego bym się bała.

Franek poczuł, jak robi mu się gorąco. Nie wierzył w to, co słyszy. Obgadywały Beatę, nie zwracając na nic uwagi. W końcu zwróciły. Właśnie na niego. Stał, gapiąc się na nie.

– O, proszę! – Blondynka dotknęła palcem ust. – Porzucony narzeczony.

Franek oprzytomniał i zaczął się cofać.

– Hej, przystojniaku, chodź do nas! Jedna z nas z pewnością ją zastąpi. – Brunetka poruszyła biodrami. Miała na sobie



obcisłą, bardzo krótką sukienkę, podkreślającą jej zgrabną figurę. Na biodrach prześwitywał przez sukienkę zarys majtek.

– Eeee, ja już muszę lecieć – wyjąkał z zakłopotaniem i odwrócił się.

Dziewczyny roześmiały się jeszcze głośniej i zaczęły jedna przez drugą go komplementować. Poczuł, że chcą za wszelką cenę go poderwać. Nie miał na to ochoty.

Ruszył szybkim krokiem. Ulica była jasno oświetlona. W restauracji hotelu Europa wciąż trwała zabawa. Dźwięki szlagieru Czerwonych Gitar słyhać było na zewnątrz tak dobrze, że i tu dałoby się tańczyć. Przed wejściem stało kilka osób. Jacyś mężczyźni podtrzymywali kompletnie pijanego kolegę. Dwie kobiety opierały się o ścianę, przyglądając się, jak tamci z trudem utrzymują równowagę. Na widok Franka jedna uśmiechnęła się zaczepnie. Oderwała plecy od ściany i ruszyła w jego stronę.

– A kawaler tak sam? W taką piękną noc? – zagadnęła niskim, zmysłowym głosem, przeciągając wyrazy.

Nie odpowiedział. Odwrócił głowę i przyspieszył kroku.

– Gbur! – usłyszał za plecami urażony ton.

– Dziwka – bąknął pod nosem.

Plac Ratuszowy był opustoszały, nie licząc kilku zawianych facetów, którzy utknęli w podcieniach kamieniczek, kończąc wyniesioną z lokalu butelkę wódki. Szedł, rozmyślając, co zrobić. Wiedział, gdzie mieszka Beata. Parę razy ją odprowadzał, ale nigdy nie pozwoliła mu wejść nawet na ulicę, przy której stał dom. Nie mógł zrozumieć, dlaczego nie chce przedstawić go rodzicom. Miał już parę dziewczyn, którym bardzo na tym zależało. W końcu był podchorążym, a jak mówiono – za mundurem panny sznurem.

Kilka razy naciskał na Beatę, by zaprosiła go do domu, ale ona powtarzała tylko, że to nie najlepszy pomysł. Wymawiała się tym, że matka nie lubi gości. Że rzadko ktokolwiek do nich

przychodzi. Zastanawiał się, czy nie powinien kupić kwiatów, butelki wódki, bo tak zwykle składało się pierwszą wizytę u rodziców narzeczonej i pójść, nie pytając jej o zgodę. Teraz nie miał ani kwiatów, ani butelki. Zresztą o tej porze nie było tam czego szukać. Przepustkę dostał do siódmej, a rano nie będzie mógł się wyrwać ze szkoły. O jedenastej nowy rocznik miał przysięgę. Starzy z tego powodu mieli mnóstwo roboty. A od poniedziałku jego kompania przejmowała służbę wartowniczą i nikt przez następny tydzień nie mógł opuszczać terenu koszar i szkoły. To oznaczało, że nawet w sobotę nie zdoła się zobaczyć z Beatą.

Ta myśl nie dawała mu spokoju. Miała mu coś ważnego do powiedzenia. Ale nie chciała rozmawiać w lokalu. Ustalili, że porozmawiają, gdy będzie odprowadzał ją do domu. Teraz musiał czekać przynajmniej tydzień. Liczył, że gdy tylko wyjdzie na przepustkę, pobiegnie do jej domu. To zaszło za daleko i musiał zachować się jak dwudziestojednoletni mężczyzna, w końcu był od niej starszy.

Franka wychowywała matka. Ojciec zmarł, gdy chłopiec miał jedenaście lat. Chorował, ale nie chciał się poddać. Cztery lata spędzone w obozie koncentracyjnym zrobiły swoje. Płuca, nerki, wątroba. Szwankowało dosłownie wszystko. Ale on walczył. Wciąż pracował i był z tego dumny. Wpajał synowi wartości. Mówił o uczciwości i honorze. O obozie opowiadał rzadko. A jeśli już, to pomijał szczegóły. Najczęściej wspominał kolegów, którzy zginęli. I oprawców w czarnych mundurach, którzy zabrali im życie. Często budził się w nocy z krzykiem. Był przerażony. Myślał, że nadal jest w tym piekle. Matka uspokajała go jak dziecko. Głaskała po głowie. A on cały się trząsał. Potem szedł do szafki, w której trzymali chleb, odrywał kawałek, siadał w kącie na podłodze i żuł. To dawało mu poczucie bezpieczeństwa.

W domu zawsze musiał być zapas chleba. Więcej, niż potrzebowali. Tak na wszelki wypadek, gdyby nagle z jakiegoś powodu go zabrakło. Podczas obiadu nic nie mogło zostać na talerzu. Zjadał wszystko i pilnował, aby Franek też zjadł swoją porcję do końca. Sam zwykle prosił o dokładkę. Matka gotowała więcej ziemniaków, które lubił odsmażyć na kolację. Albo zjadał pyry z z gikiem. Ziemniaków też zawsze mieli pod dostatkiem. O inne jedzenie trzeba było się starać, bo zaopatrzenie wciąż kulało. Ludzie stali w kolejkach, walczyli nie tylko o mięso, kiełbasę i sery. Na co dzień brakowało dosłownie wszystkiego. Od kiełbasy po mydło. Od pasty do zębów po warzywa. Prawdę mówiąc, całe ich życie obracało się wokół zdobywania lub rozmawiania o zdobywaniu żywności.

Żyli skromnie na poznańskim Łazarzu w jednym pokoju z wychodkiem na półpiętrze. Za kuchnię i zarazem łazienkę służyła im zawieszona na sznurku zasłonka dzieląca pokój na dwie części. Gotowali na małej gazowej kuchence z dwoma niewielkimi palnikami. Wystarczała, aby postawić garnek z pyrami czy zagrzać zupę przyniesioną z zakładowej stołówki Cegielskiego. Myli się w misce ustawionej na pomalowanym białą farbą krześle. To była ich łazienka.

Kleпали biedę jak wszyscy, ale byli szczęśliwi. Do dnia, gdy Antoni Cybulski znalazł się w niewłaściwym miejscu. Razem z innymi robotnikami poszedł pod Prezydium Miejskiej Rady Narodowej. Trzymał transparent JESTEŚMY GŁODNI. Dla niego, więźnia Oświęcimia, to było coś więcej niż napis wymalowany naprędce na kawałku prześcieradła. On znał głód jak nikt inny spośród protestujących robotników. Poznał go i zaprzyjaźnił się z nim. Głód nie opuszczał go przez długie cztery lata. Trawił żołądek, wysysał siły i pozbawiał nadziei na przeżycie. Każdy kawałek chleba z trocinami czy obrzydliwej zupy gotowanej ze zgniłych warzyw i ochłapów z masarni był dla niego szansą na przetrwanie. I po dziesięciu latach od zakończenia obozowego

piekła znowu był głodny. Znowu stał w kolejce po jedzenie i znosił upokorzenie. Niemal tak samo jak wtedy. Tylko teraz mówiono mu, że jest wolny.

Po dwóch godzinach zamieszki ogarnęły cały Poznań. Spora grupa demonstrantów zaatakowała więzienie. Byli pewni, że wśród osadzonych jest robotnicza delegacja, która poprzedniej nocy wróciła z Warszawy z rozmów z ministrem. Próbowali wywalczyć wyższe płace i rezygnację władz z wysokich, nierealnych do wykonania norm produkcji, przez które nie otrzymywali premii.

Delegatów nie było w więzieniu. Władze celowo podsunęły demonstrantom plotkę, by sprowokować wybuch niezadowolenia i doprowadzić do siłowej konfrontacji. Druga grupa protestujących ruszyła na komitet partii i siedzibę Wojewódzkiego Urzędu Bezpieczeństwa. Z okien UB padły strzały. Rozpoczęła się regularna bitwa.

Robotnicy zdobyli trochę broni i jeden czołg. Przejęli nawet dwa czołgi. Mimo to nie mieli szans. Przeciw nim wysłano dziesięć tysięcy żołnierzy. Dwie dywizje pancerne liczące trzysta pięćdziesiąt dziewięć czołgów i dwie dywizje piechoty. Były wozy pancerne, działa, a niebo nad miastem zaroilo się od samolotów.

Bilans walk był tragiczny. Nikt nie wiedział dokładnie, ilu robotników zginęło. Ludzie mówili o kilkudziesięciu ofiarach. Lokalna prasa milczała. Tylko „Trybuna Ludu” podała po dwóch dniach komunikat, informując, że zamieszki w Poznaniu wywołali imperialistyczni prowokatorzy. A premier Józef Cyrankiewicz, który też był więźniem w Auschwitz, powiedział, że jeśli ktoś podniesie rękę na władzę ludową, niech będzie pewien, władza ludowa mu tę rękę odrąbie. Tego Antoni Cybulski nie mógł zrozumieć. Znał Cyrankiewicza. Miał nawet niższy numer, trafił do obozu przed nim. Był pewny, że premier wie, co to głód.

Ojciec Franka wrócił do domu z rozbitą głową. Nie chciał mówić, co się stało. Kilka dni później wezwano go na przesłuchanie do Urzędu Bezpieczeństwa. I wtedy przypomniał sobie koszmar, który przeżył w czasie wojny. Powiedział potem, że już wie, co musiało dziać się w Auschwitz w bloku 11, gdzie przesłuchiowano i torturowano więźniów. Jego i tak ubecy potraktowali łagodnie ze względu na obozowy numer, który miał wytatuowany na przedramieniu. Gdy ubowiec zapytał o nazwisko, odsłonił rękaw i wyrecytował ciąg cyfr. Podziałało. Ale i tak musiał zostać przesłuchany. Na pytanie, czy mu się socjalizm nie podoba, mimochodem wspomniał o znajomości z premierem. To wystarczyło. Wypuszczono go. Ale kilku kolegów z Cegielskiego wróciło do pracy dopiero po paru miesiącach. I nie mieli już ochoty na przeciwstawianie się władzy.

To, co stało się w czerwcu pięćdziesiątego szóstego roku, kompletnie załamało Antoniego Cybulskiego. Wrócił do pracy, ale czuł, że wokół niego roi się od ubeckich szpiclów. Bezpieka kilka razy robiła w ich domu rewizję. Straszili. Franek zapamiętał, jak ojciec mówił, że zachowują się tak samo jak gestapo. Wtedy Franek nie wiedział jeszcze, co to znaczy. O wojnie słyszał tyle co wszyscy. Dla niego wojna oznaczała bieganie po podwórku z patykiem udającym karabin. Strzelał do wymyślonych Niemców. Zabijał nawet wtedy, gdy błagali o litość.

Pod koniec roku Antoni Cybulski zachorował na płuca. Wiosną nie wytrzymały nerki. Zawinął się w parę tygodni. Latem pochowali go na Junikowie. Na szczęście w kraju sporo się zmieniało, przyszła odwilż i matka wystarała się dla Franka o rentę po ojcu. Skończył szkołę podstawową, potem Technikum Łączności. O studiach nie było mowy. Byli za biedni. Dlatego zamiast iść do wojska wstąpił do Oficerskiej Szkoły Radiotechnicznej w Jeleniej Górze. Podchorążówka dawała wikt

i opierunek. Było miejsce do spania i do nauki. Do tego całkiem niezłe wyżywienie i parę złotych żołdu. Po pięciu latach uzyskiwało się dyplom inżyniera, stopień podporucznika i dobrą pracę. O mieszkanie było łatwiej, wojskowi dostawali przydział, gdy tylko założyli rodzinę. To wydawało się najlepszym rozwiązaniem.

Frankowi zostały jeszcze dwa lata nauki. Ale już teraz poważnie myślał o przyszłości. Wszystko sobie poukładał w głowie. Chciał założyć rodzinę, mieć dzieci. Była też szansa, że otrzyma przydział do jednostki w Poznaniu, a to pozwoliłoby mu zająć się matką. Na razie mieszkał w Jeleniej Górze, a do domu mógł pojechać zaledwie dwa razy w roku.

Miasto było szare i brudne. Słyszał, że dawniej, gdy Jelenia Góra nosiła jeszcze nazwę Hirschberg, była turystyczną perełką, miejscem wypoczynku dla berlińczyków. W mieście działało ponad pięćdziesiąt hoteli i setka restauracji. Piwo warzono w trzech browarach. Gdy po krótkiej wizycie Armii Czerwonej nazwę miasta zmieniono na polską, z roku na rok znikwały ślady dawnej świetności. Zlikwidowano browary, cukiernie i pensjonaty. Ocalały zaledwie dwa hotele: jeden w Cieplicach i jeden w Jeleniej Górze. Dawny ekskluzywny hotel Drei Berge, w którym były trzy restauracje i kawiarnia na ogromnym tarasie na dachu, oferujący aż osiemset miejsc, teraz miał zaledwie jedną gwiazdkę. Jedyne lokale gastronomiczne czwartej kategorii, który ocalał w hotelu Europa, serwował tylko dania barowe. Liczne restauracje, którymi Hirschberg słynął w całych Niemczech, w najlepszym razie zamieniły się w sklepy. Głównie PSS-u. Miasto było zdewastowane. To, czego nie wywieźli Rosjanie i szabrownicy, powoli niszczało. Turystykę zastąpił przemysł: Huta Szkła Technicznego, fabryka leków, kilka zakładów mechanicznych i ogromny kombinat chemiczny Celwiskoza. Smród z jego kominów skutecznie uprzykrzał życie mieszkańcom, dając jednocześnie

zatrudnienie przy ważnej dla gospodarki narodowej produkcji wiskozy.

Franek zbiegł po kamiennych schodkach prowadzących do zaniedbanej dzielnicy starych, ponemieckich budynków. Ta okolica nie należała do najbezpieczniejszych. Zresztą podobnie jak podwórka kamienic okalających plac Ratuszowy. Stare domy, niegdyś komfortowe hotele, zasiedlano głównie proletariatem. Tacy ludzie nie dbali o powierzone im mienie. Szybko zmienili zabytkowe centrum w stertę ruin. Łatwo tu było stracić portfel z dokumentami i pieniędzmi. A nawet życie.

W cieniu kamienicy stała grupka młodych mężczyzn. Jeden z nich próbował przywołać Franka, ale ten nie zareagował i szedł szybkim krokiem przed siebie. Tamtym chyba nie chciało się za nim gonić, i odpuścili. Nie bał się. Był silny i wysportowany. Wychował się na poznańskich podwórkach, gdzie codziennie trzeba było walczyć o swoje miejsce w hierarchii. Teraz jednak wolał unikać ryzykownych sytuacji. Niepotrzebne wdanie się w bójkę oznaczało interwencję Wojskowej Służby Wewnętrznej. A to zwykle kończyło się kilkoma dniami paki i zakazem przepustek nawet na parę miesięcy.

Minął most na Bobrze, żeński internat i niemal ciemną ulicą dotarł do wojskowego osiedla. Zaraz za nim droga przechodziła pod wiaduktem kolejowym, za którym stał już budynek podchorążówki. Zameldował się w biurze przepustek i przed drugą w nocy był na kompanii.

W pokoju pusto, żaden z siedmiu kolegów nie zamierzał wracać przed końcem przepustki. Żał było spać, gdy nadarzała się szansa włożenia na grzbiet cywilnych łachów i wyrwania z koszar, choćby na kilka godzin. Franek rozebrał się i położył. Zasnął, myśląc, co się stało. Nie mógł zrozumieć, dlaczego brat tak nagle zabrał Beatę. Wiedział, że musi z nią o tym porozmawiać.

\*

Następny tydzień minął na niekończących się służbach wartowniczych i zajęciach. Franek ledwie zdążał na posiłki, a o nauce nie było mowy. Po takim tygodniu zawsze musiał nadrabiać zaległości. Dwa razy udało mu się dorwać do telefonu z wyjściem na linię miejską. Wykręcił numer Beaty, licząc, że może to ona podniesie słuchawkę. Zabroniła mu dzwonić, bo aparat stał w pokoju matki. Mimo to musiał spróbować. Nie miał szczęścia. Nikt się nie zgłosił, co jeszcze bardziej wzbudziło jego obawy. Dotrwał do kolejnego poniedziałku, licząc ostatnie godziny, a nawet minuty do chwili, gdy będzie mógł wyjść z koszar.

\*

Ulicę Grunwaldzką pokonał niemal biegiem. Na Podwalu złapał autobus, który jechał w kierunku Cieplic. Wysiadł przy Małej Pocztce. Stąd musiał już iść pieszo. Zastanawiał się jeszcze, czy kupić kwiaty, ale ostatecznie zrezygnował. Pomyślał, że na pierwszy raz lepiej będzie udawać kolegę.

Serce waliło mu w piersi. Nie był pewny, czy od szybkiego marszu, czy od emocji. Strach mieszał się z radością. Skręcił wreszcie w małą uliczkę prowadzącą do trzech poniemieckich willi otoczonych drzewami owocowymi. Podszedł do furtki i zawahał się. Dostrzegł groźnie wyglądającego burego kundla, który stał nieopodal schodków prowadzących do drzwi. Wpatrywał się we Franka. Ograniczał go wiszący u szyi łańcuch. Chłopak uznał, że schody są poza zasięgiem psa. To go trochę uspokoiło.

Franek nacisnął prowizoryczną metalową klamkę zrobioną z kawałka rury. Bydlę zaczęło szczekać i skakać. Łańcuch



naprężył się, ale tak jak Franek przypuszczał, był za krótki, by pies mógł dosięgnąć schodów. Podszedł betonową ścieżką do budynku, minął kundla w bezpiecznej odległości, pokonał kilka stopni i zapukał w ciężkie, drewniane drzwi, pośrodku których znajdowała się szyba i kilka grubych prętów broniących drogi do wnętrza. Widział przez nią pusty przedsionek i drugie drzwi.

Kundel wciąż skutecznie zagłuszał pukanie. Po chwili wewnątrz domu rozległ się hałas i do uszu Franka dobiegł odgłos kroków na drewnianych schodach. Skrzypnęły drzwi oddzielające przedsionek od korytarza. Dostrzegł mężczyznę, a potem usłyszał szcęk zasuw. Drzwi uchyliły się i z wnętrza buchnęło przyjemnym chłodem. Stał w nich młody, najwyżej kilka lat starszy od niego chłopak. Miał proste, zaczesane na bok włosy i okrągłą twarz. Był wysoki i barczysty. Patrzył trochę nieprzytomnym wzrokiem.

– Co jest? – odezwał się zaczepnie.

– Zastałem Beatę? Jestem jej kolegą – zapytał wciąż zasapany.

Młody mężczyzna zmierzył go wzrokiem, uniósł rękę i podrapał się w tył głowy.

– Tu nie mieszka żadna Beata. – Pokiwał przecząco głową.

– Eeee. – Franek zawahał się. – Taka blondynka, szczupła, chodzi do technikum w Sobieszowie.

– Nie ma tu żadnej Beaty! – Mężczyzna szybko cofnął się do środka i pchnął drzwi, aby je zamknąć, ale Franek napał na nie.

– Ja wiem, że tu mieszka, jestem kolegą – powtórzył, akcentując słowa.

Drzwi puściły. Mężczyzna odepchnął Franka do tyłu, robiąc groźną minę.

– Nie ma tu żadnej Beaty! Pyskaj stąd, bo spuszczę Busia i ci portki potarga, gówniarzu.

Franek cofnął się na schody. Stracił pewność siebie. Może Beata okłamała go, że mieszka w tym domu. Może mieszkała

gdzieś w okolicy. Nie wiedział tylko, dlaczego mogła kłamać. Czuł, że coś w tym jest i ten facet, który mu otworzył, nie mówił prawdy. Mimo to odpuścił.

Wyszedł za furtkę odprowadzany spojrzeniem tamtego i ujadaniem kundla. Odszedł kawałek i skręcił w sąsiednią ulicę. Z tego miejsca wciąż było widać dom. Zatrzymał się pod drzewem i obserwował. Po kilku minutach od strony miasta nadjechało dwóch wyrostków na starych, męskich rowerach. Wtedy przyszło mu do głowy, że oni przecież będą wiedzieć, kto mieszka w tym domu.

– Ej, chłopcy! – zagadnął, gdy go mijali. Zatrzymali się. – Szukam koleżanki. Mieszka gdzieś tutaj. Taka drobna blondynka z długimi włosami. Beata.

Spojrzeli po sobie i pokiwali przecząco głowami.

– Tutaj nie mieszka żadna Beata.

– Blondynka to jest. – Niższy wskazał ręką na dom, w którym Franek był przed chwilą. – Ale tam mieszka tylko Maryśka.

Franek zmarszczył brwi. I wtedy przypomniał sobie, że ma jej zdjęcie. Szybko wyjął z kieszeni munduru małe skórzane etui, w którym nosił książeczkę wojskową i dowód. Wydobył z niego legitymacyjną czarno-białą fotografię i wysunął w stronę chłopców.

– Jasne, to Maryśka. – Wyższy się zaśmiał. – Córka Żołnierowiczów. Ale nie ma jej. Gdzieś wyjechała ze starymi. Ojciec mówił, że teraz będzie chodziła do szkoły we Wrocławiu.

– We Wrocławiu? – powtórzył Franek z niedowierzaniem.

– Ja tam nie wiem. Mówię, co słyszałem. A pan co? Narzeczony?

Zaśmiał się, robiąc głupią minę.

– Kolegą jestem. – Spojrzał jeszcze raz w stronę domu i zauważył, że w oknie na piętrze ktoś patrzy w jego stronę. – Dziękuję, chłopaki. Trzymajcie się.

Odwrócił się i ruszył w kierunku miasta.

\*

Przez kilka kolejnych dni Franek chodził do Relaxu, Gieku i Iskry, pytając o Beatę. Okazało się, że faktycznie ma na imię Maria. Mężczyzna, który otworzył mu drzwi, to jej starszy brat Staszek. To on zwinął ją tamtej nocy. Nikt od tego czasu jej nie widział. Dowiedział się też, że Maria jest bywalczynią innych lokali i domowych prywatek. Urzędowała nie tylko w klubach dla młodzieży. Widywano ją nawet na dancingach, gdzie jej rówieśnicy zapuszczali się raczej rzadko. Wszyscy chłopcy mówili o niej z jakimś dziwnym uśmiechem. Parę razy usłyszał, że to rozrywkowa dziewczyna.

Koleżanki były bardziej rozmowne, obmawiały Marię bez skrępowań. Mówiły, że żadnemu nie przepuści i lubi wypić. Franek nie mógł w to uwierzyć. Jakby słuchał o kimś zupełnie innym. Znali się jednak dopiero od dwóch miesięcy i widywali się rzadko, najwyżej raz w tygodniu, gdy on mógł wyjść na przepustkę. Nikogo tu nie znał. Ona była stąd. Najwidoczniej niewiele mu o sobie powiedziała.

Próbował dzwonić pod numer, który kiedyś mu dała. Wciąż nikt nie odbierał. Wreszcie w słuchawce usłyszał głos jakiejś kobiety. Oznajmiła mu, że Marii nie ma, wyjechała. Zapytał, czy może mu podać adres szkoły we Wrocławiu, do której teraz chodzi. Kobieta się zdenerwowała, odpowiedziała, aby więcej nie dzwonił, i rozłączyła się. Nic nie rozumiał. Za każdym razem, gdy mógł wyjść z koszar na przepustkę, biegł na drugi koniec miasta. Stawał na sąsiedniej ulicy i obserwował dom. Liczył, że w końcu Beata przyjedzie z Wrocławia, a wtedy on pójdzie do niej.

\*

W kolejną sobotę Franek jak zwykle przebrał się w cywilne łachy i pobiegł na przystanek. Większość drogi pokonał autobusem, ale ostatni odcinek musiał przejść pieszo. Po drodze bacznie się rozglądał. Tą ulicą zawsze odprowadzał Beatę do domu. Liczył, że jeśli przyjechała do Jeleniej Góry, to może ją spotka. Nie spotkał. Dotarł do końca asfaltowej ulicy i zapuścił się w głąb pokrytego ogrodami wzgórze, wśród których stało zaledwie kilka domów. Idąc wąską ścieżką, doszedł do drzewa. To tu spotkał poprzednio tych chłopaków na rowerach. Przychodził w to miejsce co tydzień. Stąd miał dobry widok na dom. Oparł się o pień i wyjął z kieszeni kawałek słonecznika. Zaczął łuskać pestki i gryźć ziarenka.

Pogoda była dobra. Słońce grzało jeszcze mocno. Minuty wlokły się, a w domu przy Szpaczej nie widział żadnego ruchu. Raz wydawało mu się, że drgnęła firanka. Osunął się i usiadł na trawie, wciąż bacznie obserwując. Minęła może godzina. Słonecznik się skończył. Chciało mu się pić. W okolicy nie było żadnego kiosku ani sklepu. Wiedział, że jeśli odejdzie, straci przynajmniej pół godziny. Wreszcie usłyszał jakiś szelest i głosy dochodzące zza jego pleców. Ktoś szedł ścieżką. Ostrożnie odwrócił się i zobaczył dwóch milicjantów.

Co oni tu robią? – pomyślał i odwrócił głowę, udając, że nie zwraca na nich uwagi.

– A obywatel co tu tak siedzi? – zapytał wyższy milicjant w stopniu plutonowego, wyjmując z kieszeni notatnik.

Franek wstał.

– Dokumenty! – słowo niższego, kaprała, zabrzmiało jak rozkaz.

Nie ociągając się, wyjął dowód osobisty. Milicjant wziął go do ręki i szybko przekartkował. Zatrzymał się na stronie, na której powinna znajdować się pieczęć zakładu pracy. W dowodzie Franka przybito tam stempel z numerem jednostki wojskowej.

– Książeczka wojskowa! – Milicjant wydał kolejny rozkaz.

Franek się zawahał.

– Jestem chorążym – odpowiedział spokojnie, licząc, że odpuszczą. Byli niżsi stopniem, a do tego milicjant nie ma prawa żądać wojskowego dokumentu. Powinien wystarczyć mu dowód.

– W dupie mam to, że jesteś chorążym. Jak ci nie pasuje, to dostaniesz w ryj. A potem wezwiemy twoich i powiemy, że się stawiałeś. Nas jest dwóch. Jak myślisz, komu uwierzą?

Franek sięgnął do kieszeni. Podał książeczkę wojskową. Tamten przejrzał ją dokładnie i spisał wszystkie dane.

– Słuchaj no, chorążym – odezwał się ten wyższy. – Co tu robisz?

– Chciałem się przewietrzyć. Zmęczyłem się na spacerze i usiadłem.

– Przewietrzyć? Tu? – zapytał, marszcząc brwi. – Posłuchaj mnie. Mieliliśmy zgłoszenie, że jakiś cwaniak obserwuje tamten dom – mówiąc to, wskazał ręką na ten, który Franek faktycznie obserwował. – Zwykle robią to złodzieje. Ale ty nie jesteś złodziejem. Prawda?

Franek kiwnął głową.

– Więc bierz swoje manatki – podał mu oba dokumenty – i spierdalaj stąd! A jak cię jeszcze raz tutaj zobaczę, to z pewnością podjadą te skurwysyny, których tak nie lubicie! Zrozumiałeś?!

Franek znowu kiwnął głową. Nie miał ochoty na spotkanie z funkcjonariuszami WSW.

– Nie dosłyszałem. – Milicjant przechylił głowę, udając, że słucha.

– Tak, zrozumiałem – odpowiedział, chowając papiery do kieszeni.

– Miłego popołudnia życzymy, obywatelu chorążym.

Kilka dni później, pod koniec października, trzecia kompania wyjechała do Świątoszowa na ćwiczenia. Tamtejszy poligon należał do stacjonującej w Legnicy jednostki Północnej Grupy Wojsk Armii Radzieckiej. Rosjanie dysponowali lotniskiem wojskowym i dużą liczbą samolotów myśliwskich, co dawało możliwość sprawdzenia w praktyce, czego się nauczyli radiotechnicy.

Kilka tygodni w namiocie, bez możliwości wyjścia na przepustkę, jeszcze bardziej przybiło Franka. Myślał tylko o tym, aby jakoś wytrwać do świąt, licząc, że wtedy dostanie kilkudniową przepustkę. Był pewny, że Beata, a właściwie Maria, przyjedzie do rodziców. Musi, przecież nie zostanie w internacie.

Ułożył sobie w głowie plan, jak wywołać ją z domu. Zamierzał złapać któregoś z chłopaków z sąsiedztwa i dać parę złotych, aby dostarczył liścik. Takie rozwiązanie wydawało się najprostsze. Setki razy powtarzał w głowie krok po kroku, jak potoczą się wydarzenia. Spotkają się w Relaksie, a on zapyta, czy zechce zostać jego żoną. Była od niego zaledwie trzy lata młodsza. Miała skończone osiemnaście lat. Dziewczyny w jej wieku wychodziły za mąż i zakładały rodzinę. Często rodziły już dzieci. Nie miał co prawda pierścionka ani pieniędzy. Ale wierzył, że to nie będzie stanowiło problemu. Pierścionek zawsze można kupić później, gdy wreszcie będzie mógł oficjalnie poprosić rodziców o jej rękę.

Ćwiczenia na poligonie ciągnęły się nieskończenie. Na trzy dni przed końcem Frankowi przydzielono nocną wartę przy polowym magazynie amunicji. Pogoda była kiepska, wiał zimny wiatr i siąpił nieprzyjemny deszcz. Po kilku godzinach Franek całkiem zdrętwiał. Po północy skorzystał z tego, że pojawił się patrol, i poprosił kolegów, by przynieśli mu gorącą kawę zbożową.

Pół godziny później trzymał w rękach wojskową menażkę pełną dymiącego czarnego napoju. Wypił ponad połowę i poczuł, że robi mu się ciepło. Przysiadł na klocek drewna pod prowizorycznym zadaszeniem z brezentu. Rozmyślał o Beacie. O tym, co jej powie, jak się spotkają. O tym, o co musi ją zapytać. Dlaczego powiedziała, że ma na imię Beata? Dlaczego nie chciała go przedstawić rodzicom? I dlaczego tak nagle wyjechała?

\*

Franek siedział przy stoliku w rogu, wpatrując się w wejście do restauracji. O tej porze ruch był niewielki. Lokal opuszczali ostatni goście, którzy stołowali się tu w ramach abonamentów obiadowych. Podrywał się z miejsca za każdym razem, gdy wahadłowe drzwi zaczynały się otwierać i ktoś wchodził. Wiedział, że to za wcześnie. Umówił się z Beatą na osiemnastą. Ale już godzinę wcześniej przyszedł zająć miejsce. Zależało mu, aby usiąść z boku i móc spokojnie porozmawiać. W końcu tyle mieli do omówienia.

Był pewny, że ona przyjdzie. Chłopak z sąsiedztwa spisał się na medal. Nie dość, że dostarczył karteczkę, to jeszcze przyniósł odpowiedź. Wszystko ułożyło się tak, jak sobie zaplanował. Teraz czekał, powtarzając w myślach, o czym chciałby z nią porozmawiać. Nie widzieli się trzy miesiące. Miał mnóstwo pytań. Tyle musiał jej powiedzieć. Poza tym miał dla niej drobny upominek. Eleganckie rękawiczki, które udało mu się kupić w sklepie wojskowym. Poza mundurami i drobnym wyposażeniem sprzedawano tam także artykuły pierwszej potrzeby, w tym ubrania. Poszczyściło mu się. Zajrzał do sklepu, akurat gdy rzucono towar. Cieszył się, bo za kilka dni Mikołaj. Liczył też, że jutro Beata przyjdzie do Relaxu wieczorem i będą mogli się zabawić.

Trzymał rękę na paczuszce z prezentem, gdy stanęła w drzwiach, rozglądając się po sali. Poderwał się i pomachał. Zobaczyła go i z uśmiechem ruszyła pomiędzy stolikami. Miała na sobie długą spódnicę, sweterek w paski z golfem szczelnie zakrywającym szyję i czerwone korale. Na nogach bordowe kozaczki na obcasie. Długie jasne włosy opadały jej lekkimi falami na ramiona. Była jak zwykle bardzo modnie ubrana. Wiele razy widział pełne zazdrości spojrzenia innych dziewczyn, które marzyły o kolorowych zagranicznych ciuchach.

Beata nie zdążyła dojść do stolika. Franek podbiegł do niej, objął i przywarł do jej ust. Były ciepłe i wilgotne. Tęsknił do tego pocałunku. Śniło mu się wiele razy, że ją całuje, dotyka jej włosów i twarzy. A potem jego ręce wędrują niżej. Miała takie piękne ciało. Twarde, jędrne piersi i płaski brzuch. Marzył, aby znowu poczuć jej ciepło, dotyk i zapach. Teraz mógł ją tylko całować, ale i to było wspaniałe uczucie.

– Puść mnie, wariacie – powiedziała, z trudem odrywając się od jego warg. Jeszcze raz próbował ją pocałować, ale położyła mu dłoń na ustach.

– Beata – wyszeptał drżącym głosem. – Bałem się, że już cię nie zobaczę.

Uśmiechnęła się i przechyliła głowę. Wziął ją za rękę i pociągnął do stolika. Usiedli obok siebie. Franek nie odrywał od niej oczu.

– Co się stało? Gdzie zniknęłaś? Dlaczego twój brat nie chciał mi powiedzieć, dokąd wyjechałaś? W jakiej jesteś szkole? – zaczął wyrzucać z siebie kolejne pytania.

– Co to? – Wskazała na paczuszkę leżącą na stole, jakby nie słyszała, o co pyta.

– A tak, zapomniałem, to dla ciebie. – Podał pakunek.

Powoli odwinęła papier. Jej oczy zabłysły na widok czarnych rękawiczek z delikatnej skóry. Wsunęła je na szczupłe dłonie



i uniosła, aby się przyjrzeć. Kilka razy zacisnęła i otworzyła palce.

– Są piękne, dziękuję.

Nachyliła się i pocałowała go w usta.

– Beata – spojrzał jej w oczy – jak ty właściwie masz na imię?

Spuściła wzrok. Uśmiech szczęścia zmienił się w zakłopotanie. Wpatrywała się w rękawiczki.

– Maria? Tak naprawdę masz na imię? Co się dzieje? Proszę, powiedz – nalegał. Teraz jednak głos zaczął mu się łamać.

– Franek. – Dotknęła jego ręki. – Kocham cię, ale nie możemy być razem. Na razie nie możemy – poprawiła się, widząc, że drgnął.

– Ale jak to...

– Te, kolego! – Jakiś mężczyzna złapał Franka za ramię. – Już raz ci mówiłem, że masz się od niej odwalić. Głuchy jesteś, czy nie rozumiesz po polsku? – Mówiąc to, szarpnął go z całej siły.

Franek poczuł, jak zsuwa się z krzesła i nie może utrzymać równowagi. Chciał się uwolnić od ręki zaciskającej się na jego ramieniu, ale nie mógł.

– Mówię do ciebie! Wstawaj, kurwa!

Poczuł, jak uderza w podłogę. Szarpnął się. Zamrugał oczami. Stał nad nim oficer dyżurny.

– Chorąży Cybulski! Baczość, do kurwy nędzy!

– Co?!

– Jajco! Baczość, kurwa!

Franek poderwał się na równe nogi i stanął w postawie zasadniczej. W głowie mu się kręciło. Nogi miał jak z waty. Przez mgłę dostrzegł, że za podporucznikiem stoi kilku żołnierzy, ale nie mógł ich rozpoznać.

– Broń! Gdzie, kurwa, masz broń?!

Pokręcił głową, rozglądając się wokół. Spojrzał tam, gdzie przed chwilą spadł na ziemię. Broni nie było. Dopiero teraz dotarło do niego, że spał, a spotkanie z Beatą było tylko snem.

Przełknął ślinę i poczuł, jak robi mu się słabo. Nogi ugięły się pod nim i osunął się na ziemię. W oczach zrobiło mu się ciemno. W uszach usłyszał gwizd. Ktoś chwycił go za rękę i próbował podnieść.

Nie wiedział, ile czasu minęło. Odzyskał świadomość, leżąc na noszach. Ktoś wkładał go do samochodu. Zamknął oczy i znowu zasnął.

Trzy dni później Franek został przesłuchany przez wojskowego prokuratora. Zarzuty były bardzo poważne. Pod wpływem alkoholu oddalił się z posterunku i zgubił broń. Na szczęście pistolet maszynowy znaleziono kilkadziesiąt metrów dalej. Amunicji nie brakowało. Prokurator twierdził, że po wypiciu wódki musiał odejść kawalek, aby się wysikać. Był zamroczony i nie zauważył, że zgubił broń. A potem wrócił na posterunek i zasnął.

Franek zaprzeczał. Powtarzał, że nie pił alkoholu. Pił kawę, którą przynieśli mu koledzy z patrolu. Prokurator pokazał mu dokument, w którym napisano, że obok jego posterunku znaleziono menażkę, w której znajdowała się czysta wódka. A przesłuchani żołnierze zaprzeczyli, by przynosili kawę. Widzieli za to, że Franek dziwnie się zachowywał, co zgłosili oficerowi dyżurnemu.

Broń się znalazła, więc warunkowo odstąpiono od skierowania sprawy do sądu. Podczas postępowania Franek spędził trzy miesiące w areszcie i na mocy decyzji dowódcy dywizji został przeniesiony na kolejne trzy miesiące do karnej kompani. O tym miejscu krążyły legendy. Kompanią karną straszono w wojsku od pierwszego dnia. Służba była tam bardzo ciężka. Wyjątkowy rygor, regulamin przestrzegany surowo. Ciągła musztra na placu. Nieustanne ćwiczenia na poligonie albo kilkudziesięciokilometrowe marsze w pełnym rynsztunku bojowym. Na wszelki wypadek, gdyby ktoś nie wytrzymał psychicznie, karabin nie nadawał się do strzelania.

Miał rozwierconą komorę. Ale trzeba go było traktować jak zwykłą broń. Rozkładać na drobne elementy, czyścić i nosić. A lekki nie był.

\*

Po odbyciu kary Franek wrócił do szkoły radiotechnicznej. Ledwie na parę godzin. Gdy tylko pojawił się na kompanii, został wezwany do dowódcy, aby odebrać rozkaz przeniesienia do nowo sformowanej jednostki 2885 stanowiącej trzon Pierwszego Pułku Chemicznego. Tam miał dokończyć naukę i uzyskać stopień oficerski. W innej specjalności.

Przez kolejny rok miał tylko kilkugodzinne przepustki. Nie mógł ruszyć się ze Zgorzelca. Dopiero na ostatnim roku dostał parę dni urlopu. Ale wtedy musiał jechać do matki, która podupadła na zdrowiu. Mocno przeżyła jego kłopoty. Przez kilka miesięcy zupełnie nie miała od niego wiadomości, a gdy się odezwał, usłyszała, że siedział w wojskowym areszcie. Nie mógł jej nawet powiedzieć, co się stało. Tajemnica wojskowa. Dowiedziała się dopiero wtedy, gdy sama pojechała do niego w odwiedzinach.

Przez ten rok Franek nie miał czasu myśleć o Beacie. Parę razy do niej zadzwonił. W ciągu dnia nikt nie odbierał. A po południu słuchawkę za każdym razem podnosiła ta kobieta, z którą już raz rozmawiał. Domyślił się, że to jej matka, dlatego wolał się nie odzywać. W końcu zapomniał. W Zgorzelcu poznał Zosię i rok później wzięli ślub. Urodziło się dziecko. Córka. Potem druga. Dostał służbowe mieszkanie w centrum miasta obok sądu. Wszystko jakoś się poukładało.

\*

Minęło kilka lat. Jelenia Góra od roku była miastem wojewódzkim. A to oznaczało lepsze zaopatrzenie. Dwa domy towarowe i biegnąca przez środek miasta pełna sklepów ulica handlowa przyciągały ludzi z całego regionu. Przyjeżdżali głównie po ubrania i artykuły gospodarstwa domowego. Chętnie zabierali dzieci, dla których duże miasto było atrakcją. Dla nich nawet lody i oranżada miały inny smak.

Franek stał przed wejściem do domu towarowego przy ulicy 1 Maja. Doskonale znał to miejsce. To była jego stała trasa z podchorążówki, przez plac Ratuszowy do Relaxu i dworca kolejowego. Dlatego dawniej nosiła nazwę Kolejowa. Przypomniawszy sobie tamte czasy. Minęło już dziesięć lat od chwili, gdy ostatni raz spotkał się z Beatą.

Gdzie jest ta moja żona? – powiedział do siebie ze zniecierpliwieniem. – Ile można łązić po sklepach?

Miał już dość. Była prawie druga, a on od dziesiątej taszczył coraz więcej tobołków. Uznał, że wystarczy. Chętnie by gdzieś usiadł i coś zjadł. Tuż za rogiem była restauracja Tokaj, znana z placka po węgiersku. To był doskonały pomysł. Musiał jednak odnaleźć żonę i powiedzieć jej, dokąd idzie.

Wszedł do budynku. Słoneczne światło wpadające przez ogromny świetlik w dachu zalewało całe wnętrze. Od ścian bił blask świeżej farby. Zaledwie przed rokiem dom towarowy z początku wieku przejęło Wojewódzkie Przedsiębiorstwo Handlu Wewnętrznego. Był wyjątkowy, bo zbudowano go na skarpie. Zamiast normalnie, tak jak gdzie indziej, wspinać się na kolejne piętra, tu schodziło się w dół.

Franek przeszedł wokół galerii, wypatrując, czy gdzieś uda mu się dostrzec Zosię. Gdy robił drugie okrążenie, ze schodów zeszła drobna blondynka. Trzymała za rękę małą dziewczynkę. Mogła mieć trzy lub cztery lata.

– Beata? – wyrwało mu się, choć dobrze pamiętał, że naprawdę miała na imię Maria.

Kobieta znieruchomiała i otworzyła usta na jego widok.

– Franek – powiedziała powoli, patrząc mu w oczy.

– Jak się masz? – zapytał, nie mając pojęcia, co w tym momencie powinien powiedzieć. Czuł, że robi mu się gorąco. Był pewny, że to uczucie dawno umarło. Mylił się.

– Dobrze. A ty?

– Też dobrze.

Przez chwilę zapadła niezręczna cisza przerywana tylko głosem małej dziewczynki, która powtarzała dziecięcą wyliczankę.

– To twoja córka? – zapytał, patrząc na małą.

– Tak, Kasia. Ma trzy i pół roku.

– Ymmm – wydał z siebie tylko pomruk.

– A ty? Co robisz?

– Beata, co się wtedy stało? Dlaczego wyjechałaś? Ja szukałem, próbowałem cię odnaleźć, ale twoja matka i brat...

– Zostaw to, Franek – przerwała mu. – To już nic nie zmieni.

– O, jesteś tutaj. A my cię szukamy. – Za plecami Franka odezwał się głos kobiety.

Odwrócił się. Zosia miała kolejny pakunek, a za rękę trzymała ich córeczkę Basię.

– Jestem – odpowiedział zakłopotany, widząc, że żona przygląda się kobiecie, z którą rozmawia. – To moja koleżanka...

– tu zająknął się na chwilę – ...Maria. Poznajcie się. To moja żona Zosia. A to jest Basia.

Dziewczynka wciągnęła rękę do Kasi. Przywitały się. Zosia jednak tylko skinęła głową.

– Miło mi – powiedziała oschle. – Franiu, musimy już iść. Basia jest głodna i zmęczona.

– Ja też muszę lecieć. – Beata wykorzystała okazję, by zakończyć spotkanie. – Serwus.

– Serwus – odpowiedział Franek, z trudem przełykając ślinę.

– Miło cię było zobaczyć – dodał, choć Maria już nie mogła tego

usłyszeć.

– To ona? – Zosia spojrzała na niego z wyrzutem.

– Tak. Chodźmy, tu za rogiem jest dobra restauracja. Zjemy coś i mała odpocznie.

\*

Przez kilka tygodni Franek nie mógł się pozbierać. Wspomnienia odżyły. Od tego czasu oboje z żoną unikali wyjazdów do Jeleniej Góry. Żadne z nich tego nie powiedziało wprost, ale oboje woleli jeździć na zakupy do Wrocławia. W końcu zapomniał. Aż któregoś dnia przeczytał nekrolog w gazecie. Napisano: Maria Dułęba z domu Żołnierowicz. Nie wiedział, dlaczego chce być na jej pogrzebie. Żonie powiedział, że musi coś załatwić w urzędzie. Wsiadł w samochód i przyjechał do Jeleniej Góry.

# 7

## ***Sierpień 2005 roku***

Czuła, jak robi jej się gorąco. Nie miała siły poruszyć ręką. Krew pulsowała w mózgu. Właśnie pochowała kobietę, która ją urodziła. A teraz patrzyła na mężczyznę, który był jej ojcem. Tyle lat zadręczała się, powtarzając sobie, że musi odnaleźć matkę. Musi z nią porozmawiać. Wyjaśnić, co się stało. Dowiedzieć się, dlaczego ją porzuciła. Układała pytania, które zada, i odpowiedzi, które usłyszy. Raczej to, co chciałyby usłyszeć. Jakieś usprawiedliwienie. Wyjaśnienie, że nie mogła inaczej. Że wtedy nie była w stanie. Ojciec dziecka ją zostawił. Nie miała z czego żyć. Gdzie mieszkać. Bo jaki inny mógł być powód oddania dziecka zaraz po urodzeniu? Setki razy wyobrażała sobie, że obejmie ją, mówiąc, że tyle lat czekała, że miała nadzieję.

Wszystko potoczyło się inaczej, niż sobie wymyśliła. Już pierwsza reakcja potwierdziła, że matka ją poznała. Nic dziwnego, przecież codziennie patrzyła w lustro, a ona była do niej podobna. Podobieństwo okazało się tak uderzające, że nawet opiekunki w depeesie zaniemówiły na jej widok. Nie chciały dokumentów, o nic nie pytały. Ale matka odwróciła głowę do okna i udawała, że jej nie widzi.

Gdy Małgorzata powiedziała, kim jest, w odpowiedzi usłyszała, że to kłamstwo. Mówiła dalej. O księdzu z Wąsosza i akcie urodzenia. Matka wciąż powtarzała: to nieprawda,

nieprawda, mam tylko jedną córkę, Kasię. To było jak cios w serce. Małgosia rozplakała się. Siedziała z nią godzinę, wpatrując się i czekając na jakieś wyjaśnienie. Choćby słowo, które pozwoli znaleźć siłę i wybaczyć to, co się stało. Wciąż słyszała to samo – to nieprawda.

Aż wreszcie wyniszczona chorobą kobieta, powykęcana, skurczona w sobie, dławiąc się, wybełkotała: to był chłopiec, powiedzieli, że to chłopiec.

Te słowa zabrzmiały jak przyznanie do winy. Jednak urodziła. Urodziła i oddała, nawet nie sprawdzając płci.

O tym, że została adoptowana, dowiedziała się w szkole. Od innych dzieci. Widocznie w ich domach wciąż o tym rozmawiano. Ale nie zapytała swoich rodziców, czy to prawda. Sami się przyznali. Będąc nastolatką, sprawiała, jak to nazywano, trudności wychowawcze. Zaczęły się wagary, papierosy, pojawił się alkohol. Co chwila wzywano ich do szkolnego pedagoga. Próbowali jakoś do niej dotrzeć. W końcu z bezsilności przyznali, że nie potrafią, bo nie jest ich córką. Powiedzieli to tak po prostu.

– Małgosiu?

Głos siostry wyrwał ją z odrętwienia. Spojrzała na Kasię. Ona też wyglądała na wstrząśniętą.

– Zdaje się, że w naszej – podkreśliła to słowo – rodzinie jest sporo tajemnic.

– Wystarczy! Zostawcie to – bąknął pod nosem wujek Staszek.  
– Już i tak mamy bigos.

– Bigos? – Ojciec Kasi wybuchnął śmiechem. – Ty to, Stasiu, nazywasz bigosem? Gówno się rozlało. Wylazły wszystkie machloje twojej matki. A ja zaczynam rozumieć, nareszcie rozumieć, co działo się w naszej – on też podkreślił to słowo, ale z sarkazmem – rodzinie.

– Zamknij się! – Staszek przerwał mu stanowczo. – Nigdy nie należałeś do tej rodziny.



Piotr roześmiał się i sięgnął po kieliszek. Ale zanim zdążył podnieść go do ust, usłyszał głos córki. Mówiła z drwiną.

– Tak. Tylko pić potrafisz. Wtedy też tylko piłeś.

– Co?!

Zamrugnął powiekami, patrząc na Kasię i wciąż trzymając uniesiony kieliszek.

– To, co słyszałeś. Potrafisz tylko pić. Tak samo jak wtedy, gdy się urodziłam. Sam się wyniosłeś z naszej rodziny. Zostawiłeś nas. Przez ciebie miałam spieprzone dzieciństwo.

Dulęba patrzył na córkę z niedowierzaniem. Zastanawiał się, czy się przesłyszał. Wreszcie wypił wódkę i odstawił kieliszek.

– To może mi opowiesz, córeczko, jak wyglądało twoje dzieciństwo. Chętnie się dowiem. Umieram z ciekawości.

– Nie dość, że alkoholik, to świnią! – rzuciła pełne obrzydzenia słowa, wykrzywiając usta.

Dulęba odchylił się na krześle i założył ręce na piersiach, dając znak, że czeka na jej opowieść.

# 8

## ***Październik 1988 roku***

Zostały jeszcze dwie lekcje. Ważne. Język niemiecki. Kasia wiedziała, że powinna zostać, bo szło jej słabo. Nawet pomoc babci na nic się zdawała. Nauczycielka powiedziała nawet, że nigdy nie nauczy się języka. Dlatego nie liczyła już na więcej niż dostateczny. Byle tylko przejść do następnej klasy i jakoś dociągnąć do matury. A jednak wzięła plecak i wyszła z budynku zaraz po dzwonku kończącym przerwę.

Wąska uliczka tuż przy szkole była pusta. Zapięła kurtkę i pobiegła w kierunku Kamiennej. Niewielki mostek prowadził na drugą stronę rzeki i znajdującego się tuż za nią targowiska.

Powietrze było wilgotne. Chłodny wiatr od gór szarpał jej włosy. Szła szybko. Było już po dwunastej i wiedziała, że musi się pospieszyć. Minęła stragany i wyszła na ulicę. Stąd było już blisko.

Portier akurat podniósł szlaban przed wyjeżdżającym samochodem. Skorzystała z okazji i przebiegła przez bramę. Mężczyzna w kufajce krzychał coś za nią, ale nie miała zamiaru tego słuchać. Pewnie jak zawsze marudził, że trzeba się wpisać do książki. I kręcił nosem, że jest niepełnoletnia. Wiedziała, że jutro, gdy nie uda jej się znowu przebiec, dostanie burę. Miała to gdzieś. Przychodziła tu codziennie. Znał ją dobrze i wiedział, dlaczego to robi.

Wbiegła do budynku B. Neurologia znajdowała się na pierwszym piętrze. O tej porze nie wolno było odwiedzać chorych, ale ją tu wszyscy znali i przymykali oko na szpitalny regulamin. Minęła metalowe drzwi z szybą i zajrzała do sali. Mama spała. Była przeraźliwie chuda. Oczy i policzki zapadały się wyraźnie, zarysowując kości. Szara cera sprawiała wrażenie, jakby była brudna. Wiedziała, że za miesiąc będzie wyglądać inaczej. Jak świeży pączek. Tak działały sterydy.

Nie chciała jej budzić. Zostawiła plecak obok jej szafki i wyszła na korytarz. Wzdłuż ściany stało kilka łóżek, na których leżeli chorzy. Na oddziale notorycznie brakowało miejsc i nie wszyscy mieli szczęście, by trafić do sali. Mama Kasi zawsze je miała.

Podeszła do drzwi na końcu korytarza. Zapukała cicho i nacisnęła klamkę.

– Pani doktor wyszła – usłyszała za plecami znajomy głos pielęgniarki.

Znała je wszystkie. Robiły jej nawet herbatę, gdy spędzała tu całe popołudnia. Siedziała na łóżku, odrabiając lekcje. Chciała przy niej być. Przynajmniej tak rekompensowała sobie brak rodzicielskiego ciepła. Tu matka nie mogła tak sobie wyjść i zamknąć się w swoim pokoju.

– A nie wie pani, czy wróci?

– Poszła na blok operacyjny. Powinna być za kilka minut.

Kasia kiwnęła głową na znak podziękowania, ale pielęgniarka była już daleko. Usiadła na stojącym przy drzwiach krześle i zamknęła oczy. Była zmęczona.

Miała szczęśliwe dzieciństwo, powtarzała to każdego dnia. Niczego jej nie brakowało. Przynajmniej materialnie. Nawet w najtrudniejszych czasach reglamentacji w ich domu nigdy nie zabrakło cukru, masła ani szynki. Były nawet delikatesy, o których inni mogli marzyć. Zagraniczne czekolady, budynie Oetkera, suszone owoce i kawa, której Kasia jako dziecko

jeszcze nie piła. Ale delectowała się jej zapachem, który unosił się, gdy słyszała jednostajne buczenie elektrycznego młynka. Mieszał się z wonią ciasta pieczonego w piekarniku węglowej kuchni. Kojarzył z ciepłem i bezpieczeństwem. Babcią, która udawała, że przepędza ją z kuchni, i dziadkiem spełniającym wszystkie zachcianki.

Po śmierci dziadka kawa stała się walutą, za którą mogły załatwić dosłownie wszystko. Kilogram zagranicznej kawy w eleganckim opakowaniu stanowił równowartość czterech ton węgla. Zapasu na całą zimę, który prosto z miejskiej ciepłowni dostarczała wywrotka. Za o wiele mniejszą paczkę pompier z cepeenu „na górce” przywoził pięć dużych kanistrów benzyny. Te sto litrów razem z kartkowym przydziałem wystarczało na pół roku wyjazdów do oddalonego o dwadzieścia kilometrów kościoła, sanktuarium Matki Bożej Częstochowskiej. Kasia nie narzekała też na brak słodczy. Zawsze miała pod dostatkiem czekolady milka, batoników, galaretek i ciastek. Koleżanki chętnie ją odwiedzały, licząc, że trafią na dobry humor babci, która wyczaruje nagle coś słodkiego. Zazdrościły jej ciuchów. Pięknych koronkowych bluzek i zagranicznych dżinsów. Kolorowych swetrów i kurtek.

Na tle byle jakiej peerelowskiej szarzyzny Kasia wyglądała jak powiew mody z zachodniego żurnala. Zawsze elegancka i kolorowa. Gdy była mała, nie przywiązywała do tego wagi. Ale stając się nastolatką, poczuła, jak wielką siłę ma wygląd. Jak przyciąga wzrok innych ludzi. Koleżanki pożądały jej towarzystwa, przymilały się, nadskakiwały. Z czasem zrozumiała, że tylko po to, by w odpowiedniej chwili poprosić o pożyczenie swetra lub bluzki. Zaczęła dostrzegać, że ich przyjaźń nie jest bezinteresowna. Jest podszyta smakiem korzyści. Wzbudza emocje. Złe emocje. To nie była zazdrość. To była zawiść. Zauważyła, że dziewczyny plotkują o niej i złośliwie komentują za plecami. Śmieją się z chorej matki,

z braku ojca i z jej domu. Domu, w którym wszystkiego było pod dostatkiem. Wszystkiego oprócz uczuć. Ona jeszcze tego nie dostrzegała.

Gdy była mała, wydawało się jej, że ma wszystko. Ojca zastępował dziadek. Nosił na rękach, sadzał na kolanach. Zabierał ze sobą do Karpacza, do hotelu Skalny. Tam, gdzie zwykli ludzie nie mieli wstępu. Owszem, mogli wejść, ale nie mieli po co. Kawa kosztowała dziesięć razy tyle co w przeciętnej restauracji, a kieliszek koniaku wart był tyle co tygodniowe wynagrodzenie. Ona nie piła kawy ani koniaku, ale dla znajomych dziadka była ukochanym aniołkiem. Gdy tylko się pojawiła, prześcigali się w zamawianiu lodów i coca-coli. A nawet sprzeczali się, kto zapłaci rachunek. Zabierali na hotelowy basen, kupowali drobne upominki w dewizowym sklepiku, gdzie można było dostać zagraniczne słodycze. Spełniali każdy kaprys, każdą zachciankę.

Wizyty w ekskluzywnym hotelu oznaczały także dodatkowe zaopatrzenie dla domu. Różową szynkę pachnącą dymem, zagraniczny ser. Żółty tylko z nazwy, bo miał kolor dojrzałych pomarańczy. Były banany, mandarynki i cytryny. A gdy już kolejna grupa Niemców, których dziadek oprowadzał po górach, odjechała do swojego pięknego, pachnącego świata, zaczynały przychodzić paczki. Nowi znajomi dziadka prześcigali się w słaniu zaopatrzenia. Nie było tygodnia, aby listonosz nie zapukał do drzwi, taszcząc pękaty karton pełen frykasów. Czekolady, rodzynek, proszku do pieczenia, budyniów, mąki, cukru i oczywiście kawy.

Pomiędzy tym wszystkim często znajdowali kopertę, w której poza listem było dziesięć, a czasem i pięćdziesiąt zachodnich marek. Pięćdziesiąt marek stanowiło równowartość dwudziestu pięciu dolarów, czyli nieco więcej niż to, co miesięcznie zarabiał polski robotnik. Przy okazji dopychali do kartonu ciuchy. Używane co prawda, ale nikt nie narzekał. Część z nich od razu

wędrowała do komisji, mocno wspomagając domowy budżet. A pieniędzy potrzebowali sporo.

– Na mnie czekasz?

Z letargu wyrwał ją kobiecy głos. Poderwała się z krzesła i otworzyła szeroko oczy.

– Tak, pani doktor – odpowiedziała szybko.

– Wejść, ale nie mam za wiele czasu.

Przekręciła klucz w zamku i otworzyła gabinet.

Kasia weszła za nią i zamknęła za sobą drzwi. Lekarka usiadła za biurkiem i wyjęła z szafki grubą, tekturową teczkę.

– Siadaj! – powiedziała oschle, wskazując krzesło. – Tak jak mówiłam wczoraj. Wyniki są, jakie są. Ale w zasadzie to nic nowego. Wzmocnimy ją kroplówkami, dostanie leki i za tydzień, najdalej dwa wróci do domu.

– Pani doktor... – Kasia przerwała jej niepewnie. – Mówiła pani, że we Wrocławiu można zrobić to badanie.

– Tomografię.

– Tak, tomografię. Może to by pomogło?

– Moje dziecko. – Lekarka zdjęła okulary. – To badanie, nie lekarstwo.

– Tak, wiem, ale...

– Badanie obrazowe może nam dostarczyć mnóstwo informacji. Dzięki niemu możemy wiedzieć, jak postępuje choroba, i lepiej dobierać leki. Ale... – zawiesiła głos.

– Tak wiem – odpowiedziała Kasia z energią i sięgnęła do kieszeni dzinsów. – Rozmawiałam z babcią. Mamy pieniądze. – Wyciągnęła rękę, podając kopertę.

Kobieta wzięła ją do ręki i zajrzała do środka. Potem uchyliła szufladę biurka i wsunęła do środka.

– Postaram się, aby zrobić to badanie jeszcze w tym tygodniu. O ile jej stan będzie na tyle dobry, aby mogła jechać. To dwie godziny w jedną stronę. Najdalej w przyszłym. Potem ustawimy nowe leki. Dostaliśmy kilka nowych z zagranicznych darów.

- Dziękuję pani bardzo.
- Nie ma o czym mówić.

Kasia wstała i wyszła na korytarz. Oparła się o ścianę i znowu przymknęła oczy.

Matka nigdy nie pracowała. Przynajmniej nie od czasu, do którego ona mogła sięgnąć pamięcią. Babcia mówiła, że była księgową w spółdzielni, ale gdy zachorowała, musiała zrezygnować. Teraz miała rentę inwalidzką pierwszej grupy. Stwardnienie rozsiane dawało o sobie znać dwa razy do roku. Wiosną i jesienią na kilka tygodni trafiała do szpitala. To kosztowało. Za zagraniczne leki i badania trzeba było płacić. Ale dzięki temu Maria stawiała na nogi na kilka następnych miesięcy.

Początkowo Kasia nie rozumiała, co się dzieje. Była za mała, aby mieć pojęcie, jak bardzo choroba jest groźna. Gdy chodziła do podstawówki, wstydziła się pokazywać z matką, która często zataczała się jak pijana i bełkotała zamiast mówić. Najgorzej było, gdy szła na wywiadówkę albo porozmawiać z nauczycielami. Niosła wtedy podarki z zagranicznych paczek. Niosła, choć nie było potrzeby, bo Kasia zawsze miała świadectwo z czerwonym paskiem. Ale z powodu tych prezentów nie była pewna, czy sama zapracowała na odznakę wzorowego ucznia, czy traktowano ją szczególnie tylko po to, aby zasłużyć na kawę albo zagraniczne słodycze.

Po wywiadówce zawsze słyszała za plecami rozmowy koleżanek. Komentowały po cichu, że jej matka znowu się zataczała. Było jej wstyd, choć wiedziała, że to choroba. One nie miały pojęcia, że postępujący zanik mięśni powoduje takie objawy. Czuli się gorsza jeszcze w jednym. Inne dzieci miały ojców. Nie zawsze dobrych. Czasem pili albo bili, ale to nie miało znaczenia. Ojciec, jakikolwiek by był, po prostu był. Kasia nie miała ojca. Przynajmniej nigdy go nie widziała.

Po śmierci dziadka zostały jej tylko mama i babcia. Mama nie okazywała ani uczuć, ani zainteresowania. Większość czasu spędzała w swoim pokoju. Zastępowała ją babcia. To ona odrabiała z Kasią lekcje, czytała jej książki. To ona gotowała i sprzątała. Dbała o to, aby w domu niczego nie brakowało. Była dla Kasi najbliższą, najukochańszą osobą. Dobrym duchem, który zawsze pomógł, zawsze wysłuchał i zawsze zaradził. O ojcu nigdy nie rozmawiała. Raz tylko wspomniała, że był alkoholikiem. Zrobił jakąś awanturę. Pobił mamę. A potem porzucił ją, gdy Kasia miała zaledwie kilka miesięcy. Dlatego go nie pamiętała. Przypominały o nim tylko przekazy pocztowe. Raz w miesiącu listonosz przynosił kilkaset złotych. Mniej niż nędzna renta matki.

Po śmierci dziadka, gdy zabrakło męskiej ręki, dom zaczął podupadać. A to rynna przeciekała, a to z kranu ciekło. Na szczęście dach był solidny. Ale ogrzanie ponemieckiej willi pochłaniało majątek. Rury grube jak na „Titanicu” potrzebowały sporo węgla, zanim doprowadziły gorącą wodę do grzejników. Babcia była za stara, aby dyżurować przy piecu, matka schorowana, a nastoletnia Kasia zupełnie nie wiedziała, jak się do tego zabrać.

Z powodu choroby matki udało im się wyzebrać przydział na piec gazowy. Wystarczył jeden pstryczek, aby w domu zrobiło się gorąco. Gorąco robiło się także, gdy listonosz przynosił rachunek. Miesięczny koszt grzania gazem wynosił tyle, ile koszt zakupu węgla na cały sezon. A rachunku nie dało się zapłacić dużą paczką kawy. Dlatego gazowe ogrzewanie stanowiło tylko zabezpieczenie. Uruchamiano je jedynie wtedy, gdy matka złożona chorobą nie była w stanie podkładać do pieca. Albo w święta, aby odpocząć i nacieszyć się narodzeniem Pana Jezusa.

Była już czwarta, gdy Kasia wyszła ze szpitala. Ale nie przez bramę. Dzisiaj nie miała ochoty wysłuchiwać pretensji ciec



podnoszącego szlaban. Przeszła przez główny budynek i wymknęła się przez izbę przyjęć. Złapała autobus i pół godziny później szła już w stronę domu.

Okna od strony ulicy były ciemne. Być może w pokoju babci świeciło się światło, ale idąc od tej strony, nie mogła tego zobaczyć. Mimo to serce zabiło jej szybciej. Wciąż bała się o jej zdrowie. Już raz zabrała ją karetka. I to ona wtedy do tego doprowadziła. Za wszelką cenę chciała poznać prawdę. Wydawało jej się, że to ważne. Okazało się, że prawda jest niebezpieczna. Od tego czasu unikała wspomnień.

– Babciu – powiedziała, ostrożnie wchodząc do pokoju.

Starsza kobieta o białych włosach siedziała w fotelu plecami do drzwi. Nie odpowiedziała. Kasia podeszła bliżej i wtedy zobaczyła, że babcia trzyma w rękach różaniec. Modliła się. Dotknęła jej ramienia.

– Babciu, już jestem.

Teresa westchnęła.

– Byłaś u mamy?

– Byłam. Pani doktor wysłała ją na te badania do Wrocławia. Mówi, że dzięki temu będą mogli lepiej dobrać leki.

– To dobrze – odpowiedziała obojętnie.

– Coś się stało? – Kasia przysiadła na fotelu obok.

– Nic. Tylko się modliłam. Nie wiem, dlaczego nas to wszystko spotyka. Staszek już trzeci raz nie może ułożyć sobie życia. Maria jest taka chora. Twój ojciec was porzucił. Czym zawiniliśmy? Zawsze byliśmy dobrymi ludźmi. Nigdy nikomu nie zrobiliśmy krzywdy.

– Babuniu – Kasia pogłaskała ją po ramieniu – nie myśl już o tym. Wszystko będzie dobrze. Pomódlmy się razem.

Stara kobieta uśmiechnęła się. Jej oczy odzyskały blask.

Religia stanowiła ważną część rodzinnego życia. W każdą niedzielę Kasia wraz z mamą i babcią odwiedzały kościół filialny Matki Bożej Częstochowskiej w Dąbrowicy koło

Wojanowa. Z samego rana pojawiał się wujek Staszek. Przyjeżdżał maluchem w kolorze yellow bahama. Maluch miał swoje lata, ale wujek wciąż powtarzał, że to dobry wóz. Z tych pierwszych, które składano jeszcze na oryginalnych włoskich częściach. Parkował auto za domem. Zapalał papierosa. Potem wchodził i jadł śniadanie. Zawsze jajecznicę z kiełbasą na gorąco, a na koniec wypijał kawę. Dom pachniał dymem, bo w niedzielę rozpalano pod węglową kuchnią. Już o siódmej na fajerce mrugał rosół z kury. O wpół do dziewiątej wujek wyprowadzał z garażu czerwoną škodę 105, którą przed laty dziadek kupił w Peweksie za dolary. Po jego śmierci auto służyło tylko na wyjazdy do Dąbrowicy. Ani babcia, ani mama nie miały prawa jazdy.

Do kościoła miały niespełna dwadzieścia kilometrów. Siadały w pierwszej ławce, po prawej stronie. Zawsze elegancko ubrane, dostojne. Wyróżniały się spośród tłumu miejscowych. W milczeniu czekały na uroczyste odsłonięcie obrazu i modlitwę. Kasia wierzyła, że jeśli będzie się gorliwie modlić do Najświętszej Pani, to ich życie będzie spokojne i dostatnie. Tę wiarę wpoila jej babcia. Regularnie zamawiała msze w intencji członków rodziny. Z okazji urodzin, rocznic śmierci, za zdrowie albo za udany rok szkolny Kasi. Sporo się tego zbierało w ciągu roku.

Po powrocie z kościoła kontynuowano stały niedzielny porządek. Babcia zawiązywała fartuch i szła do kuchni dokończyć przygotowanie obiadu. Rosół dochodził, a w prodżu skwierczał pieczony kurczak. Na kuchni stawiano ziemniaki, obrane już wczesnym rankiem. A do piekarnika trafiał placek.

Wujek w tym czasie oglądał telewizję. Duży japoński Orion był rzadkością. Otrzymały go w prezencie od jednego z dawnych znajomych dziadka. Wpłacił pieniądze w Niemczech, a one odebrały telewizor w sklepie Pekao we Wrocławiu. Był kolejnym powodem do zazdrości koleżanek,

których rodzice mogli co najwyżej kupić radzieckiego Rubina. Ruskie telewizory były kolorowe tylko z nazwy. W rzeczywistości obraz był mdły. Niezależnie od regulacji dominowała albo czerwona, albo zielona barwa. W japońskim Orionie kolory były niesamowite.

Około pierwszej w domu rozległ się dźwięk dzwonka. Babcia jak szkolny woźny oznajmiała, że czas zasiąść do obiadu. Potem otwierała okienko łączące kuchnię z pokojem stołowym. Na wazę dymiącego rosółu czekała już odświętna porcelanowa zastawa z paskiem z prawdziwego złota. Babcia zdejmowała fartuch i przechodziła z kuchni do stołowego. Odmawiała modlitwę i czyniąc honory, napełniała talerze. Najpierw pierworodnemu, który sapiąc i pokaszując z powodu liczby wypalonych papierosów, niecierpliwie wyczekiwał posiłku. Potem wnuczce i córce, a na końcu sobie.

Rosół był gęsty i aromatyczny. Pływały w nim ogromne oczka tłuszczu i makaron własnej roboty, który zawsze szykowano w sobotnie popołudnie. Pieczony kurczak z chrupiącą skórką, ziemniaki okraszone tłuszczem i surówka stanowiły niezmiennie niedzielne menu. Na koniec kawa, oczywiście prawdziwa, i ciasto.

Wujek pił kawę i palił, delektując się ucztą. Czasem przychodził z żoną i synem. Miał trzy żony. Właściwie dwie. Z pierwszą nie wziął ślubu, choć mieli syna. Coś im się nie posklejało i Krystyna wyjechała z Grzegorzem w rodzinne strony, do Katowic. Staszek miał już wtedy nową wybranekę, Barbarę, która urodziła mu Andrzeja. Ale związek nie przetrwał długo. Babcia narzekała na synową. W tym związku też coś nie zagrało i ciotka wyprowadziła się do Szczecina. Kasia wiele razy słyszała, że to ona była winna rozpadu małżeństwa. Po Basi była Jola. Krótco po śmierci dziadka wyjechała do Niemiec do pracy. I nie wróciła. Przesłała tylko papiery rozwodowe.

Stanisław pił. Babcia mówiła, że to z rozpaczy, bo nie może sobie ułożyć życia z żadną kobietą. Nie rozumiały go. Nie były na jego poziomie. Kasia nie wiedziała, co to oznacza. Wujek był inżynierem – przynajmniej babcia tak mówiła. Pracował w Miejskim Przedsiębiorstwie Budownictwa Mieszkaniowego. Budował ogromne osiedle. Wiedziała o nim niewiele. Tyle, co zobaczyła, i tyle, co powiedziała babcia. Dla niej zawsze był idealny.

Prawda wyglądała jednak inaczej. Wujek Staszek nigdy nie wylewał za kołnierz. Czasem przychodził pijany, wyjmował koniak z szafki w stołowym i wypijał do dna. Prosto z butelki. Potem żądał od matki pieniędzy na alkohol. Bywało, że przez kilka tygodni nie zawoził ich do kościoła. Wtedy zastępował go któryś z sąsiadów. Staszek pojawiał się w końcu brudny, głodny i zamroczony wódką. Trochę spał, potem jadł obiad, przeproszał matkę i zebrał o pieniądze. Po wyjściu szedł prosto do Myśliwskiej na piwo.

\*

To trwało kilka lat. Po rozstaniu z Jolą nie mógł się pozbierać. Wreszcie podczas jednego z niedzielnych obiadów oświadczył, że zamierza wziąć ślub z Krystyną, matką pierwszego syna. Babcia tylko z dezaprobatą pokręciła głową. Ale nie oponowała. Miała już wtedy osiemdziesiąt lat. Potrzebowała syna, a on zamierzał sprzedać mieszkanie i wynieść się do Katowic.

Kasia nawet się ucieszyła. Lubiała ciotkę Krystynę. Mimo braku ślubu zawsze nazywała ją ciotką. Lubiała też Grzegorza, który co roku przyjeżdżał do nich na wakacje. I drugiego kuzyna, Andrzeja, który traktował ją jak młodszą rodzoną siostrę. Zawsze chciała mieć rodzeństwo i obaj kuzyni dawali jej tego namiastkę. Gdy przyjeżdżali, dom ożywał. Biegali do ogrodu i na pobliską górkę pod lasem. Jeździli na rowerach,

chodzili na basen. A zimą na sanki lub narty. Czasem razem wyjeżdżali na wieś, w Poznańskie, gdzie dziadkowie mieli zaprzyjaźnionego z powojennych czasów proboszcza. Sporo mu zawdzięczali i po latach chętnie bywali w tamtych stronach.

Któregoś dnia wujek pojawił się z informacją, że sprzedał mieszkanie. Zapytała, za ile. Wymieniona kwota wprawiła ją w osłupienie. Parter przedwojennej willi. Trzy duże, jasne pokoje i prawo korzystania z ogrodu. W doskonałym miejscu, na wzgórzu przy stacji kolejowej. Oddał wszystko za jedną trzecią wartości. Kasia miała wtedy dwadzieścia lat i to ona przejęła już opiekę nad rodziną. Załatwiała miejsce w szpitalu dla matki i pobyt babci w domu opieki przez zimę. Wiedziała, że wujek się sprowadzi, a potem przepije resztki majątku. Wściekła się. Zaczęła mu wymyślać, że jest pijakiem. Odpowiedział krótko: Zamknij się, gówniario. Zostawił rzeczy i pojechał do Katowic. Gdy wrócił po tygodniu, to ona zaczęła rozdawać karty. Dom był już jej. Podczas jego nieobecności zawiozła babcię do notariusza i spisała akt darowizny, zabezpieczając siebie, matkę i babcię.

Ta informacja była dla Staszka jak grom z jasnego nieba. Nie spodziewał się, że „gówniara” jest taka sprytna. Został na lodzie. Wyjechał. Rzadko utrzymywali kontakt. Właściwie wcale. Zadzwoiła do niego dopiero po telefonie od siostry. W środku nocy. Wtedy wszystko się zmieniło.

# 9

## ***Sierpień 2005***

– Pieprzenie! – Piotr śmiał się, nalewając wódkę do kieliszków.

– A nie mówiłam? Ty, zdaje się, nie powinieneś pić! – zakpiła Kasia, patrząc, jak rozlewa, nie trafiając za każdym razem.

Odstawił butelkę na bok, wstał i wziął do rąk kieliszek. Uniósł go w górę i zaczął mówić uroczyście:

– Wypijmy za pamięć mojej ukochanej teściowej, matki, babci, która wielu ludziom zrujnowała życie.

– Zamknij się! – Kasia poderwała się i wycelowała palcem wskazującym, który zatrzymał się tuż przed nosem ojca. – Zamknij się! – powtórzyła już ciszej.

Oczy jej płonęły. Usta miała zaciśnięte i oddychała głęboko.

Pierwszy raz odkąd odszedł, zobaczyła ojca, gdy miała osiemnaście lat. Zebrała się na odwagę i sama złożyła w sądzie pozew o podwyższenie alimentów. Wtedy w domu było już krucho i na nic nie wystarczało. Paczki z zagranicy przychodziły rzadko. To, co babcia odkładała na czarną godzinę, też było na wyczerpaniu.

On też ją wtedy zobaczył po wielu latach. Gdy wyszli z sądu, zaproponował pójście na kawę. Poszli. Nie mogła zabrać go do swojego domu, więc zabrała do domu Marka, jej narzeczonego. Długo rozmawiali. Był przejęty. Mówił, że ma taką wspaniałą córkę. A ona dowiedziała się, że ma inną rodzinę, żonę i syna.

I wcale nie pije. Obiecywał, że będą się widywać. Że teraz wszystko się zmieni. Nie przyjechał ani razu. Nie wiedziała dlaczego. Teraz ta wściekłość wróciła. A on wydawał się tylko rozbawiony.

– Weź te łapy! – Pacnął ją w dłoń, odtrącając na bok. – Abo co?! Znowu mateczka naśle na mnie bandziorów? – Spojrzał na córkę, która otworzyła usta. – Tak, córeczko. Twoja ukochana babcia zapłaciła, aby mi ręce połamali.

– Jak śmiesz? – warknęła Kasia, ponownie unosząc palec. – Porzuciłeś nas, zniszczyłeś mi dzieciństwo, a teraz...

– Niech mówi. – Małgorzata chwyciła siostrę za rękę. – Niech mówi. Załatwmy to raz na zawsze. Drugiej takiej okazji może nie być. Każdy coś wie. Może poskładamy tę historię w całość.

Dulęba przysunął sobie kieliszek i nalał, znowu rozlewając na obrus.

– Pijesz? – zapytała z drwiną. – Jesteś alkoholikiem.

– Ja?! – Podniósł kieliszek i wychylił całą zawartość, odchylając głowę do tyłu. Wziął do ust kawałek suchego chleba i odgryzł mały kęs. Przełknął wolno i spojrzał na córkę. – Zdaje się, że pomyliłaś mnie z moją byłą żoną.

Usta Kasi zacisnęły się jeszcze bardziej. Chciała odpowiedzieć, ale siostra jeszcze mocniej ścisnęła jej rękę.

– Mów! – Teraz Małgorzata warknęła na Piotra. – Wystarczą fakty. Osobiste wycieczki możesz sobie podarować.

Westchnął ciężko i spojrzał na Staszka, tak jakby wiedział, że to, co zaraz powie, nie będzie dla niego niespodzianką. Po jego minie było widać, że się nie myli.

Staszek patrzył na Piotra przez długą chwilę, a potem skinął głową tak, jakby wyrażał zgodę. Potem też sięgnął po kieliszek i szybko wypił.

# 10

## ***Styczeń 1971 roku***

– Twoje zdrowie, bracie! – Andrzej podniósł kieliszek i stuknął się z Piotrem. – Twoje zdrowie. Kurs zaliczony, to może pomyślisz o technikum wieczorowym, a potem studia inżynierskie?

Piotr wypił i odstawił kieliszek. Chwycił kawałek chleba i przegryzł.

– Kurs w Nocie to dopiero początek. A jak zaczniesz technikum, to w robocie od razu pójdziesz do góry. Za dwa lata będziesz majstrem. Mieszkanie dostaniesz. Dywanówka dba o pracowników.

– Kto wie? Na razie to chciałem na Śląsk jechać. Tam są większe możliwości.

– Daj spokój ze Śląskiem! Do kopalni pójdziesz? U nas też jest kopalnia. Trzymaj się od niej z daleka.

– Dlaczego? – Piotr nałożył sobie na talerz śledzia i nalał następną kolejkę.

– Nie wiesz? – Andrzej przyciszył głos. – Oficjalnie kopalnia rudy żelaza. Ale kto tam żelazo widział? – Mrugnął kpiąco okiem.

– To co oni tam kopią?

– Ciszej! – Andrzej zganił kolegę. – Ruda uranu. A obok jest zakład wzbogacania. Teraz to już same resztki wyciągają. To, co było cenne, Ruscy do pięćdziesiątego pierwszego wybrali.



Owszem, forsa jest. Dodatki górnicze, trzynastka, czternastka, Barbórka, premia na dwudziestego drugiego lipca. Mieszkanie, talon na motocykl też dostaniesz. A przy okazji raka płuc. W najlepszym razie pylica. Znałem paru chłopaków, co ich ojcowie tam robili. Teraz to już oni na rencie siedzą i krwią plują i po sanatoriach jeżdżą. I tylko patrzeć, jak synowie w odwiedziny na cmentarz będą do nich wpadać.

Piotr uniósł kieliszek. Wypili. Chwilę siedzieli w milczeniu, a potem Andrzej znowu zaczął przekonywać.

– W dywanówce, bracie, nie zginiesz. Dywany zawsze będą potrzebne. Eksport idzie, dewizy są. Maszyny kupują, na szkolenie zagraniczne można się załapać. A to, bracie, dieta w dolarach leci. Dom można w dwa lata pobudować.

– Znasz ją? – Piotr nie słuchał już kolegi. Patrzył na dziewczynę, która weszła do sali i usiadła przy stoliku pod oknem.

Andrzej odwrócił się w tamtą stronę.

– Aaaa, daj sobie spokój. – Pokiwał głową. – Nie twoja liga. – Machnął ręką.

– Nie moja? – Piotr zaśmiał się i wyprężył pierś. – A co? Coś mi brakuje? – Wyszczерzył zęby i przeczesał dłonią włosy.

– Daj sobie spokój. – Andrzej uśmiechnął się gorzko. – Nie tacy do niej startowali.

– A jacy?

– Wyższa liga. Zresztą nie warto, modliszka.

– No to patrz.

Piotr zerwał się z miejsca i podszedł do stolika pod oknem. Dziewczyna miała długie blond włosy. Ubrana była w golf z elany i krótką spódniczkę w kratkę. Na nogach miała długie kozaczki. Wyglądała jak modelka z zagranicznych żurnali.

– Dzień dobry pani. – Piotr uklonił się grzecznie.

Nie odpowiedziała. Zmierzyła go wzrokiem i odwróciła głowę do okna.

– Czy to miejsce jest wolne? Mogę się przysiąść?

Zrobiła zniecierpliwioną minę i pokiwała z niedowierzaniem głową. Piotr nie czekał na pozwolenie. Odsunął sobie krzesło i usiadł.

– Pani pozwoli, że się przedstawię. Piotr Dulęba. – Wyciągnął do dziewczyny rękę.

Z ociąganiem podała mu dłoń, którą Piotr ucałował szarmancko, lekko podnosząc się z krzesła. Roześmiała się. Ta przesadna, a nawet staromodna uprzejmość ją rozbawiła.

– A jak pani na imię?

– Maria – odpowiedziała ciepłym, melodyjnym głosem.

– Napijesz się czegoś?

– Chętnie – potwierdziła, spoglądając na stolik, przy którym został Andrzej.

– Wino? – Piotr także spojrzął na kolegę.

– Zdaje się, że kolega został sam z butelką.

– To może... – nabrał powietrza w płuca – ...może się przesiądziemy?

Maria się podniosła. Piotr zerwał się, by odsunąć jej krzesło, co przyjęła z uśmiechem. Ruszyli razem w stronę Andrzeja. On wyprostowana, pełna gracji i wdzięku. On wyraźnie zadowolony z siebie. Podchodząc do stolika, mrugnął porozumiewawczo.

– Pani pozwoli, mój kolega, hrabia Andrzej Ponimirski.

– Ooo! – Maria udała zaskoczoną. – Prawdziwy hrabia?

– Proszę wybaczyć temu błaznowi. Przeczytał jedną książkę. *Kariere Nikodema Dyzmy*. I od tego czasu tytułuje mnie hrabią. – Andrzej nachylił się i ucałował dłoń Marii.

Wyjaśnienie przyjęła z rozbawieniem, tak samo jak kolejny pocałunek w rękę. Przez godzinę siedzieli, rozmawiając. Andrzej wyjaśnił, że oblewają zaliczenie kursu w Naczelnej Organizacji Technicznej i uzyskanie uprawnień elektrycznych. Opowiadali o pracy w fabryce dywanów. Maria słuchała

chętnie. Była wszystkiego bardzo ciekawa, choć niewiele rozumiała, gdy próbowali jej wyjaśnić, jak powstają dywany. Dokończyli butelkę wódki i zamówili kolejną. Maria piła mniej niż oni, ale i tak byli mocno zaskoczeni. Dziewczyny w jej wieku raczej degustowały słodkie wina.

– Beata? – Wysoki młody mężczyzna zatrzymał się przy ich stoliku. – Co to, nowych kolegów masz?

Maria odwróciła głowę. Piotr dostrzegł, że poczerwieniała.

– A co to, już starych znajomych nie poznajesz? – Facet nachylił się w jej stronę. – Musimy się spotkać znowu.

– Kolego, chyba panią z kimś pomyliłeś. – Piotr podniósł się z krzesła i stanął pomiędzy Marią a natarczywym gościem.

– Spieprzaj, szczeniaku! Z tobą nie rozmawiam. – Uniósł rękę, aby odepchnąć Piotra. Ten jednak stał mocno na nogach i mężczyzna sam się zatoczył. Odzyskał równowagę i przysunął się do niego. – Mówię, spieprzaj gówniarzu. My tu mamy swoje stare sprawy.

– Rwij zelówki, śmierdzielu, a jak nie, to dawaj na solo! – odpowiedział Piotr przez zęby.

Tamten cofnął się o krok i zaśmiał.

– Na solo? Dzieci nie biję.

– Wyglądasz na bystrego faceta. – Piotr poprawił mu klapę marynarki. – Powinieneś już zrozumieć, że trzeba spływać jak woda w kiblu.

– Ty gnoju!

Mężczyzna zamachnął się. Piotr był szybszy. Zablokował cios, odbijając szybującą w jego stronę pięść i natychmiast wyprowadził z dołu krótki sierpowy w szczękę. Głowa tamtego podskoczyła do góry. Zatoczył się, ale nie upadł. Podjął kolejną próbę ataku. Tym razem rozważniej uniósł pięść i zamachnął się. Piotr uskoczył lekko na bok, chwycił atakującego lewą ręką za nadgarstek, zrobił taneczny krok, obracając się za jego plecy, i wykorzystując energię ciosu popchnął do przodu. Mężczyzna

poleciał głową w stronę pustych stolików, pikując jak odrzutowiec w locie nurkowym. Roztrącił krzesła, lądując na podłodze. Piotr nie skończył na tym. Dopadł do niego, wykręcił mu rękę do tyłu i usiadł na nim całym ciężarem. Lewą rękę włożył mu pod brodę i podciągnął głowę do góry.

– Milicja, dzwoń po milicję! – krzyknął jeden z kelnerów do barmanki.

– Nie ma potrzeby. – Andrzej podbiegł do baru. – Ten pan tylko źle się poczuł, już go wyprowadzamy i wszystko będzie git.

Barmanka znieruchomiała. W ręku trzymała już słuchawkę, a palec drugiej dłoni dotykał tarczy aparatu. Patrzyła, jak Piotr podniósł tamtego i odprowadził do drzwi. Na odchodnym wypłacił mu jeszcze kopa, wyrzucając z lokalu. Barmanka pokiwała głową z uznaniem.

– A taki był z niego chojrak – powiedziała, wykrzywiając usta. – A pan niech uważa – odezwała się do Piotra, który wracał do stolika. – To wstrętne bydlę. Będzie się mścił.

– Jak go tu jeszcze raz spotkam, to tym razem dostanie prawdziwe manto.

\*

Andrzej uniósł kieliszek i stuknął się z Piotrem. Drugą ręką klepnął go w ramię.

– Ty to masz, bracie, farta. Dałeś w zęby jednemu cwaniakowi i ustawileś się do końca życia.

– Daj spokój. Przecież wiesz, że...

– Wiem, wiem. Samo tak jakoś wyszło.

– Zdrówko, szwagier! – Wysoki mężczyzna o wesołej twarzy podszedł do Piotra i stuknął się z nim kieliszkiem, a potem podał rękę Andrzejowi.

– Poznajcie się, to Andrzej, mój kumpel z pracy.

– Staszek jestem – powiedział, szczerząc zęby. – Brat Maryński.

– Andrzej!

– To co, wypijemy, chłopaki? – Staszek przysiadł na wolnym krześle i sięgnął po butelkę wódki. Szybko nalał i uniósł szkło, dając znak do kolejnego toastu. – Zdrowie młodych! – huknął donośnym głosem.

– Zdrowie! – odpowiedzieli biesiadnicy.

Przy stole nie było tylko panny młodej i jej matki. Zniknęły gdzieś po tym, jak w drzwiach pokazało się kilka koleżanek z dawnej szkoły Marii. Piotr zaproponował, aby je zaprosić, ale ona wolała jedynie przyjąć życzenia. Szybko wymieniła uściski, kiwając głową na wypowiedane wciąż te same słowa: zdrowia, szczęścia, pomyślności na nowej drodze. A potem pożegnała wizytację i zniknęła gdzieś z matką.

Piotr trochę się zdziwił. Nawet nie jej reakcją, lecz samym faktem, że ktoś przyszedł. Maria wciąż powtarzała, że nie utrzymuje starych szkolnych kontaktów. Ale wśród tych osób były dwie dziewczyny, które z pewnością gdzieś już widział. W końcu przypomniał sobie gdzie. W Relaxie. Widział je tam przynajmniej kilka razy. I wcale nie wyglądały na uczennice szkoły średniej ani na studentki. Trudno mu było określić, kim są. A już przynajmniej po tym, jak je zapamiętał.

Przestał się tym martwić, gdy Maria wróciła na salę. Orkiestra zagrała kolejny szlagier, a oni musieli wypełniać swoje obowiązki. Wesele było popisem, który zorganizowała teściowa. Zaprosiła sporo gości, głównie ważne osoby, z którymi pracowała. Był sekretarz POP ze spółdzielni spożywców. A nawet wpadł zastępca pierwszego sekretarza komitetu powiatowego. Na tę okoliczność zamówiono dużą salę i drogie jedzenie, jak też fotografa, który wciąż biegał pomiędzy stolikami i robił zdjęcia. Piotr zapłacił zwyczajowo za alkohol i orkiestrę. Sporo go to kosztowało, bo wódka nie mogła być byle jaka. Wyborowa. Kupił sto butelek po siedemdziesiąt pięć

złotych. To były trzy jego wypłaty. Czwarta poszła na radzieckiego szampana, wina, koniaki, piwo i napoje. Za kapekę zapłacił kolejne pięć kawałków. I jeszcze garnitur. Suknię panny młodej teściowie już wzięli na siebie. Na wszystko musiał wziąć pożyczkę z zakładowej kasy zapomogowo-pożyczkowej. Wiedział, że będzie ją spłacał przez trzy lata, ale nie było rady. Wesele miało być szykowne. I było.

\*

Piotr otworzył pomalowaną na zielono furtkę. Wszedł chodnikiem biegnącym wzdłuż przysypanego śniegiem podjazdu. Minął schodki prowadzące do głównego wejścia i wszedł do domu tylnymi drzwiami. Otrzepał buty i sięgnął do klamki drzwi na korytarz. Nacisnął ją delikatnie, aby nie robić hałasu. W holu było cicho, słyszał tylko radio grające w kuchni. Drzwi do pokoiów na parterze były jak zwykle pozamykane. Nie rozumiał tego zwyczaju. W jego rodzinnym domu drzwi były zawsze otwarte. Nawet jeśli domownicy byli w innych pomieszczeniach, można było odnieść wrażenie, że są razem. Tu było inaczej. Drzwi zamykano, aby ciepło nie uciekało na korytarz. W zimie miało to sens, ale latem?

Odwiesił kurtkę na wieszak i zajrzał do kuchni. Przy stole przystawionym do okna siedział teść. Dłubał w rozłożonym na części budziku. Obok stała popielniczka, na której leżał tłący się papieros. Piotr zdziwił się, bo ojcu nie wolno było palić w domu. Właściwie wcale mu nie wolno było palić. Miał chore płuca. Przykra pamiątka po wojnie. Kilka miesięcy spędził w wilgotnej celi i nabawił się ciężkiego zapalenia płuc. Niewiele o tym mówiono, a jeśli już, to bardzo niechętnie, Piotr więc się nie dopytywał.

– O jesteś już. – Teść oderwał wzrok od mechanizmu zegarka.  
– Jesteś głodny?

– Jadłem w zakładzie, ale zupką nie pogardzę.

– Stoi na kuchni.

Wskazał na piec i wrócił do pracy, wkładając w oko lupkę zegarmistrzowską.

Piotr podniósł pokrywkę i zajrzał do garnka.

– Krupnik, doskonale. – Odłożył pokrywkę i zabrał się do wyjmowania z kredensu talerza. – Maria z małą na górze? – zapytał, nalewając zupę.

Teść bąknął coś pod nosem niezrozumiale. Piotr usiadł po drugiej stronie stołu i zaczął jeść.

– Nie pada, to może wyjdziemy jeszcze z Kasią na spacer. Tu blisko się przejdziemy.

– Możesz iść. – W głosie dało się wyczuć rozdrażnienie.

Piotr odłożył łyżkę i spojrzał na teścia.

– Maria jest na górze? – zapytał przyciszonym głosem. Nachylił się przy tym, jakby chciał mu spojrzeć w oczy.

– Do koleżanki poszła.

Tym razem odpowiedź była wyraźna, ale teść nie podniósł głowy.

– Kurwa, znowu! – warknął Piotr i złapał nerwowo łyżkę.

– Nie klnij! – Teść upomniał go bez przekonania. – Jak jesteś chłop, to zrób z tym porządek. Bo co ta za chłop, co nie umie baby upilnować?

– Jak mam pilnować?! – Piotr uderzył pięścią w stół. – W pracy jestem! Sami ją pilnujcie! Czemu wymyka się z domu ukradkiem?

– Nie pyskuj! – Teść odłożył lupkę i spojrzał na Piotra. – Gdyby moja baba tak chodziła samopas, tobym jej lanie sprawił i by się jej odechciało.

– A niech mi ojciec powie: mam jej w dupę dać? Teraz? Trzeba ją było wychowywać, jak był na to czas. Za plecami mi się śmieją...

– Widziały gały, co brały! – teść przerwał mu z wściekłością. – Powiadam, zrób coś z tym, a jakżeś dupa nie chłop, to się zabieraj!

Piotr już się nie odezwał. Dokończył zupę, obmył talerz w małym zlewie pomiędzy drzwiami do kuchni a spizarnią i wyszedł. Był wściekły.

Po urodzeniu Kasi przez pół roku byli najszczęśliwszą rodziną pod słońcem. Mała chowała się zdrowo. Chodzili na spacer, jeździli w niedzielę do kościoła, jedli rodzinne obiady. Nie utrzymywali tylko kontaktów ze znajomymi. Maria twierdziła, że nie ma zbyt wielu koleżanek. Ani ze szkoły, ani z pracy. Wiedział tylko, że szkołę skończyła we Wrocławiu. Liceum. A potem pracowała w księgowości w spółdzielni spożywców. Ale musiała się zwolnić, bo chorowała. Była długo w sanatorium. Na razie nie zamierzała wracać do pracy, choć Piotr ją do tego namawiał. Widział, że nudzi się w domu, a przy Kasi mogli pomóc dziadkowie. A tak zawsze wpadłoby jeszcze parę groszy. Co prawda pieniędzy im nie brakowało, ale od przybytku głowa nie boli.

Mieli wszystko. Matka Marii była kierowniczką w spółdzielni, a ojciec od kilku lat pracował w Interturystyce i Orbisie jako pilot wycieczek zagranicznych. Z krajowymi turystami jeździł do Lwowa. Z zagranicznymi, głównie z NRF, objeżdżał Kotlinę Jeleniogórską. Fucha była doskonała. Z Ukrainy przywoził złoto, pierścionki, obrączki i bransoletki. Sprzedawał je niemieckim turystom z kilkakrotną przebitką. Niemcy cieszyli się, bo u nich złoto było o wiele droższe. A na koniec wycieczki robili jeszcze rzutkę do kapelusza. Zwykle około pięćdziesięciu marek, czyli tyle, ile Piotr zarabiał przez miesiąc w dywanówce. Przychodziły jeszcze paczki z zagranicy. Z ciuchami i żywnością. Tak jak Andrzej powiedział na ślubie, Piotr ustawił się do końca życia. Przynajmniej tak mu się wydawało.



Ale było coś jeszcze, o czym wspomniał w dniu, gdy w Relaxie spotkali Marię. Dopiero teraz Piotr dowiedział się, co oznaczało stwierdzenie przyjaciela, że to nie jest dziewczyna dla niego. Maria była stałą bywalczynią lokali rozrywkowych. Balowała, piła, zmieniała facetów. Tamten, który dostał od Piotra w zęby, był jednym z jej byłych. I nie mylił się, mówiąc do niej Beata. Wszyscy tak do niej mówili. I to dlatego nie zaprosiła na ślub koleżanek ze szkoły czy z pracy. Miała tylko koleżanki z dyskotek i dancingów. Ale ich nie chciała zapraszać. A nawet nie mogła.

Piotr dowiedział się o tym wszystkim, gdy kilka miesięcy temu zaczęła znikać z domu. Wychodziła, zanim wrócił z pracy. Rodzicom mówiła, że idzie na chwilę do koleżanki. Wracała w środku nocy albo nad ranem. Czuć od niej było alkohol. Na początku tłumaczyła, że się zasiedziała, że musiała sobie pogadać, bo nudzi się w domu z małą. Wtedy namawiał ją, aby wróciła do pracy. Odpowiadała, że na to jeszcze za wcześnie. Wołała zostać w domu, zanim mała podrośnie. Chciała tylko czasem wyskoczyć na babskie ploteczki i kieliszek wina.

Za którymś razem wróciła kompletnie pijana. Zrobiła awanturę, wyzwała go od frajerów. Następnego dnia, już na trzeźwo, chciała go nawet uderzyć, gdy zaczął jej robić wymówki i powiedział, że zachowuje się jak dziwka. Solidnie się pokłócili. Teść stanął po jego stronie, ale teściowa nie odzywała się przez długi czas.

Po tamtej awanturze Maria na chwilę się uspokoiła. Przez kolejne dwa tygodnie siedziała w domu. Aż wreszcie nie wytrzymała i znowu poszła w tango. Zaczął jej szukać. Jeździł w nocy od lokalu do lokalu. I znalazł. Pijaną w objęciach jakiegoś faceta. Śmiała się, szydziła z niego, drwiła. Zagroził, że jeśli się nie uspokoi, wniesie o rozwód i zabierze jej Kasię. Podziałało. Przynajmniej tak myślał. Do dzisiaj.

Wiedziała, że w soboty szybciej wraca z pracy, i wyszła, aby go nie spotkać. Na razie szukanie jej nie miało sensu. Było za wcześnie. Pewnie siedziała u jakiejś koleżanki i popijały wino, aby się lekko wstawić przed imprezą. Zresztą tym razem nie miał już zamiaru szukać. Wolał poczekać w domu. Nie robić sobie wstydu. Aby go ludzie palcami nie pokazywali.

Było po trzeciej w nocy. Piotr siedział na szczycie schodów i patrzył przez okno wychodzące na gruntową drogę za domem. Zastanawiał się, jak powinien postąpić, gdy Maria wróci. Jednego był pewny. Musiał coś zrobić. Ludzie już śmiali mu się za plecami, wytykali palcem. A sąsiedzi? Jak to wyglądało, że mężatka wraca w nocy pijana, a mąż siedzi z dzieckiem w domu? Od dawna mu się to nie podobało, ale dzisiaj teść wzbudził w nim męską ambicję.

Piętnaście po trzeciej na wprost furtki zatrzymała się taksówka. Piotr poderwał się i zbiegł kilka schodów do okna. Widział, jak otwierają się tylne drzwi dużego fiata. Na śnieg wypadły kozaki i kożuszek. A potem ze środka wypadła Maria. Z trudem podniosła się i zaczęła nieporadnie zbierać rzeczy. Ledwo stała na nogach. Piotr nie czekał, puścił się biegiem na dół i wybiegł przed dom. Kilkoma krokami dopadł furtki. Maria stała już i siłowała się ze skobelkiem. W tym stanie nie mogła go pokonać. Zobaczyła męża, dopiero gdy otworzył furtkę i stanął przed nią. Miała potargane włosy i rozpiętą sukienkę. Biustonosz wystawał z torebki przewieszanej przez środek piersi. Z rezygnacją machnęła ręką, w której trzymała kozaki.

– Zapłać za taryfę – wybełkotała i chciała go odepchnąć na bok.

Piotr wymierzył jej siarczysty policzek. Głowa Marii odskoczyła na bok. W jednej sekundzie otrzeźwiała.

– Ty skurwy... – nie zdążyła dokończyć. Dostała drugi raz.

– Może jestem skurwysynem, ale ty jesteś puszczalską dziwką.

Chwycił ją z całej siły w pasie i przerzucił przez ramię. Próbowwała walczyć. Wypuściła z rąk buty i kożuszek. Waliła pięściami w jego plecy. Piotr odwrócił się i teraz zobaczył, że za jego plecami stoi teściowa. Stała z zaciśniętymi wargami, patrząc mu prosto w oczy.

– Mamusia zapłaci za taksówkę, córeczka z pracy wróciła. Jak widać, dupą pracuje.

Odszedł, niosąc wrzeszczącą wniebogłosy żonę. Zaniósł ją do pokoju i rzucił na łóżko. Nie miała siły się podnieść. Patrzył na nią z odrazą.

– Czego się gapisz? – wybełkotała.

– Brzydzę się tobą. Zachowujesz się jak dziwka.

– Ja też się tobą brzydzę. Jaki z ciebie facet? Faceta miałam dzisiaj. Ty jesteś śmieciem.

Nie wytrzymał. Schylił się i uderzył ją po raz trzeci. Płaśnięcie odbiło się echem od ścian.

– Ty gnoju! – Teściowa stała w progu. – Jak śmiesz!

– Ja?! A co, mama nie widzi, że ona się puszcza? Pół miasta ją rznąło przede mną. Tylko ja byłem taki głupi, aby się z nią ożenić.

– Jak śmiesz, robolu! – syknęła.

– Zostaw go. Sami niech to załatwią. – Za jej plecami odezwał się teść. Pociągnął Teresę do tyłu i zamknął drzwi.

Piotr słyszał, jak zaczynają się kłócić po niemiecku. Nie rozumiał ani słowa. Krzyki nie ustawały przez pół godziny. Maria przykryła się kołdrą i wcisnęła w kąt.

Następnego ranka wszyscy udawali, że nic się nie wydarzyło. Nie pojechali do kościoła, bo na twarzy Marii wyraźnie było widać odbite palce. Obiad zjedli w ciszy. Piotr chciał porozmawiać z żoną, ale powiedziała, że boli ją głowa i nie ma teraz na to ochoty.

W poniedziałek Piotr wstał przed szóstą. Musiał zdążyć na autobus pracowniczy, który zabierał z Jeleniej Góry ludzi pracujących w kowarskiej dywanówce. Ubrał się i zbiegł szybko do kuchni. Chwycił kilka kromek chleba, zawinął w papier śniadaniowy i urwał pętko kielbasy. Był w przedpokoju i wkładał kurtkę, gdy na schodach pojawiła się teściowa.

– Do pracy idziesz? – zapytała miłym głosem.

Piotr zdziwił się, bo poprzedniego dnia nie odezwała się do niego ani słowem.

– Tak, spieszę się. Wrócę jak zwykle koło piątej.

– Nie wracaj już – powiedziała spokojnie.

Przechylił głowę i zmrużył oczy. Nie był pewny, czy dobrze usłyszał.

– Nie wracaj już – powtórzyła. – Już tu nie mieszkasz.

– Mamusia żartuje. – Zaśmiał się, patrząc na nią. Jej twarz nie wyrażała żadnych emocji.

– Jeśli spróbujesz wrócić, pożałujesz. Ja już nie powtórzę, ale znam takich, co ci to lepiej wytłumaczą. Obyś do końca życia na wózku nie jeździł.

– Zrozumiałem. – Śmiał się, patrząc na jej śmiertelnie poważną minę. – A na razie niech mamusia z córką porozmawia. Aby się kurwić przestała.

Nacisnął klamkę i wyszedł.

\*

Przez cały dzień Piotr myślał o rozmowie z teściową. Jej słowa i ta poważna mina rozśmieszyły go, ale później stracił pewność. Ta groźba mimo wszystko zrobiła na nim wrażenie. Uznał, że tak czy inaczej musi dzisiaj porozmawiać z Marią. Rozważał też, czy nie powinni wyprowadzić się od teściów. Wspólne mieszkanie miało sporo dobrych stron. Nie musieli martwić się o zaopatrzenie ani płacić czynszu. Zawsze mogli liczyć na

pomoc przy Kasi. Maria w końcu musi poczuć odpowiedzialność. Jeśli zostanie w domu z małą sama, będzie musiała wziąć na siebie obowiązki. Rozwazał też wyprawdzkę. Znowu myślał o Śląsku. Nie o kopalni. W Bielsku-Białej na dobre ruszyła produkcja małego fiata. Drugi zakład budowano w Tychach. Kilku chłopaków z dywanówki pojechało. Od razu dostali mieszkania, ściągnęli rodziny, a teraz czekali już na przydział upragnionego malucha. Piotr wiedział, że to dla niego szansa. A Marii dobrze zrobi wyrwanie się ze starego środowiska. Nowe miejsce, nowi ludzie, nowe życie. Z czystą kartą. Wydawało się, że to dobre rozwiązanie. Tak czy siak, musieli zacząć od poważnej rozmowy.

Po pracy Piotr wszedł do autobusu. Gdy dojechali do Jeleniej Góry, kolega zaproponował mu, aby wpadli jeszcze na piwo. Uznał jednak, że to nie najlepszy pomysł, jeśli chce porozmawiać z Marią. Pożegnał się szybko i złapał pierwszy miejski autobus jadący w stronę Małej Poczty. Dziesięć minut później szedł już ulicą Morcinka w stronę domu. Minął ostatnie budynki i dochodził do nieczynnego niemieckiego cmentarza, gdy dostrzegł trzech mężczyzn siedzących na murku. Rozmawiali głośno, podając z rąk do rąk butelkę wódki.

Przyspieszył kroku, by ich minąć.

– Te, kolego! – Jeden z mężczyzn zastąpił Piotrowi drogę. – Masz ognia?

– Nie palę – uciął krótko i chciał go wyminąć.

– Czeka! – Mężczyzna złapał Piotra za rękaw kurtki. – Jak nie palisz, to możesz się z nami napić.

– Nie piję. I nie szukam zaczepki. Dajcie spokój, chcę wrócić do domu.

– Właśnie o to chodzi, kolego! – W głosie dało się wyczuć sarkazm. – Nam zależy na tym, abyś nie wracał do domu, Piotrze.

Pozostali dwaj mężczyźni oderwali się od płotu i stanęli za plecami Piotra, blokując mu możliwość odwrotu. Dopiero teraz zauważył leżącą na murku dużą torbę. Wydała mu się znajoma.

– Wygląda na to, że jednak nie zrozumiałeś rano – mówił dalej tamten. – Może jakoś my damy radę ci to wytłumaczyć.

Piotr poczuł, że robi mu się sucho w ustach. Szybko ocenił sytuację. Teraz groźba spędzenia reszty życia na wózku inwalidzkim stała się całkiem realna. Nie miał szans z trzema dobrze zbudowanymi facetami. Nawet ucieczka nie wchodziła w grę. Z pewnością by go dopadli. Szukał jakiegoś sposobu, by wyjść z tego cało.

– To może się jednak z wami napiję? – zaryzykował jedyne rozwiązanie, które wpadło mu na myśl.

– O! Zaczynasz chłopie myśleć. I to mi się podoba. – Mężczyzna klepnął go w ramię i podał butelkę.

Piotr wypił łyk wódki. Teraz przyszło mu do głowy, że jeśli i tak go pobiją, będzie w jeszcze gorszej sytuacji. Milicja uzna, że był podпиты i to on zaczął rozróbę. Miał przeciw sobie zeznania trzech cwaniaków, którzy wciągnęli go w swoją grę. Przystawił butelkę jeszcze raz do usta, ale tylko udał, że pije. A potem oddał ją temu, który mówił.

– Widzisz, kolego, my do ciebie nic nie mamy – zapewniał przyjacielskim tonem tamten, klepiąc go po ramieniu prawą ręką. W lewej trzymał nadal butelkę. – Ale sam rozumiesz. Poza tym powinienes docenić, że ci pomagamy. Przytargaliśmy tu twoje rzeczy. – Wskazał ręką na stojącą z boku torbę.

Teraz Piotr zrozumiał, dlaczego wydawała się znajoma.

– Mam taką propozycję. Dokończymy flaszkę, a potem weźmiesz swoje rzeczy i pójdziesz w tamtą stronę. – Przechylił głowę w kierunku, z którego przyszedł Piotr. – I najlepiej będzie, jeśli zapomnisz, dlaczego tam chodziłeś. – Teraz pokazał głową w kierunku domu. – Jest też drugie wyjście. Możesz się uprzeć, że idziesz właśnie tam. I wtedy będziemy musieli cię

przekonać, żebyś tego nie zrobił. – Mówiąc to, zacisnął pięść i uniósł tak, by Piotr dobrze zrozumiał. – Wolałbym tego uniknąć.

– Możemy się tak umówić – potwierdził Piotr, bacznie obserwując, czy mężczyzna nie zaatakuje znienacka. Widać nie miał zamiaru; przechylił butelkę, biorąc solidny łyk. Kilka bąbelków powietrza wpadło do środka. Otarł dłonią usta i podał flaszkę ponownie Piotrowi.

Ten posłusznie napił się jeszcze raz, co jego prześladowca przyjął z zadowoleniem.

– Wiecie co, panowie? Ja z roboty wracam, zmęczony już jestem – powiedział z przekonaniem. – Będę się zbierał. Dokończcie tę flaszkę za moje zdrowie. – Zrobił krok i chwycił torbę.

Mężczyźni stojący za jego plecami rozstąpili się.

– A, i jeszcze jedno. – Szef bandy zatrzymał Piotra, ponownie kładąc mu rękę na ramieniu. – Tak na wszelki wypadek, gdybyś zmienił zdanie albo jutro uznał, że jednak chcesz tam po coś wrócić. Drugie nasze spotkanie już nie będzie tak przyjacielskie. Nie będziemy rozmawiać. Forsę dostałem z góry i u mnie nie ma reklamacji.

– Zrozumiałem.

– Trzymaj się stary! – jeden z nich krzyknął jeszcze na pożegnanie.

Piotr uniósł rękę, nie odwracając się w ich stronę. Zastanawiał się, gdzie dzisiaj przenocuje. Rano musiał iść do rady zakładowej poprosić o miejsce w hotelu robotniczym. I znaleźć jakiś sposób, aby porozmawiać z Marią. Martwił się też o dziecko. Mała nie miała jeszcze roku. Spędzał z nią dużo czasu i nie wyobrażał sobie, że mógłby tak po prostu zniknąć z jej życia.

Podstęp był jedynym sposobem. Piotr długo szukał dziewczyny, która znała Marię na tyle, by umówić się z nią w kawiarni. Dopiero w maju znalazł taką, która znała ją jako Beatę i miała jaki taki kontakt. Umówiły się popołudniu w Relaksie. Przez godzinę stał na ulicy, obserwując z daleka wejście do lokalu. W końcu dostrzegł Marię idącą ulicą 1 Maja. Miała na sobie krótką spódniczkę i jasną bluzkę. Rozpuszczone włosy opadały jej na ramiona. Szła jakoś dziwnie, jakby utykała albo chwiała się na boki. Piotr pomyślał, że może jest na lekkim rauszu. To nie wróżyło dobrze. Patrzył, jak zniknęła w budynku. Odczekał jeszcze chwilę, sprawdzając, czy nie idzie za nią jeden z tych cwaniaków, którzy czekali wtedy na ulicy. Wyglądało na to, że była sama. Podbiegł szybkim krokiem do drzwi i wszedł do środka.

W sali było ledwie kilka osób. Tylko spóźnialscy, którzy przychodzili do Relaxu na obiady. Maria siedziała przy stoliku w kącie. Miała założoną nogę na nogę i jedną rękę opartą nonszalancko o oparcie krzesła. W drugiej trzymała papierosa. Nie zdziwiła się na widok Piotra. Wprost przeciwnie, przywitała go uśmiechem.

– Serwus. Wiedziałam, że to ty – przywitała go, gdy podszedł do stolika. – Zuzkę znam słabo i zdziwiło mnie, że tak nalegała na spotkanie.

– Musiałem znaleźć jakiś sposób, aby porozmawiać – odpowiedział, siadając.

– Nie mogłeś przyjść do domu?

– Zdaje się, że twoja matka nie byłaby z tego zbyt zadowolona.

– Boisz się mojej matki? – Zaśmiała się, przechylając lekko do przodu. – Łatwo sobie odpuściłeś. Mnie i dziecko. Kasia zupełnie cię nie interesuje?

– Twojej matki się nie boję, ale tych drabów, których wynajęła, owszem. Byli dość przekonujący, przekazując, że



mamusia nie życzy sobie, abym się pokazywał w domu...

– Piotr, o co ci chodzi? – Spowaźniała.

Na chwilę zamilkli, gdy kelner podszedł i postawił przed Marią kawę. Ukłonił się uprzejmie i spojrzał na Piotra. Ten tylko dał znak głową, że nic nie zamawia. Mężczyzna jeszcze raz się ukłonił i odszedł.

– Jak to o co? Jesteśmy małżeństwem, rodziną. Mamy córkę. Chcesz, aby wychowywała się bez ojca? Pomyślałaś, co będzie za kilka lat, gdy pójdzie do szkoły? Co powie innym dzieciom? A ty? Jak sobie poradzisz za kilka lat, gdy zabraknie rodziców? Myślałaś o tym?

Mówiąc, patrzył, jak Maria słodzi kawę. Rozsypała cukier. Ręka jej drżała i miała problem, aby zamieszać łyżeczką w szklance.

– Piotr, daj spokój.

– Maria, wyjedziemy do Bielska. Kolega załatwił mi już robotę w efesemie. Dostaniemy mieszkanie z zakładu. A i przydział na malucha będzie, jak się przyłożę w robocie. Na początek i tak dostanę więcej forsy niż w dywanówce. Na razie trochę odłożyłem. Wszystko może się zmienić na lepsze, ale musisz chcieć.

Wyjęła carmena z leżącej na stole paczki. Piotr chwycił zapalniczkę i podał jej ogień. Przyglądał się, jak podnosi do ust papierosa. W ruchu ręki było coś nienaturalnego. Jakby unoszenie przedramienia sprawiało jej trudność. Miał wrażenie, że jakaś niewidzialna siła trzyma ją za ramię, a ona walczy za każdym razem, unosząc papierosa do ust.

Pałała, wpatrując się w niego bez słowa. Była trochę nieobecna, jakby myślami uciekała gdzieś daleko. W końcu zrozumiał, że wcale nie patrzy na niego, a gdzieś w przestrzeń, tak jakby był przezroczysty.

– Słuchasz mnie? – zapytał, zmieniając ton na bardziej zdecydowany.

– Słucham. – Jej głos zabrzmiał dziwnie.

– Maria. – Przechylił się do przodu. – Czy ty coś piłaś?

Nie zareagowała, choć zwykle była wściekła, gdy zadawał to pytanie.

– Nie, nic nie piłam – odpowiedziała spokojnie. – Mówiłeś, że dziecko powinno mieć ojca. To dlaczego nie przychodzisz do Kasi?

– A gdzie mam przyjść? Do twojego domu? Aby mamusia znowu nasłała na mnie bandytów?

Spojrzała na niego z politowaniem.

– Nie żartuję. Nasłała na mnie bandziorów.

Maria otworzyła usta i zmrużyła oczy.

– Piotr, co ty mówisz?

– Mówię, że po tej awanturze powiedziała, że mam już nie wracać. Bo zna takich, co posadzą mnie na wózku inwalidzkim. A gdy wracałem do domu, czekało na mnie trzech cwaniaków. Mieli nawet spakowaną torbę z moimi rzeczami. – Chwycił ją za rękę. – Maria, chodź ze mną. Poradzimy sobie. Wyjedziemy. Będziemy mieli swoje mieszkanie. Mała pójdzie do przedszkola. Tobie znajdziemy pracę. Wszystko się ułoży.

– Nic się nie ułoży – wpadła mu w słowo. – Nie pójdę do pracy. – Pokręciła głową.

– Dlaczego? Przecież możesz.

– Nie mogę, Piotr. – Wyrwała rękę, unosząc dłoń do góry. Palce miała wyprostowane. Drżały. – Jestem chora.

– Na co?

– Nie wiedzą, na co. To może być stwardnienie rozsiane. Taka choroba neurologiczna – zaczęła wyjaśniać, widząc, że nie ma pojęcia, co to takiego. – Coś się psuje w układzie nerwowym. Jakaś otoczka zanika i mięśnie przestają pracować. Stąd drżenie rąk. Mam też problemy z chodzeniem.

– Nie wiedziałem.

– Ja też nie wiedziałam. Dopiero teraz. – Spuściła głowę. – To się zaczęło na początku roku. Rozchorowałam się. Myślałam, że to grypa, ale nie było gorączki.

– Maria. Tym bardziej musimy być razem. Przecież ktoś musi się tobą opiekować. Tobą i dzieckiem. Rodzice będą coraz starsi.

– Wiem, masz rację, ale...

– Nie ma żadnego ale.

– Ale po tym wszystkim?

Spojrzała mu w oczy.

– Nic się nie liczy. – Znowu wziął ją za rękę. – Jesteśmy rodziną.

Szli powoli pod górę, trzymając się za rękę. Mówił głównie Piotr. Planował, jak teraz będzie wyglądało ich życie. Zapewniał, że szybko dostaną mieszkanie. Nie słyszał nigdy o tej chorobie, ale był pewny, że są na nią lekarstwa i to tylko kwestia czasu, aby Maria wyzdrowiała. W końcu znalazł kilka osób w zakładowej organizacji partyjnej i kilka takich, które miały znajomości gdzie trzeba. Wiedział, że pomogą w znalezieniu specjalisty i dostaniu się do dobrego szpitala. W Kowarach był dobry szpital i sanatorium. Co prawda leczono w nim choroby płuc, głównie górników z tamtejszej kopalni rudy uranu, ale i tam było kilku świetnych lekarzy. Nie miał wątpliwości, że i oni pomogą. Leczyli poważne choroby, to i z tą dadzą sobie radę.

Doszli do skrzyżowania wąskiej ścieżki z gruntówką, przy której stał rodzinny dom Marii. Piotr wciąż mówił, choć już wcześniej z obawą spoglądał w kierunku okien. Nie był pewny, jak zareaguje teściowa. Podeszli do bramy. Maria otworzyła furtkę i weszła pierwsza. Piotr był o krok za nią. Gdy dochodzili już do szczytu podjazdu, drzwi do domu otworzyły się i na najwyższym schodku stanęła matka. Miała gładko zaczesane

włosy, na których widać było pierwsze oznaki siwizny. W rękach trzymała garnek, z którego unosiła się para.

– Nie zrozumiałeś! – krzyknęła, patrząc z wściekłością na Piotra. – Wynoś się!

– Może porozmawiajmy.

Piotr zrobił niepewny krok w kierunku schodów.

– No, podejdź! A wrzątkiem obleję! Won stąd!

– Ale, mammo – Maria zaczęła wchodzić po schodach – przecież to mój mąż.

– Nie jest już twoim mężem. Nie po tym, co zrobił.

– Porozmawiajmy, mammo. – Piotr wyciągnął rękę w jej stronę.

– Nie jestem twoją matką! Wynoś się, gnoju!

– Mammo, porozmawiaj z nim. Przecież Kasia potrzebuje ojca. Ja też, jestem chora, on pomoże, zna takich, co pomogą, wyleczą mnie.

– Ty durna dziewucho! – Matka zaśmiała się. – Nie masz pojęcia, na co jesteś chora. I ile zapłaciłam lekarzom, aby to ustalili. To choroba nieuleczalna. On ma ci pomóc? – Kiwnęła głową w stronę Piotra. – Z tej robotniczej pensji? Nawet na leki mu nie wystarczy. Gołodupiec. A z czego będziecie żyli?

– Ale... – Maria przyłożyła dłoń do ust.

– Już do domu! A jeśli chcesz iść z nim, to proszę bardzo. Ale więcej mi się tu nie pokazuj. I nie licz na to, że ci pomożemy.

Maria zachwiała się i w ostatniej chwili oparła plecami o ścianę. Piotr chciał ją podtrzymać, ale gdy zrobił krok w jej kierunku, teściowa jednocześnie uniosła dymiący garnek i brwi.

– No chodź! – syknęła.

Cofnął się o parę kroków. Stała wyżej i gdyby chciała, wrzątek z pewnością już by po nim spłynął. Nie zamierzał jednak jej drażnić i sprawdzać, czy to tylko czcze pogrożki. Po spotkaniu z bandziorami był pewny, że stać ją na wiele.

Maria spojrzała na niego, odwróciła się i zaczęła wchodzić po schodach.

– Maria, zaczekaj! – krzyknął.

Nie odpowiedziała. Weszła do domu ze spuszczoną głową.

– I nie chcę cię tu więcej widzieć.

Matka splunęła w jego stronę, a potem weszła do domu.

Stał jeszcze chwilę przed schodami, patrząc na drzwi, które zamknęły się z hukiem. Zajął mu sporo czasu, zanim otrząsnął się i wyszedł na ulicę. Nie miał pojęcia, co się stało. To potoczyło się tak szybko, że dopiero teraz dotarły do niego słowa „choroba nieuleczalna”. Nie wiedział, co ma zrobić. Chciał jakoś pomóc, poszukać lekarza, walczyć. Ale Maria nie dała mu szansy. Nie pozwoliła, aby się nią zaopiekował. Gdy szli do domu, cieszył się, że wreszcie zobaczy Kasię. To też mu odebrała.

Szedł, rozmyślając o tym, co się wydarzyło. Nagle drogę zastąpił mu jakiś mężczyzna. Piotr otrzeźwiał, rozpoznał go.

– Jednak nie zrozumiałeś – powiedział z goryczą w głosie.

Uderzenie było szybkie i potwornie mocne. W oczach mu pociemniało. Poczul, jak upada. Nic nie widział, czuł tylko, że ciosy trafiają w żebra. Tamten chyba go kopał.

\*

Piotr zupełnie się tego nie spodziewał. Minęły już cztery lata od tamtego dnia. Cztery lata ciszy. W tym czasie kilka razy udało mu się spotkać Marię, ale nie chciała z nim rozmawiać. Kasię widywał regularnie. Stojąc przy płocie przedszkola i patrząc, jak bawi się na podwórku. To było wszystko, na co mu pozwolono. Choć nikt tego nie żądał, co miesiąc wysyłał do Marii przekazem niewielką sumę. Resztę odkładał, mając nadzieję, że w końcu będzie mógł spotykać się z dzieckiem. Może zabrać małą na wakacje.

Cisza go zmyliła. Pozew rozwodowy był kompletnym zaskoczeniem. List z sądu przyszedł do zakładu. Kilka stron maszynopisu, w którym obarczano go winą za rozpad małżeństwa. Z niedowierzaniem czytał o sobie, że jest alkoholikiem, pobił żonę w obecności jej rodziców, a potem porzucił ją i dziecko. Ale zanim do tego doszło, pił, awanturował się i groził. Było też sporo o tym, jak po pijanemu doprowadził do bójk na ulicy, wskutek czego trafił do izby wytrzeźwień. Była też lista świadków. Kilka osób nawet znał. Ale nie miał pojęcia, co mogą powiedzieć na temat jego pożycia małżeńskiego.

Rozprawa odbyła się szybko. Po wysłuchaniu zeznań ludzi, których Piotr pierwszy raz widział na oczy, wstał i oświadczył, że przyjmuje winę na siebie. Poprosił o orzeczenie rozwodu. Zrozumiał, że nie ma szans. To była walka z Goliatem. Tyle że on nie był Dawidem. Kilka dni później zwolnił się z pracy i wyjechał na Śląsk. Przedtem jednak jeszcze raz stanął przy płocie przedszkola. To był ostatni raz, kiedy patrzył na córkę.

## ***Sierpień 2005 roku***

Kasia uniosła głowę i spojrzała w lustro. Miała rozmazany makijaż. Nawet ten drogi tusz musiał się rozmazać, gdy płakała. Zakręciła kran. Wyjęła z torebki chusteczkę do demakijażu i zaczęła wycierać oczy.

Drzwi do łazienki się otworzyły.

– Trzymasz się jakoś? – Małgosia podeszła do niej blisko.

Kasia z trudem przełknęła ślinę przez zaciśnięte gardło. Łzy same popłynęły po policzkach.

– Ciiii. Już cicho. – Małgosia objęła ją i przytuliła. – Wierz mi, że to minie. Poboli i przejdzie. – Zaczęła głaskać siostrę po głowie. – Wierz mi, przerobiłam to już trzy razy.

– Ale to ty ich zostawiałaś – odpowiedziała, dławiąc się łzami.

– To prawda. Musisz się tego nauczyć. Niewart jest tego, byś płakała. Taki sam sukinsyn jak wszyscy. Zawsze znajdzie się jakaś młodsza. Wystarczy, że zakręci dupą, a oni lecą.

– Nie była młodsza. – Odetchnęła ciężko.

Małgorzata puściła ją. Wzięła chusteczkę i zaczęła zmywać rozmazany tusz.

– Jest w moim wieku – mówiła dalej Kasia. – Ma ładną figurę i czarne włosy. A ja przy niej zażartowałam, że kochanka powinna mieć tak samo na imię jak żona, bo się facetowi nigdy nie pomyli. Teraz wiem, dlaczego miała taką głupią minę. Pomyślałam, że może ją mąż zdradza z jakąś Kasią. A to ona

zabierała mi mojego. Byłam pewna, że on mnie w końcu zdradzi. Wiedziałam, że musi, bo nie dawałam mu tego, czego potrzebował.

– Jasne! – odpowiedziała z sarkazmem Małgorzata.

– Tak. Nie było już tak jak na początku. Zniknęły motyle w brzuchu. A ja byłam skupiona na sobie. Ciągłe pracowałam. Wtedy starałam się o tym nie myśleć. Byłam pewna, że prędzej czy później zaliczy jakąś panienkę. Może kilka. Ale nie wpadłam na to, że może się zakochać w pierwszej, z którą pójdzie do łóżka.

– Jesteś taka sama jak wszystkie inne zdradzone kobiety. Bierzesz winę na siebie. Szukasz usprawiedliwienia dla niego. On przecież taki wspaniały, dobry – zaczęła mówić z drwiną, unosząc oczy ku górze. – A przecież chodzi im wyłącznie o seks. Nie panują nad tym. Nie są zdolni do monogamii. To, nie, twoja, wina. – Stukała ją palcem w pierś, akcentując każde słowo. – Nie będzie on, to będzie inny. Poszukamy ci kogoś. Tylko zacznij myśleć o sobie.

Wrzuciła chusteczkę do kosza i wyjęła z torebki Kasi podkład. Wycisnęła trochę na palec i nałożyła jej pod oczy. Puder, cień, pomadka. Kasia stała, poddając się temu, co siostra robi. Dopiero teraz się zbliżyły. Po pierwszym spotkaniu była euforia. Miały się widywać, jeździć razem na wakacje. Ale nie potrafiła. Nic nie czuła. Z czasem przestała odbierać telefony. A gdy Małgorzata dzwoniła do Marka, kazała mu mówić, że jest na konferencji. Zadzwoiła do niej dopiero wtedy, gdy odszedł do innej. Dopiero wtedy, gdy rozpaczliwie potrzebowała wsparcia kogoś bliskiego. Na matkę nie mogła już liczyć. Właściwie miała tylko rodzinę Marka, która oczywiście stanęła po jego stronie.

– W porządku – powiedziała Małgorzata, z dumą patrząc na efekt make-upu. – Możemy wracać na salę. I zabraniam ci się mazać.



\*

Przez okno widać było ulicę, która zupełnie opustoszała. Deszcz lał coraz bardziej. Wydawało się nawet, że pada poziomo. Potężny wiatr smagał szyby, po których spływały strumienie wody.

Kilku przypadkowych gości, tych, którzy nie wyszli wcześniej, w odrętwieniu przysłuchiwało się rodzinnej historii, która z minuty na minutę stawała się coraz bardziej surrealistyczna. Siedzieli, w osłupieniu słuchając słów Piotra. Tylko kelnerka przechodziła co jakiś czas, sprawdzając, czy czegoś nie brakuje. Nie brakowało. Nikt nawet nie myślał o jedzeniu ani piciu. Opowieść zakłócał tylko odgłos pstrykającej co parę minut zapalniczki. Wreszcie zapadła cisza.

Pierwszy odezwał się Staszek.

– Nie wiedziałem – oznajmił cicho i sięgnął po butelkę. Nalał do kieliszków, uniósł swój, stukając o ten stojący przed Piotrem.

Piotr spojrzał na córkę. Miała zastygłą twarz, która nie wyrażała żadnych emocji.

– Jesteś podobna do babci – stwierdził z westchnieniem. – Ona tak samo patrzyła.

– Wszyscy mówią, że jestem podobna do ciebie – odpowiedziała beznamiętnie.

– Ale nie z charakteru. – Staszek rzucił okiem na siostrzenicę.  
– Teraz zaczynam rozumieć, po kim to masz. Jesteś taka jak moja matka. Też musisz o wszystkim decydować.

Kasia zachnęła się. Spojrzała na wujka z pogardą.

– Zamknij się, pijaku! – warknęła.

– Spokojnie. – Małgorzata uniosła ręce do góry, chcąc powstrzymać zbliżającą się awanturę. – Nadal nie rozumiem dlaczego. O co w tym chodzi? Wiele się zgadza w tych historiach, ale każda się różni. Niby mówicie o tym samym, ale każdy dodaje coś nowego. Ile jeszcze tych tajemnic?

– Dajmy już spokój. – Staszek machnął ręką i zaczął się podnosić. – Ja mam dość. Chcę iść do hotelu. Odpocząć.

– Nie, no tak nie będziemy rozmawiać. – Małgorzata poderwała się z miejsca i zastąpiła mu drogę. – Chcę się dowiedzieć dlaczego. Dlaczego mnie oddała. Może tobie to wszystko jedno, ale nie mnie. Nie masz pojęcia, co to znaczy dowiedzieć się, że zostałeś adoptowany. Gdy dociera to do ciebie od innych dzieci. Nie wiesz, skąd jesteś...

– A może wiem? – przerwał jej. – Słyszałaś, jak wyglądało życie twojej siostry? Może wygrałaś los na loterii?

– Co ty pierdolisz?! – Małgorzata podniosła głos. – Nie masz pojęcia, co czułam...

– Mam pojęcie – przerwał jej znowu. Mówił zupełnie spokojnie. – To ty nie masz pojęcia. I nie jestem pewien, czy chcesz poznać prawdę. Czy chcesz się dowiedzieć czegoś takiego. To, co słyszałaś, jest niczym. To dopiero początek.

Teraz w jego głosie pojawiła się gorycz. Opadł na krzesło, a jego ręce zwisały jak u szmacianej lalki. Patrzył przez chwilę w okno. Aż wreszcie się odezwał.

# 12

## ***Październik 1961 roku***

Za oknem było słycać zgrzyt przejeżdżającego ulicą tramwaju. Hałas przeszkadzał, ale okno musiało być otwarte. Jesienne słońce mocno rozgrzało powietrze w klasie.

Tramwaj wjeżdżający na pętlę przed dawnym hotelem Tietzes, w którym obecnie mieściło się Technikum Przemysłu Drzewnego, zakłócał spokój co piętnaście minut. Trzy tramwaje oznaczały jedną lekcję. Ale co chwila słycać było stukot kopyt koni ciągnących furmanki albo warkot ciężarówek przejeżdżających ulicą biegnącą wzdłuż Wrzosówki. Pokrzykiwania i rozmowy zlewały się w odległą kakofonię dźwięków. Zapach schnących liści wdzierał się do sali i drażnił nozdrza. Nie pozwalał się skupić. Wszyscy myślami byli już gdzie indziej. Liczyli minuty do ostatniego sobotniego dzwonka, który zakończy tydzień.

Staszek poczuł klepięcie w ramię. Odchylił się lekko do tyłu. Poczuł rękę wsuwającą się pod pachę. Podciągnął przedramię i wymacał dłoń podającą rulonik kartki. Ostrożnie rozwinął liścik i udając, że wciąż patrzy na profesora, odczytał tekst: „Jedziemy do prezydium?”. Uniósł głowę wyżej i kilka razy wolno nią skinął, dając znak siedzącemu z tyłu nadawcy, że się zgadza.

Minuty wlokły się niemiłosiernie. Po raz któryś spojrział w okno. Do końca lekcji pozostało jeszcze około dziesięciu

minut. Dzwonek powinien zadzwonić zaraz po tym, jak przejedzie następny tramwaj.

Planował w myślach kolejność tego, co musi zrobić. Plecak miał już spakowany. Wystarczyło dobiec do internatu, przełożyć z teczki kilka książek, z których jutro musiał powtórzyć materiał na poniedziałek, i złapać tramwaj odjeżdżający za piętnaście pierwsza. To dawało szansę, by przed drugą dotrzeć do Jeleniej Góry. Prezydium Rady Narodowej mieściło się na placu Ratuszowym. Wnioski o dowód składało się na parterze. Miał zdjęcia, które zrobił u fotografa w Cieplicach. Rozmyślał też o jutrzejszym dniu. Zapowiadała się doskonała pogoda i nic nie mogło przeszkodzić w spędzeniu całego dnia na lotnisku.

– Wyjmijcie kartki! – Głos profesora i pomruk kolegów wyrwały go z przyjemnych marzeń. – Wyjmijcie kartki! Szybko! Trzy pytania. Zobaczymy, co zapamiętaliście z dzisiejszej lekcji.

Staszek otworzył usta ze zdziwienia.

– Pytanie pierwsze. Pytań nie zapisujcie, tylko odpowiedzi. – Nauczyciel stanął na środku sali i uniósł głowę, tak aby wszystkich widzieć.

Staszek pospiesznie wyrwał kartkę z zeszytu i u góry strony napisał imię i nazwisko. Rozejrzał się wokół. Większość kolegów miała nietęgę minę. Nikt nie słuchał wykładu profesora. Ten widocznie udał, że nie widzi rozluźnienia panującego na ostatniej godzinie, i postanowił sprawić im niemiłą niespodziankę.

Cholera, znowu trzeba będzie poprawiać – westchnął w duchu.

– Proszę podać nazwisko komendanta obozu koncentracyjnego Oświęcim-Brzezinka.

Staszek napisał na kartce cyfrę jeden i ostrożnie zerknął w bok, próbując odczytać, co napisał siedzący obok kolega.

Udało mu się powoli odczytać imię Rudolf, ale za nic nie mógł rozszyfrować nazwiska.

– Proszę podać, ilu ludzi hitlerowcy zamordowali w obozie. I pytanie trzecie – kontynuował nauczyciel, nie czekając, aż wpiszą odpowiedzi – proszę podać datę...

– Zaraz! Chwila! – odezwały się głosy.

– Tu nie potrzeba czasu. To tylko liczba. – Nauczyciel uniósł rękę, uspokajając protesty.

– Raczej nie! – odezwał się zdecydowany głos z końca sali.

– Słucham? – Zdezorientowany profesor wszedł pomiędzy rzędy i ruszył ku tyłowi sali. – Nie dosłyszałem – powiedział, wyraźnie zirytowany taką bezczelnością.

– To nie jest tylko liczba! – Chłopak siedzący w ostatniej ławce podniósł się i z kamienną twarzą wpatrywał się w nauczyciela.

– Nie rozumiem – odpowiedział zdezorientowany profesor. Złość zmieniła się w osłupienie. Nie mógł uwierzyć, że uczeń odpowiada mu w taki sposób.

– To nie jest tylko liczba! – powtórzył jeszcze głośniejszym głosem chłopak.

– To byli ludzie. To Niemcy zabrali mojemu ojcu nazwisko i wytatuowali numer na rękę. Dla nich był tylko numerem.

Cała klasa odwróciła się, patrząc na chłopaka. Stał wyprostowany. Jego oczy pałały oskarżeniem. Kąciki ust lekko drżały. W zaciśniętej pięści sterczał ołówek wycelowany w nauczyciela. A on mówił dalej:

– Ponad milion trzysta tysięcy. Tylu ludzi zamordowali Niemcy. Zatłukli pałkami, zamęczyli na śmierć, zagłodzili. Albo tak jak mojego ojca dobili zastrzykiem fenolu w serce. Najwięcej zabili w komorach gazowych, używając cyklonu B. Komendantem fabryki śmierci był Rudolf Höss. Został powieszony na tej samej szubienicy, na której wieszano więźniów próbujących ucieczki. To było szesnastego kwietnia czterdziestego siódmego roku o dziesiątej zero osiem.

W sali zapadła kompletna cisza. Z ulicy wciąż dobiegał gwar i zgrzyt przejeżdżającego tramwaju.

– Tak! – wykrztusił po chwili nauczyciel. – Masz rację. To byli ludzie. Bardzo mi przykro... – urwał, patrząc na chłopca.

Na korytarzu rozległ się dźwięk dzwonka, uwalniając go od tego, co powinien powiedzieć. Jednak nikt się nie ruszył. Profesor cofnął się do biurka i opadł na krzesło. Machnął ręką, jakby chciał przegonić natrętną muchę.

– Koniec lekcji. Możecie iść.

Uczniowie wolno zaczęli chować zeszyty i książki. Zwykle po ostatnim dzwonku przepychali się w drzwiach i przekrzykiwali. Tym razem wychodzili pojedynczo, mijając się w milczeniu. Nauczyciel wciąż siedział na swoim miejscu.

\*

– Ale numer – powiedział z nieukrywanym podnieceniem chłopak o okrągłej twarzy do kolegów, gdy stali już na przystanku. Kręcił głową i wciąż powtarzał: – Ale numer, ale numer. Kobyłę zamurowało. Nie spodziewał się.

– Wiedzieliście? – zapytał wysoki chłopak o blond włosach.

– Co wiedzieliśmy? – odrzekł inny, zapalając papierosa.

– No, że Jurka ojciec? No, wiecie...

– Nikt nie wiedział. – Staszek także wyjął z kieszeni paczkę i zapalił. – Tylko tyle, że wychowuje go matka. Ojciec zginął na wojnie. A bo to kto pyta, jak ktoś zginął? Zginął i już. Pewnie na froncie. Jak pytasz w domu o wojnę, to mówią tylko, że było strasznie.

– Moi też tak mówią – potwierdził wysoki, wyjmując z kieszeni garść słonecznika. Zaczął rozgryzać ziarna, a łupiny rzucał na ziemię.

– Skurwysyny! – warknął Staszek. – Mordowali ludzi. Ja to bym wszystkich tych Niemców wsadził do komór i zagazował

tym pieprzonym cyklonem. Powinni zdychać.

– A żebyś wiedział. Powinni zdychać – potwierdził ten ze słonecznikiem.

Rozmawiali jeszcze kilka minut, zanim nadjechał tramwaj. Wskoczyli na tylny pomost drugiego wagonu i zajęli miejsce przy oknie obok łańcucha oddzielającego miejsce motorniczego. Całą drogę rozprawiali o tym, jak zakończyła się lekcja. Zmienił temat dopiero wtedy, gdy dojeżdżali do Jeleniej Góry.

Wyskoczyli z tramwaju przy placu Bieruta. Stąd na plac Ratuszowy mieli ledwie kawałek. Słońce oświetlało kamieniczki stojące wzdłuż ulicy Długiej. Wysokie fasady tworzyły tunel, w którym wiejący wiatr targał im włosy. Spieszyli się. Było już po drugiej, a w soboty magistrat załatwiał interesantów tylko do trzeciej. Szli, rozprawiając o zaliczeniach, które pozostały im na kursie szybowcowym. Meteorologia była trudna. Zanim będą mogli usiąść za sterami, musieli jeszcze wykonać dwa skoki ze spadochronem. Tego Staszek bał się najbardziej. Nie wiedział, czy sobie poradzi. Reszta chłopaków też miała cykora, choć wszyscy powtarzali z animuszem, że to będzie świetna przygoda.

W magistracie urzędniczka dała im formularze do wypełnienia. Usiedli na ławce w holu i zaczęli uzupełniać rubryki. Staszek wpisał starannie swoje dane. Urodzony dwudziestego czwartego października tysiąc dziewięćset czterdziestego trzeciego roku w Białej Krakowskiej. Syn Bronisława i Teresy.

Do osiemnastych urodzin pozostały jeszcze dwa tygodnie, ale wnioski o dowód mógł już złożyć. Wyrobienie dokumentu trwało kilkanaście dni. Właściwie nie był mu do niczego potrzebny, poza kupieniem piwa czy wina w restauracji. Teraz miał z tym kłopot, bo niektórzy sprzedawcy, widząc młodych ludzi, żądali dokumentu potwierdzającego pełnoletność. W Jeleniej Górze, Cieplicach i Sobieszowie radził sobie z tym, bo

był znany niemal we wszystkich lokalach. Ale podczas ostatnich wakacji, gdy spędził tydzień u rodziny w Bielsku, kilka razy odmówiono mu sprzedania piwa. Kłopot był także podczas wakacyjnych praktyk szkolnych, które uczniowie technikum odbywali w tartaku pod Zieloną Górą. Tam bez przerwy musieli kombinować, bo sprzedawczynie w miejscowym peesiesie dobrze wiedziały, że nie mają ukończonych osiemnastu lat. Rozwiązywali to zawsze w ten sam sposób. Wysyłali po piwo któregoś ze starszych robotników, odpalając mu flaszkę za fatygę.

Staszek wiedział, że dowód będzie mu potrzebny dopiero w czerwcu przyszłego roku. Nie myślał o studiach, szkoła go nużyła. Uznał, że wystarczy mu dyplom technika technologii drewna. Liczył, że dzięki znajomościom matki dostanie pracę w Przedsiębiorstwie Budownictwa Miejskiego. Na terenie wsi Raszyce leżącej po drugiej stronie Bobru rozpoczęto już projektowanie nowej dzielnicy miasta, Osiedla Piastowskiego. Jak przez mgłę widział dalszą przyszłość. Pewnie znajdzie jakąś dziewczynę. Potem ślub, dziecko, własna rodzina. Wszystko wydawało się proste jak odhaczanie kolejnych obowiązkowych punktów na liście startowej, której uczył się podczas kursu szybowcowego.

– Jak tam, chłopcy? – Urzędniczka podniosła wzrok znad papierów, gdy stanęli we trzech przy barierce oddzielającej biuro od miejsca dla petentów. – Macie wszystko? Zaraz kończymy pracę. – Wymownie spojrzała na wiszący nad drzwiami zegar.

Oddali jej wypełnione blankiety i podpisane na odwrocie fotografie. Kobieta przejrzała dokumenty.

– Musicie chwilę poczekać. Pójdę wyjąć z archiwum wasze akty urodzenia i sprawdzić, czy wszystko się zgadza. Zaczekajcie na korytarzu. – Odwróciła się i zniknęła za dużymi,



ciemnymi drzwiami w głębi pomieszczenia wysokiego przynajmniej na trzy i pół metra.

Wyszli do holu i usiedli na ławce.

– To co, piwko? – zapytał Staszek z uśmiechem.

– Symbolicznie, najwyżej jedno, bo jutro lotnisko.

– Do jutra zapomnisz, że coś wypiełeś.

– Ale muszę się jeszcze przygotować. Jak będzie pogoda, to zaliczę skok.

– Boisz się?

– Kto by się nie bał?

– Ja się nie boję. – Niski blondynek wypiął dumnie pierś. – Jak zrobię kurs szybowcowy, to może się zgłoszę do szkoły wojskowej.

– Głupi jesteś, takich kurdupli nie biorą.

Wszyscy trzej wybuchnęli śmiechem. Drzwi do referatu ewidencji ludności otworzyły się i wyszła z nich urzędniczka.

– Który z was to Staszek Żołnierowicz?

– Ja! – Staszek poderwał się z ławki.

– Jest kłopot. W archiwum nie ma twojej metryki urodzenia. Bez tego nie mogę przyjąć wniosku. – Podała mu formularz i fotografię.

– Ale jak to?

– Nie mam pojęcia. Jest tylko zaświadczenie potwierdzające, że jesteś synem Bronisława i Teresy Żołnierowiczów. Ale musimy mieć akt urodzenia. Porozmawiaj z rodzicami. Urodziłeś się w czasie wojny. Może mają dokument w domu. A jak nie, to trzeba jechać do parafii, gdzie się urodziłeś, i poprosić o odpis.

– Do Bielska-Białej?

Pokiwała głową.

– Na dzisiaj tyle. Przynieś dokument. A wy możecie przyjść po dowody za dwa tygodnie.

Wyszli na plac. W podcieniach kamieniczek przemykali ludzie. Jakaś wycieczka z przewodnikiem zatrzymała się przed wejściem do ratusza. Mężczyzna po trzydziestce, w czerwonym swetrze, z przechylnym na bok berecie i wysokich butach, z których wystawały długie, sięgające pod kolana skarpety, opowiadał o historii Jeleniej Góry.

Chłopcy minęli grupę i skierowali się w podcienie po wschodniej stronie placu. Pokonali kilka schodków i weszli do restauracji Arkadia. Wewnątrz panował mrok. Lokal miał kategorię drugą. Urzekął prostotą i stanowił stały przystanek dla amatorów trunków. Zapachy z kuchni mieszały się z aromatem nalewanego przy barze piwa. Usiedli przy stoliku. Po chwili pojawił się kelner. Zamówili po kuflu wrocławskiego piasta i rozmawiali o planach na jutrzejszy dzień. Staszek myślami był jednak gdzie indziej. Ku zaskoczeniu kolegów nie chciał już drugiego piwa. Pożegnał się i wyszedł. Na 15 Grudnia wskoczył do tramwaju. Dziesięć minut później był już przy Małej Poczcie. W tym miejscu zwykle wpadał do restauracji Myśliwskiej na małe lwóweckie. Ale nie tym razem. Do domu niemal biegł. Musiał wyjaśnić sprawę metryki. Coś nie dawało mu spokoju.

Matka szykowała akurat późny obiad, gdy wpadł do kuchni. Zawsze czekała na niego, gdy w soboty wracał z internatu. Był jej oczkiem w głowie. Nie potrafiła ukryć, że go faworyzuje. Nawet gdy narozrabiał, nigdy na niego nie krzyczała ani nie karała. Ojciec też kochał go bezwarunkowo. Młodsza siostra nie miała takich względów.

Gdy Staszek wszedł do kuchni, matka odchyliła głowę, by ją jak zwykle ucałował. Minął ją z naburmuszoną miną. Zdziwiła się i wyczuła, że coś się stało. Ale jeszcze bardziej zwróciło jej uwagę to, że nie zajrzał do garnków, jak to zwykł robić, wracając do domu. Przeszedł się nerwowo po małej kuchni i wreszcie zatrzymał przy wychodzącym na ogród oknie.

– Jak w szkole? – zapytała z troską.  
– Wszystko dobrze – odpowiedział wymijająco, wciąż patrząc na ogród.

– Umyj ręce, zaraz obiad.

– Gdzie ojciec?

– W ogrodzie. Zaraz będzie – mówiąc to, wyszła na korytarz i podniosła stojący na obudowie grzejnika mosiężny dzwonek. Potrząsnęła nim kilka razy. Ostry dźwięk rozszedł się po domu. Gdzieś u góry trzasnęły drzwi, a po chwili na schodach rozległ się odgłos szybkich kroków. – Umyj ręce! – powtórzyła, wracając do garnków.

Do kuchni wbiegła drobna nastolatka. Spojrzała na Staszka z krzywą miną i powiedziała z ironią:

– Któż to nas odwiedził?

Staszek zignorował przywitanie siostry. Nachylił się do małego zlewu za drzwiami i obmył dłonie. Wytarł w ścierkę i przeszedł do stołowego. Po chwili przy stole usiadła cała rodzina. Ojciec klepnął go na powitanie w ramię.

W milczeniu zjedli ogórkową. Na drugie matka podała kotlety mielone z ziemniakami i mizerią. W tygodniu jadano raczej skromnie, ale gdy Staszek wracał z internatu, zawsze starała się, aby na stole było mięso. Lubił kotlety, jednak tym razem jadł bez apetytu, co nie uszło jej uwagi.

– Stało się coś? Coś w szkole? – Odłożyła sztućce i złożyła przed sobą ręce jak do modlitwy, wyraźnie dając sygnał, że nie odpuści, dopóki się nie dowie, o co chodzi.

– Byłem w prezydium – odpowiedział, nie podnosząc wzroku znad talerza. – Złożyć wniosek o dowód.

– Doskonale, zuch chłopak. Za dwa tygodnie będziesz już dorosły, dowód ci się należy. – Ojciec wyciągnął rękę i klepnął go w ramię.

Matka pokręciła głową. Ona się nie cieszyła, miała zatroskaną twarz. Jakby przeczuwała nadciągające kłopoty.

– W prezydium nie ma mojej metryki urodzenia – powiedział spokojnie Staszek i spojrzał na matkę. Jej twarz jeszcze bardziej stężała. Potem odwrócił się do ojca. Widział, jak przestał się cieszyć. – Urzędniczka powiedziała, że może rodzice mają metrykę.

– Ale jak to nie mają? – Ojciec udał zdziwienie. – Przecież pięć lat temu, jak się tu sprowadziliśmy, zanosłem wszystkie dokumenty przy meldunku. Może coś zgubili? – Zaczął się zastanawiać.

– Trzeba to wyjaśnić! – ucięła dociekania matka i sięgnęła po widelec. – Załatwimy to w poniedziałek. Mam znajomego – mówiła, jedząc – jego żona pracuje w prezydium. Zadzwonię do nich i poproszę, aby się tym zajęli. O nic się, Stasiu, nie martw. Będziesz miał dowód.

– Ta babka w urzędzie mówiła, że jak nie macie metryki, to trzeba jechać do Bielska i wziąć odpis.

– W Bielsku nic nie ma – odpowiedział z zakłopotaniem ojciec.

– Jak to nie ma?

– Wojna była, Stasiu. Chrzczony byłeś w kościele. A jak szedł front, to Ruscy zbombardowali miasto. Kościół się spalił i wszystkie dokumenty przepadły.

– Ale... – powiedział niepewnie, patrząc wciąż na matkę.

– Żadnego ale! – Spojrzała na niego surowym wzrokiem. – Zajmiemy się tym. A ty się ucz.

Po obiedzie Staszek poszedł do swojego pokoju. Rozpakował plecak. Położył się na łóżku z podręcznikiem do meteorologii, ale za nic nie mógł się skupić. Wciąż się zastanawiał, dlaczego nie ma jego metryki urodzenia.

\*

Drzwi otworzyły się i do pokoju weszła Maria. Stała na środku ze skrzyżowanymi na piersiach rękami. Jedną nogę wysunęła do przodu, stukając rytmicznie w podłogę. Na jej twarzy malował się kpiący uśmiech. Wpatrywała się w Staszka, nic nie mówiąc.

– Czego chcesz, gówniario?! – warknął do niej, udając, że czyta.

– Znajda – parsknęła z drwiną. – Znajda – powtórzyła powoli, wychylając się do przodu.

Staszek odłożył książkę. Uniósł się na łokciach i patrzył na siostrę. Nie wiedział, o czym mówi, ale miał ochotę jej przywalić. Zawsze go denerwowała. Była zupełnie inna. Po prostu głupia. Uczyła się słabo, wszystkie przedmioty sprawiały jej trudność, a jedyne, o czym myślała, to ładne ciuchy. Godzinami przesiadywała w łazience, czesała się i stroiła. Ostatnio znalazła nowe zainteresowanie. Nie skończyła jeszcze dwunastu lat, a już prowadziła się z chłopakami, i to najczęściej starszymi od niej o dwa–trzy lata. Parę razy widział ją, jak obściskiwala się ze szczylami z ostatnich klas.

– Mam prośbę – powiedział łagodnie. – Zamknij drzwi.

Przestała tupać. Cmoknęła i podeszła do drzwi. Pchnęła je lekko, jakby od niechcienia, a potem wysunęła rękę i nacisnęła klamkę.

– Nie zrozumiałaś. – Staszek pokiwał głową. – Chodziło mi o to, abyś zamknęła je z drugiej strony. – Zrobiła zaskoczoną minę. Domyślił się, że dopiero teraz nie rozumie, co miał na myśli, i z uśmiechem dodał: – Sprawdź, gówniario, czy cię nie ma w swoim pokoju.

Usta Marii wykrzywiły się w złości.

– Znajda! – syknęła, oddychając ciężko. – Rozmawiają po niemiecku. Jak zawsze. Ale udało mi się podsłuchać parę zdań po polsku. Matka mówiła coś o adopcji. Wiesz, była wojna. Pewnie cię znaleźli i przygarnęli.

Staszek wolno wstał. Sięgnął do klamki. Maria odruchowo skuliła się, myśląc, że jej przyłoży. Zresztą nieraz już tak robił. On jednak otworzył drzwi i delikatnie wypchnął ją na zewnątrz. Dopiero gdy znalazła się po drugiej stronie, wymierzył jej solidnego kopniaka w zadek. Uderzenie było tak mocne, że poleciała do przodu i tylko cudem udało jej się złapać poręcz i nie spaść ze schodów.

– Auuuu! – zawyła z bólu i utykając, puściła się w dół po schodach. – On mnie kopnął! – wrzeszczała, zbiegając na dół.

Słyszał, jak wbiega do pokoju matki i wykrzykuje, że Staszek znowu ją uderzył. Na schodach rozległy się kroki. Stał, czekając w progu swojego pokoju. Matka weszła na piętro i zatrzymała się na wprost niego. Była przynajmniej o głowę niższa.

– Staszek! – krzyknęła bardzo zdenerwowana.

– Powiedziała do mnie znajda – odrzekł bardzo spokojnie. – Że podsłuchiwała waszą rozmowę i że jestem adoptowany.

Matka wciągnęła powietrze i odwróciła się na pięcie. Akurat w chwili, gdy tuż za nią znalazła się Maria. Wciąż trzymała się za tyłek i teatralnie zawodziła z bólu.

– Marsz do siebie! – wrzasnęła matka, wskazując ręką drzwi jej pokoju. – I masz tydzień zakazu wychodzenia z domu.

– Ale to on mnie uderzył. – Maria natychmiast przestała płakać. – To on...

– Jeszcze słowo i nie wyjdiesz przez miesiąc. Albo do Bożego Narodzenia – dodała po zastanowieniu.

Dziewczyna cofnęła się o krok. Przetarła rękawem twarz. Patrzyła z wściekłością na matkę. W końcu odwróciła się i weszła do swojego pokoju. Uderzenie drzwi było tak silne, że zadrżały ściany.

Matka podniosła wzrok ku górze. Wściekłość wykrzywiła jej twarz. Podeszła do pokoju Marii i otworzyła drzwi. Staszek słyszał, jak mówi zdecydowanym tonem jedno słowo: „miesiąc”. Potem zamknęła drzwi i wróciła do niego.

– Jest kłopot. Nie mamy twojej metryki. Kościół się spalił i nie ma dokumentów. Musimy znaleźć jakieś rozwiązanie. Ale jednego jestem pewna. Jesteś naszym synem. Wiem, kogo urodziłam i kiedy. A jak masz wątpliwości, to zapytaj dziadków. A teraz chodź na dół.

Zeszli do jej pokoju. Ojciec siedział w fotelu z papierosem w ręku. Zgromiła go wzrokiem. Nigdy nie akceptowała palenia w domu. Zgasił papierosa. Wyjęła z kieszeni fartucha kluczyk i otworzyła szklane drzwiczki starej, ponemieckiej biblioteki. Wyjęła z niej tekturowe pudełko. Staszek nie wiedział, co w nim jest. Był zaskoczony, bo nigdy nie pozwalała im grzebać w starych zdjęciach. I nigdy nie widział, aby sama do nich zaglądała.

Otworzyła pokrywkę i wyjęła plik fotografii. Odszukała właściwą i podała synowi.

Była o wiele młodsza. Miała kręcone blond włosy wystające spod czarnego beretu. Stała w staromodnym czarnym płaszczu obok śmiesznego niskiego wózka na dużych kołach. Na nogach miała filcowe getry. Wokół leżał śnieg.

– Bielsko-Biała. A właściwie Biała Krakowska. To pierwsza zima, zaraz jak się urodziłeś.

Staszek wpatrywał się w fotografię z uwagą. Podała mu kolejną, na której obok tego samego wózka stał ojciec w eleganckim płaszczu z futrzanym kołnierzem i kapeluszu. Trzecie zdjęcie zrobiono u fotografa. Jakaś kobieta trzymała na rękach dziecko w białym, koronkowym beciku. Za nią stała matka, ojciec i jakiś mężczyzna. Wszyscy w odświętnych ubraniach.

– To twoi rodzice chrzestni. Nie żyją – uprzedziła pytanie, widząc, że otwiera usta. – Zginęli jeszcze w czasie wojny.

– Kim byli?

To ją zaskoczyło. Nie spodziewała się, że zapyta o chrzestnych.

– Dobrymi ludźmi – zająknęła się. – Patriotami.

Staszek wiedział, że nie należy zadawać więcej pytań. Opadł na stojący obok fotel, trzymając w ręku fotografie. Wcale go nie uspokoiły. Skąd mógł wiedzieć, że to on jest na zdjęciach. Wszystkie dzieci wyglądają podobnie. A może było inaczej. On był tym dzieckiem, a ludzie ze zdjęcia jego prawdziwymi rodzicami. To matka i ojciec mogli być wtedy chrzestnymi. Przygarnęli go po śmierci biologicznych rodziców. Zaopiekowali się, tak jak nakazywała tradycja. Chrzestni mają zastąpić rodziców w razie ich śmierci. I zastąpili. Dlatego nie było metryki? Mogli ją zniszczyć, aby to ukryć. Był tylko jeden sposób, żeby się tego dowiedzieć.

Uśmiechnął się, oddając matce zdjęcia. Nachyliła się i ucałowała go w głowę, a potem pogłaskała. Ojciec pokiwał głową i mrugnął okiem, tak jakby chciał powiedzieć: wszystko w porządku.

Staszek wrócił do swojego pokoju. Czytał jeszcze trochę i przeglądał zeszyty. Po siódmej matka kolejny raz zadzwoniła dzwonkiem. Tym razem na kolację. Maria była obrażona i nie chciała zejść, więc matka poszła po nią. Gdy zjawily się w stołowym, siostra miała jeszcze bardziej nadąsaną minę i czerwone, spuchnięte oczy. Podczas kolacji nie odezwała się ani razu. A potem zniknęła w swoim pokoju.

\*

Następnego dnia Staszek prędko zjadł śniadanie i wybiegł z domu. Pogoda była dobra i miał nadzieję, że miło spędzi dzień na lotnisku Aeroklubu Jeleniogórskiego. Od kilku miesięcy chodził na kurs szybowcowy. Na razie były to tylko zajęcia teoretyczne, ale miał nadzieję, że na wiosnę odbędzie swój pierwszy lot. Na razie pomagał we wszystkim, w czym się dało. Przepychał szybowce z hangaru na startowisko. Nosił



spadochrony i sprzęt. Garnął się, aby pokazać zaangażowanie. Taka postawa była dobrze widziana i czasem dzięki temu można się było załapać na lot samolotem holującym szybowce.

Wielozadaniowy Jak-12 miał trzy miejsca dla pasażerów. Startował kilkanaście razy w ciągu dnia i czasem w nagrodę instruktor wyznaczał, kogo ma zabrać na pokład. Tego dnia kilku kolegów, którzy wcześniej zapisali się na kurs, miało zaliczać już skoki. Staszek im zazdrościł. Bał się, ale chciał poczuć ten dreszcz emocji, gdy stanie na progu samolotu i skoczy w otchłań. Na razie uczył się składać spadochron pod okiem instruktora.

Na lotnisko dotarł o dziewiątej. Koledzy już byli. Czekali w grupie na decyzję kierownika lotów. Dał im znak i rzucili się do hangaru wykołować szybowce. Już samo dotyknięcie skrzydeł było nie lada przeżyciem.

Wypchnęli szybowiec na start i odeszli na bok. Jak-12 stał już gotowy. Ten samolot był w aeroklubie od niedawna. Zastąpił starego dwupłatowca Po-2, nazywanego kukuruźnikiem. To była dobra maszyna, ale za słaba na warunki panujące w Kotlinie Jeleniogórskiej. Bywało, że nie dawała rady pokonać wiatru. Gdy prędkość maszyny i wiatru była taka sama, patrząc z dołu, widziało się wiszący w miejscu samolot. Wciąż leciał, stojąc w miejscu. To dlatego udało się wywalczyć dwa Jaki-12, które przekazano z wojska. Te maszyny sprawdzały się doskonale. Holowały szybowce, a nawet wyrzucały skoczków. Zaledwie trzech, ale i to było dużo, bo stary polikarpow zabierał tylko jednego.

Pilot sprawdził jeszcze raz coś w silniku Jaka i podszedł do tyłu maszyny. To on i pilot szybowca odpowiadali za przygotowanie holu.

Kilka minut później silnik zagrał. Wszedł na obroty i samolot powoli ruszył z miejsca. Gdy hol się naprężył i szybowiec drgnął, pilot ostro dodał gazu i po chwili wystartował.

Trzy godziny upłynęły na kolejnych startach i lądowaniach. Koło południa, gdy wiatr ustał zupełnie, instruktor zdecydował, że kilku kursantów wykona obowiązkowe skoki. Pierwsza dwójka, bo trzecie miejsce zajął instruktor, zapakowała się do samolotu. Maszyna przekołowała kawałek, rozpędziła się i oderwała od ziemi.

– Masz cykora? – zapytał Staszek kolegę z klasy, który miał skakać następny.

– Jasne, że mam – odpowiedział Waldek, nie odrywając oczu od wznoszącego się coraz wyżej samolotu.

Przez kilka minut patrzyli na maszynę zataczającą kolejne kręgi nad lotniskiem, by wzbić się na wysokość zrzutu. W końcu Staszek dostrzegł dwie odrywające się czarne kropki.

– Skoczyli – powiedział podnieconym głosem.

– Otworzyły się. – Waldek sapnął pod nosem, wciąż robiąc dłonią daszek nad oczami.

Teraz wpatrywali się w dwie czasy dużych, okrągłych wojskowych spadochronów. Nie dało się nimi sterować, dlatego skakano nad lotniskiem. I to tylko wtedy, gdy nie było wiatru, bo ten mógł znieść skoczka w stronę miasta. Tym bardziej, że uczniowie z kursu szybowcowego byli niedoświadczeni. Musieli oddać po dwa skoki, tak by w razie awarii szybowca wiedzieli, z czym muszą się zmierzyć.

– Ląduje. – Staszek wskazał na samolot, który zrobił duży krąg, by w bezpiecznej odległości od skoczków zejść niżej.

Zanim się zniżył, obaj spadochroniarze byli już na ziemi. Wylądowali na obrzeżu lotniska, mieli spory kawałek do hangaru. Samolot gładko usiadł na trawie i podkołował do miejsca, gdzie mieli rozłożony sprzęt.

Staszek patrzył, jak Waldek i jeszcze jeden chłopak sprawdzają sobie nawzajem spadochrony i pakują się do maszyny, która czekała, nie wyłączając silnika. Motor zawył i Jak, podskakując na kępach trawy, przekołował na środek

płyty. Nie zatrzymując się, obrócił w stronę miasta i nabrał rozpędu. Koła oderwały się od ziemi i samolot zaczął się wzbijać w górę, ponownie zataczając kręgi. Wejście na odpowiednią wysokość zajęło mu parę minut. I Staszek nowu dostrzegł dwa czarne punkty.

Wciąż osłaniał oczy przed słońcem. Jeden ze spadochronów otworzył się, formując sporą, dobrze widoczną kulę. Za drugim skoczkiem ciągnęła się jakaś wstęga.

– Kurwa! Zapasowy, chłopaku! – krzyknął jeden z mechaników, podrywając się z ławki.

Staszek wciąż patrzył w górę. I wtedy zrozumiał, że coś stało się ze spadochronem. Czasza nie napełniła się powietrzem. Wiedział, że tak może się stać. Że czasem wystarczy drobny błąd przy składaniu, by podczas skoku poplątały się linki. Ale był jeszcze spadochron zapasowy. Mniejszy.

– Zapasowy! – krzyczał wciąż mechanik, choć i tak skoczek nie mógł go usłyszeć.

Teraz już wszyscy zerwali się na równe nogi i patrzyli na sylwetkę, która z ogromną prędkością leci w stronę ziemi. Sekundy mijały, a zapasowy spadochron wciąż się nie otwierał.

Uderzenie było głucho i tak silne, że Staszek poczuł lekki wstrząs pod stopami. Dostrzegł tylko tuman kurzu, który wzbił się w miejscu, gdzie spadł skoczek. Wszyscy biegli w tamtą stronę. A on nie mógł oderwać stóp od ziemi. Nogi zastygły, jakby ktoś je przyspawał do podłoża. Stał i patrzył.

– Tylko nie Waldek – powiedział cicho.

\*

Staszek wszedł do domu tylnymi drzwiami. Spojrzał na schody prowadzące do piwnicy. Światło nie było włączone, co znaczyło, że ojciec jest na górze. Gdy tylko sprowadzili się do Jeleniej Góry, w największym pomieszczeniu piwnicy urządził warsztat.

Był ślusarzem mechanikiem. Potrafił naprawić zamek w drzwiach, skonstruować kosiarkę do trawy. Znał się na kowalstwie i potrafił spawać. Wszystkie prace w domu wykonywał sam. Marzył o samochodzie, ale to nie było proste. Opowiadał Staszкови, że przed wojną miał stary motocykl, w którym wiecznie grzebał. Teraz musiał zadowolić się rowerem.

Ojciec lubił przesiadywać w warsztacie. Tylko tam mógł się czuć swobodnie i do woli palić papierosy. A i butelkę wódki zawsze trzymał gdzieś pomiędzy gratami. Matka nie znosiła dymu i wiecznie zrzedziła, widząc go z papierosem. Zresztą nie była łatwą kobietą. To ona była głową rodziny. Decydowała praktycznie o wszystkim, co się w niej działo. Trzymała też rodzinny budżet, wydzielając pieniądze na każdy wydatek. Nigdy od razu nie podejmowała decyzji dotyczących pieniędzy. Nie była skąpa, raczej oszczędna. Wciąż powtarzał jedno niemieckie słowo – *sparen*. Nawet Staszek wiedział, że to oznacza oszczędzać. Słyszał je za każdym razem, gdy przychodził prosić o pieniądze na jakieś swoje sprawy. Matka marudziła, ale dawała, choć wiedział, że najpierw musi dokładnie powiedzieć, po co i dlaczego chce je wydać. Dawała mu też pieniądze na drobne wydatki. Jednak sprawdzała, czy udało mu się z nich coś zaoszczędzić.

Staszek minął zejście do piwnicy i wspiął się po trzech schodkach prowadzących do drzwi na korytarz. Ledwie miał siłę nacisnąć klamkę. Przeształ próg i usłyszał rozmowę w pokoju matki. Ojciec tylko przytakiwał. Tłumaczyła mu, co muszą załatwić, by zdobyć metrykę urodzenia.

– Sto dolarów?

– Dużo, ale sprawa jest poważna – mówiła spokojnie matka.

Staszek aż wstrzymał oddech. Sto dolarów to niewyobrażalny majątek. A do tego posiadanie waluty było nielegalne. Można za to dostać wyrok. Teraz już był pewny, że rodzice nie mówią

prawdy. Nie wiedział tylko, z kim ojciec ma rozmawiać i kto może wystawić metrykę. Dosłyszał jeszcze słowo ksiądz i domyślił się, że pewnie chce jechać do Wąsosza, tam gdzie mieszkali po wojnie. Wiedział, że u tamtego księdza wszystko da się załatwić.

Chrząknął i zamknął drzwi wejściowe, tak aby usłyszeli, że wchodzi. Matka natychmiast zamilkła.

– Staszek, to ty? – odezwał się ojciec.

– Tak, ojciec, to ja – odpowiedział i nacisnął klamkę drzwi do pokoju.

Siedzieli oboje na fotelach przy niskim stoliku. Na wierzchu nic nie leżało. Ojciec widocznie musiał już schować kopertę z pieniędzmi. Matka się uśmiechnęła.

– Siadaj, Stasiu, zrobię ci coś do jedzenia. Masz jeszcze chwilę. A wałówkę na ten tydzień już uszykowałam. – Wstała z fotela, aby pójść do kuchni. – Stało się coś? – zapytała, widząc jego niewyraźną minę.

Kiwnął głową.

– Gadaj, chłopaku! – Ojciec przechylił się do przodu.

– Kolega – powiedział i wstrzymał oddech. – Spadochron się nie otworzył.

– Jezus Maria! – Matka podniosła rękę do ust. – Co z nim?

– A co ma być? – Ojciec wzruszył ramionami.

– Mokra plama. – Staszek z rezygnacją opadł na fotel.

– Stasiu, musimy porozmawiać o tym lataniu... – nie dokończyła, bo syn jej przerwał.

– Waldek był z mojej klasy. Wczoraj razem byliśmy w sprawie dowodu. – Spojrzał na matkę. – Ja już nie będę latał.

\*

Staszek zabrał się do pakowania plecaka. Włożył do niego książki i ubrania na najbliższy tydzień. Matka naszykowała mu

słoik smalcu, kilka konserw rybnych, dwie tuszonki, pęto kiełbasy i pół bochenka chleba. Była też paczka kawy zbożowej. Zawsze zabierał do internatu dodatkową wałówkę. Stołówkowe jedzenie nigdy mu nie wystarczało. Zresztą nie tylko jemu. Każdy przywoził jedzenie. Słoninę, jajka, kiełbasę. Co kto mógł. Ale Staszek miał zawsze najlepsze zaopatrzenie. Matka kupowała towar prosto z magazynu, zanim jeszcze został rozdysponowany na sklepy. To dawało ogromne możliwości.

Plecak był już gotowy. Staszek zważył go w wyciągniętej ręce, a potem odciągnął klapę i wypakował książki. Wsunął je pod łóżko i popchnął głębiej, aby nie były widoczne. Wysupłał z kieszeni pieniądze i przeliczył. Ledwie kilkanaście złotych. Sięgnął po stojącą na półce książkę i zza okładki wyjął rozprostowany banknot. „Góral” to była spora sumka, jedna trzecia przeciętnych zarobków. Długo ją odkładał. Za taką forszę zwykła rodzina mogła przeżyć tydzień. A jak oszczędzali, to i dwa.

Portfel z pięćsetką włożył do kieszeni. Zarzucił plecak na ramię i zbiegł na dół. Matka akurat wyszła z kuchni. Za każdym razem, gdy jechał do szkoły, żegnała go tak, jakby miał spędzić rok za granicą. Objęła go i ucałowała.

– Mamo – powiedział nieśmiało.

Doskonale znała ten głos. Wiedziała, o co mu chodzi. Była na to przygotowana.

– No masz. – Wcisnęła mu w dłoń przygotowaną wcześniej dwudziestkę. – Tylko nie wydaj wszystkiego, oszczędzaj.

– Dziękuję. – Uśmiechnął się i czym prędzej schował banknot do kieszeni.

– Jedź i o nic się nie martw. Wszystko będzie dobrze.

Wyszedł przed dom. Ojciec zawsze odprowadzał go do furtki. Gdy byli już przy płocie, poczuł, jak przytrzymuje go swoją mocną, ciężką ręką. Wyczuł, że ma w dłoni jakiś papierek. Ojciec mrugnął porozumiewawczo.

– Tylko piwa za dużo nie pij – powiedział, udając surowy ton. Staszek kątem oka dostrzegł, że to kolejna dwudziestka.

Przyda się – pomyślał i podał ojcu rękę. Ich pożegnania były męskie, surowe. Bez czułości.

Kiwnął głową i wyszedł na wąską, gruntową drogę. Pomachał jeszcze stojącej w oknie matce i spojrzał w górę. Maria stała za firanką okna swojego pokoju. Nawet z tej odległości dostrzegł jej wykrzywioną twarz. Do niej też pomachał. Natychmiast się cofnęła. Poczł satysfakcję, że udało mu się sprawić jej kolejną przykrość. Udawany gest pozdrowienia po tym, jak z jego powodu dostała miesiąc szlabanu, był czymś, co musiało mocno zabołec.

Ruszył szybkim krokiem w dół ulicy. Minął plac przy skrzyżowaniu i szedł ulicą Morcinka. Na starym poniemieckim cmentarzu bawiły się dzieci. Porozbijane nagrobki i splądrowane grobowce stanowiły doskonałą scenografię do prowadzenia wojen. Nikt nie zwracał uwagi na smarkaczy rzucających się czaszkami i pojedynkujących ludzkimi piszczelami.

Przy Małej Poczcie Staszek zatrzymał się na chwilę. Widział tramwaj nadjeżdżający od strony miasta. Za szybą miał tabliczkę „Sobieszów”. Jednak nie przeszedł na przystanek po drugiej stronie ulicy. Stał przy szybie apteki, paląc papierosa. Kilka minut później od strony Cieplic nadjechał tramwaj z tabliczką „Dworzec Główny”. Patrzył, jak tramwaj zwalnia ze zgrzytem hamulców i się zatrzymuje. Wtedy rzucił niedopałek i wsiadł do pierwszego wagonu. Podał konduktorowi złotówkę, kartonik biletu schował do kieszeni. Przeszedł na tylny pomost. Tramwaj z hałasem przetoczył się w kierunku centrum miasta. Przy pomniku Żołnierza Radzieckiego skręcił w 15 Grudnia, a potem, wciąż zgrzytając kołami na nierównym torowisku, wjechał w 1 Maja. Minął hotel Europa, dom towarowy i nowo budowany dom kultury. Dzwoniąc na przechodniów,

przedzierał się wolno wzdłuż ulicy, aż wreszcie wjechał na plac przed dworcem kolejowym.

Staszek spojrzał w stronę wzgórza, na którym stał dom jego dziadków. Zajmowali parter pięknej poniemieckiej willi. Nie miał jednak czasu na odwiedzinę. Wszedł do hali dworcowej i zaczął czytać tablicę z rozkładem jazdy. Najbliższy pociąg do Wrocławia odchodził za godzinę. Miał sporo czasu. Spokojnie kupił bilet i postanowił poczekać w dworcowym barze. Z kuflem w dłoni wyszukał wolne miejsce przy jednym z wysokich stołów, przy których nie było stołków. Konsumpcja odbywała się na stojąco. Położył plecak na podłodze i pociągnął solidny łyk. Piwo było zimne i gorzkie, ale wyczuł, że zostało rozwodnione. W barze dworcowym można się było tego spodziewać. Mimo to wypił i wziął jeszcze jeden kufel. Żałował, że po drodze nie wstąpił do sklepu. Miał przed sobą długą drogę i z pewnością butelka lub dwie bardzo by się przydały. Miał jednak nadzieję, że w kiosku na peronie wrocławskiego dworca uda mu się kupić świeżego piasta.

Droga do Wrocławia zajęła niemal cztery godziny. Pociąg wolno toczył się przez Kowary, potem pokonał tunel kolejowy i dalej jechał w stronę Kamiennej Góry, Wałbrzycha i Świdnicy. Było po dziesiątej wieczorem, gdy Staszek wszedł do głównego holu wrocławskiego dworca. Z rozkładu nie mógł nic wyczytać, więc odstał kilka minut w kolejce do informacji. Musiał jechać do Katowic, a potem przesiąść się w pociąg do Bielska-Białej. Wyglądało na to, że jeśli nie będzie opóźnień i uda mu się złapać dobre połączenie, na miejsce dotrze około dziewiątej. Nie zmartwił się tym. I tak się nie spodziewał, że w kancelarii parafialnej rano coś załatwi.

Zgodnie z przewidywaniem zdobył kilka butelek świeżego wrocławskiego piwa. Jedno wypił w dworcowym barze, a potem posilił się kawałkiem kielbasy i chlebem, który dała mu matka. Zastanawiał się, co by powiedziała, wiedząc, że zamiast



do szkoły postanowił wybrać się po swoją metrykę. Wiedział, że kościół spłonął, ale czuł, że może jednak uda mu się czegoś dowiedzieć. Zanotował też adres ciotki Blamowskiej. Była żoną brata babci Kneblowskiej. Wciąż mieszkała w Bielsku, a właściwie w dawnej Białej Krakowskiej. Jeszcze gdy był dzieckiem, w czasie wakacji często odwiedzali dalekich krewnych. Matka coś załatwiała przy okazji tych wyjazdów. Czasem znikwała na dzień czy dwa, a on zostawał. Pytał, dokąd pojechała, ale nigdy nie chciała powiedzieć. Była w tym jakaś tajemnica. Gdy poszedł do szkoły ponadpodstawowej, przestali jeździć do Bielska. Matka czasem pisała do ciotki, ale dziadkowie Kneblowscy zupełnie zerwali kontakty. Domyślał się, że chodziło o sprawy spadkowe po śmierci wujka, Alfreda Blamowskiego. Sprawa skończyła się w sądzie i kontakty z daleką krewną ustały całkowicie. Staszek miał jednak nadzieję, że ciotka coś musi wiedzieć o rodzinnych tajemnicach. A skoro jest skonfliktowana z matką, to tym bardziej zdradzi mu, czy został adoptowany.

\*

Była punktualnie dziewięta, gdy Staszek wysiadł z pociągu na stacji Bielsko. Chciało mu się spać i bolały go wszystkie gnaty. W pociągu do Katowic panował duży tłok i sporą część drogi spędził na stojąco. W tym do Bielska nie było lepiej. Teraz jednak nie myślał o zmęczeniu. Zaczepił jakąś kobietę handlującą przed dworcem jajkami. Tak jak przypuszczał, znała wszystkie kościoły w okolicy. W Białej był tylko jeden, Opatrzności Bożej. Handlarka twierdziła jednak, że nie został zbombardowany w czasie wojny. Co więcej, żadna z miejscowych świątyń nie ucierpiała. I nie było bombardowania. Coś się nie zgadzało.

Z dworca do Białej było niedaleko. Wystarczyło przejść przez most na rzece Białej i kawałek podejść. Staszek postanowił iść piechotą, zresztą i tak nie wiedział, czym mógłby jechać. Pół godziny później stał przed okazałym budynkiem o dwóch wieżach. Faktycznie nic nie wskazywało na to, aby kościół został zniszczony w czasie wojny. Drzwi były zamknięte, ale odnalazł kancelarię parafialną. Zastukał i czekał chwilę, zanim zza drzwi dobiegły odgłosy kroków na schodach.

Drzwi uchyliły się i stanął w nich niewysoki ksiądz w średnim wieku. Miał na sobie wytartą sutannę, która nie do końca była już czarna.

– Niech będzie pochwalony. – Staszek skinął głową i zdjął czapkę.

– Na wieki wieków amen – odpowiedział ksiądz.

– Ja do kancelarii parafialnej.

– Dzisiaj nieczynna, proszę przyjść jutro.

– Ale, proszę księdza, przyjechałem z daleka. Z Jeleniej Góry. Bardzo mi zależy.

Ksiądz spojrzał badawczo, przechylając głowę tak, aby lepiej widzieć nad szklami okularów. Prawdopodobnie służyły tylko do czytania. Przyjrzał się Staszekowi, zwrócił uwagę na plecak i widocznie uznał, że bagaż potwierdza daleką drogę.

– No dobrze, proszę wejść. – Westchnął i otworzył szerzej drzwi, wpuszczając chłopaka do środka. – O co chodzi? – zapytał, przechodząc w głąb korytarza.

– O metrykę. Byłem ochrzczony w tym kościele i nie mam metryki, a w prezydium mówią, że bez tego nie wydadzą mi dowodu osobistego.

Ksiądz wyjął z kieszeni pęk kluczy, włożył jeden do zamka i przekręcił. Weszli do niewielkiego pokoiku. Na środku znajdowało się biurko, na którym centralnie ustawiono krucyfiks. Z boku stała szafa z żaluzją i mały stolik.

– Siadaj, chłopcze. – Wskazał krzesło stojące przed biurkiem, a sam podniósł roletkę. – Rocznik wojenny, jak przypuszczam. – Zmierzył Staszka wzrokiem, schylając głowę, aby ponownie spojrzeć nad okularami. – Potrzebuję datę urodzenia.

– Urodziłem się dwudziestego czwartego października czterdziestego trzeciego roku w Białej Krakowskiej.

– To już coś – mruknął ksiądz z zadowoleniem.

Wyjął z szafy starą księgę i usiadł przy biurku. Zaczął przewracać karty. Rubryki wypełniono ozdobnym, lecz trudnym do odczytania pismem. Ksiądz przesuwiał palcem wzdłuż kolumn z datami, aż wreszcie zatrzymał się na wskazanej dacie.

– Zostałeś ochrzczony piętnastego listopada czterdziestego trzeciego. Tak, wszystko się zgadza. Stanislaus, syn Eduarda Lubuscha i Hildegardy z domu Kneblowski. Oboje narodowości niemieckiej. Ślub zawarty jedenastego lutego czterdziestego trzeciego roku. Wygląda na to, że wszystko jest w porządku. – Podniósł głowę znad księgi i spojrzał na Staszka. – Co się stało? Dobrze się czujesz?

Staszekowi kołatało serce. Chciał coś odpowiedzieć, ale gardło miał ściśnięte i nie mógł wykrztusić ani słowa. Ksiądz sięgnął po stojącą z boku karafkę z wodą i nalał do szklanki z grubego szkła. Z takich musztardówek zazwyczaj pijano wódkę.

– Napij się! – Podał mu szklankę.

Staszek wypił łyk wody. Poczuł, że ucisk w gardle zelżał. Ksiądz wpatrywał się w niego uważnie.

– Nazywam się Stanisław Żołnierowicz. Na drugie mam Edward. Mój ojciec to Bronisław Żołnierowicz. A matka ma na imię Teresa. Z domu Kneblowska.

Ksiądz odchylił się na krześle i wciągnął powietrze. Sięgnął po drugą szklankę i nalał wody. Napił się i jeszcze raz spojrzał na księgę. Wolno sprawdził dane wszystkich dzieci

zarejestrowanych na miesiąc przed i miesiąc po wskazanej dacie.

– Wygląda na to, że tego dnia urodziło się tylko jedno dziecko. Jest nawet nazwisko akuszerki. O! To ciekawe, też nazywała się Lubusch. Poród przyjęto w domu, Hermann Göring Strasse numer dwanaście. To dzisiejsza ulica Feliksa Dzierżyńskiego.

– Zaraz! – Staszek sięgnął do kieszeni i wyjął małą karteczkę. – Pod tym adresem mieszka moja ciotka. Znaczy daleka ciotka, żona brata mojej babci. Franciszka Blamowska.

– To już coś. – Ksiądz poskrobał się w głowę. – Znam Blamowską, dobra parafianka, zawsze jest na mszy. Kilka lat temu zmarł jej mąż Alfred. Chowałem go. Trzeba z nią porozmawiać. Zaraz. – Spojrzał z zaciekawieniem na Staszka. – A twoi rodzice? Żyją?

– Tak.

– W takim razie dlaczego... – urwał w pół zdania. – Porozmawiaj z rodzicami. Ja tu nic nie pomogę. Metrykę mogę wystawić na Stanisława Lubuscha. – Rozłożył bezradnie ręce. – Gdyby przyszła kontrola i się okazało, że wpisałem inne dane... Wolę nie myśleć. – Pokiwał głową.

Staszek wstał i podszedł do drzwi.

– Dziękuję księdzu.

– Nie ma za co dziękować, trzeba szczerze porozmawiać z rodzicami. Z Bogiem, chłopcze. Będę się za was modlił.

Staszek wyszedł na ulicę. Słońce świeciło mocno. Zmrużył oczy. Stał tak przez długą chwilę. W końcu ruszył przed siebie, nie zastanawiając się, dokąd idzie. Otrzeźwiał dopiero wtedy, gdy znalazł się na moście na rzece Białej. Pierwszą napotkaną osobę zapytał o ulicę Dzierżyńskiego. Była ledwie sto metrów dalej. Bez trudu odnalazł dom z numerem dwunastym. Pamiętał, że ciotka mieszkała na pierwszym piętrze. W korytarzu czuć było wilgoć. Wszedł po schodach i zapukał do drzwi. Wewnątrz słychać było grające radio.

– A pan do kogo? – zapytała tęga kobieta, która otworzyła drzwi.

– Ciocia mnie nie poznaje? – odpowiedział z zakłopotaniem. – To ja, Staszek Żołnierowicz.

– Staszek! Chłop z ciebie, w życiu bym cię nie poznała. Wchodź. – Przyciągnęła go do siebie i objęła. – A gdzie mama? Sam jesteś?

– Sam.

– A co to? Wycieczka szkolna czy co? Bo tak sobie do Bielska chyba nie przyjechałeś? – Idąc przez przedpokój, zadawała pytania jedno po drugim, nie dając mu odpowiedzieć. – Chodź do kuchni. Pewnie głodny jesteś, zaraz ci coś zrobię. – Chwyciła duży czajnik i przesunęła na środek metalowej płyty kuchennego pieca. – Siadaj!

Staszek usiadł posłusznie i patrzył, jak zaczyna kroić chleb. Wciąż pytała, co u ojca, jak matka i jak dziadkowie się trzymają. Pytała, a on milczał.

– Stasiu. Co ty tak nic nie mówisz? – zaniepokoiła się w końcu jego milczeniem.

– A bo ja – powiedział niepewnie – u księdza byłem.

– U księdza? – zdziwiła się. – U jakiego księdza?

– W sprawie metryki. Dowód chciałem wyrobić i w prezydium nie ma mojej metryki.

Ciotka usiadła na zydlu i wpatrywała się w niego, lekko rozchylając usta. Czekwała, aż powie coś jeszcze, ale Staszek milczał, więc w końcu sama zapytała:

– I co?

Teraz w jej pogodnych dotąd oczach dostrzegł przerażenie. Na twarzy pojawiły się zmarszczki. Palce zacisnęła na brzegu kolorowego fartucha. Zgarbiła się i jakby skurczyła w sobie. Miała w końcu swoje lata. Staszek nie wiedział dokładnie ile, ale na oko musiała dobiegać już siedemdziesiątki.

– W księgach jest Stanisław Lubusch – powiedział powoli, wciąż uważnie patrząc jej w oczy. Otworzyła usta jeszcze szerzej, ale nie odpowiedziała. – Syn Eduarda Lubuscha i Hildegardy Kneblowskiej. Moja matka ma na drugie Hildegarda. Tak jak jej siostra, która jest zakonnicą. Ale kim jest mój ojciec? Kim ja jestem? Dlaczego rodzice powiedzieli, że kościół zbombardowano? O co w tym chodzi? – Teraz on zaczął zadawać pytania, jedno pytanie po drugim.

Kobieta siedziała przez chwilę, zastanawiając się, co odpowiedzieć. Wreszcie wydusiła z siebie pierwsze słowo:

– Staszek – powiedziała powoli. – Zostaw to. Lepiej to zostaw. Tak będzie lepiej dla wszystkich.

– Lepiej dla kogo?! – Zerwał się z krzesła. – Kim był Eduard Lubusch?!

– Jest twoim ojcem – odpowiedziała niemal szeptem.

– Jest?! Gdzie go znajdę?! – Doskoczył do ciotki, ukląkł i chwycił ją za rękę.

Odepchnęła go. Wstała, i nie zwracając na Staszka uwagi zaczęła parzyć herbatę. Postawiła na stole emaliowany kubek i zabrała się ponownie do krojenia chleba. Usiadł. Patrzył, jak szykuje jedzenie, i czekał, aż wreszcie odpowie.

– To twój ojciec – dała wreszcie za wygraną.

– Wiem, że ojciec, ale gdzie go znajdę?

– Pewnie w domu.

– W którym?

– No jak to, w którym? Tam, gdzie mieszkacie. – Podała mu kromkę posmarowaną masłem i kawałek kiełbasy. Widząc, że wciąż nie rozumie, pokiwała głową. – Twój ojciec nazywał się kiedyś Eduard Lubusch. Zostaw to, Staszek, bo napytasz wszystkim biedy. Lepiej tego nie ruszać.

Odłożył chleb i kiełbasę, które wcisnęła mu do rąk.

– Mój ojciec był... jest – poprawił się – Niemcem?

Ciotka usiadła i schowała twarz w dłoniach. Oddychała ciężko. Siwe włosy drżały. Staszek dotknął jej ramienia.

– Ciociu. Ja muszę to wiedzieć – powiedział łagodnie.

Podniosła się. Oczy miała zalęknione. Usta jej drżały.

– Gdyby nie on... – przełknęła ślinę – ...wszystkich nas uratował.

Mówiła długo. Najpierw o Bielsku i Białej Krakowskiej. Po pierwszej wojnie światowej wszystko wyglądało inaczej. Wtedy w mieście dominowali Niemcy. Było też sporo Polaków i trochę Żydów, ledwie garstka, niecałe trzy tysiące. Ale stanowili ważną grupę, bo zajmowali się handlem. Zaopatrywali mieszkańców we wszystko, co było potrzebne. Bielsko nazywano miastem sturkominów. Jeszcze w czasach zaboru austriackiego wybudowano mnóstwo fabryk, które należały do niemieckich przemysłowców. Niemieccy właściciele zatrudniali jako majstrów tylko swoich. Polacy byli głównie robotnikami.

Wszystko zmieniło się po plebiscycie, gdy Bielsko i Biała wbrew przewidywaniom zostały przyłączone do Polski. Wtedy wielu Niemców wyjechało i Polacy stali się najliczniejszą grupą narodową. Ale to niemiecki wciąż był językiem urzędowym, bo większość mieszkańców miasta, w tym Żydzi, nim się posługiwali. Po paru latach wszystko się jakoś poukładało. Ale po wielkim kryzysie, gdy w Niemczech do władzy doszedł Hitler, Niemcy z Bielska zaczęli podnosić głowy. Mnożyły się organizacje, które z czasem stały się przybudówkami partii nazistowskiej. Już wtedy Polacy i Niemcy zaczęli zajadle walczyć ze sobą. Były pobicia, a nawet zamach bombowy, o który oskarżono Polaków. Były też rozruchy na tle wyznaniowym. W tysiąc dziewięćset trzydziestym siódmym roku żydowski restaurator zastrzelił podczas kłótni Polaka. W odwecie polska młodzież przeszła przez miasto, niszcząc wystawy i szyldy żydowskich sklepów. Zdemolowano synagogę

i szkołę, a w żydowskich domach wybijano szyby. Aż nadeszła kolejna wojna.

Żydzi zniknęli. Polacy stracili wszelkie prawa. Część podpisała volkslisty i żyła jak dawniej. Ci, którzy nie chcieli się ugiąć przed najeźdźcami, mieli ciężko. A już szczególnie, gdy mając niemieckie korzenie, woleli być Polakami. Tak jak dziadek Staszka Jan Kneblowski. W czasie pierwszej wojny służył w austriackiej armii. A po odzyskaniu niepodległości wstąpił do polskiego wojska i w czasie wojny polsko-bolszewickiej doszedł do stopnia podporucznika. Wstydził się nazwiska Knobel i szybko zaczął używać polskiego, Kneblowski. Oficjalnie zmienił je w tysiąc dziewięćset dwudziestym siódmym.

Niemcy pamiętali o tym dobrze i zaraz po zajęciu Bielska zwolniono go z pracy w przędzalni wełny. Do połowy tysiąc dziewięćset czterdziestego roku rodzina klepała biedę. Do dnia, gdy Teresa spacerując z psem, spotkała Eduarda. Młody, wysoki, przystojny chłopak widząc ją, zeskoczył z roweru. Zakochał się od pierwszego wejrzenia. Zaczął przychodzić pod jej dom. Czekał, aż ona wyjdzie z psem na spacer. Był miły, ale był Niemcem i nosił mundur Wehrmachtu.

Początkowo Hildegarda nie chciała z nim rozmawiać. Ale był uparty. Przynosił kwiaty, i nie tylko. W czasie wojny były rzeczy ważniejsze od kwiatów, takie jak konserwy mięsne, kielbasa i marmolada z wojskowych przydziałów. W końcu ją złamał. Może dlatego, że pomagał całej rodzinie.

Janowi Kneblowskiemu załatwił pracę księgowego w kaflarni Szota i w zakładzie instalacyjnym Budinera. Przynosił jedzenie z wojskowych magazynów. Wszystkim zrobiło się lżej. Wojna nie była już taka straszna. Aż nagle okazało się, że wszystko niebawem może się skończyć.

Starszy brat Eduarda Kurt zginął na froncie wschodnim, a on lada dzień miał zostać wysłany w to samo miejsce. Uratowała



go matka. Była akuszerką i miała sporo znajomości. Załatwiła mu przeniesienie do kompanii wartowniczej obozu Auschwitz. Mundur Wehrmachtu zmienił na czarny uniform SS z trupią główką na czapce. To miało być bezpieczne miejsce, w którym może spokojnie przeczekać wojnę. I było. Nie tylko dla niego. Zaopatrzenie z kantyny SS wystarczało dla matki i sióstr Eduarda, rodziny Kneblowskich i Blamowskich. Konserwy, mięso, czekolada, kawa i papierosy. Mieli wszystko. Do czasu. Gdy na froncie zaczęło brakować ludzi, do załogi SS przydzielano już tylko weteranów z pierwszej wojny światowej i żołnierzy, którzy nie nadawali się do walki. Takich jak Eduard, sprawnych i silnych, wysyłano na pierwszą linię. W końcu i on miał zostać wysłany pod Stalingrad. Zdezerterował.

\*

Drugi raz tego dnia Staszкови głos uwiązł w gardle. Gdy ciotka skończyła opowiadać, siedział, wpatrując się w nią szeroko otwartymi oczami. Dopiero po chwili zdał sobie sprawę, że ma zaciśnięte pięści. Tak mocno, że paznokcie wbijały mu się w skórę.

– Powiedz, że to nieprawda – wybełkotał błagalnie, z trudem powstrzymując łzy.

Zamiast odpowiedzi dostrzegł tylko przepaszający gest, lekkie kiwnięcie głową. Stara kobieta miała łzy w oczach. Zgarbiła się jeszcze bardziej. W ciągu pół godziny postarzała się o kilka lat. Dla niej to wspomnienie też musiało być ciężarem, do którego niechętnie wracała. Czymś, co wymazała z pamięci, mając nadzieję, że już nigdy nikomu nie będzie musiała tego opowiadać. Teraz pilnie strzeżona rodzinna tajemnica wyszła na jaw, obciążając kolejne pokolenie.

– Nikt z nas nie pomyślał, że któregoś dnia będziesz potrzebował metryki. To była tak odległa perspektywa, że nikt

nie pomyślał – powtórzyła z goryczą w głosie.

Staszek z trudem podniósł się ze stołka i ruszył w kierunku drzwi.

– Dokąd idziesz?

Uniósł tylko rękę, wchodząc już do przedpokoju.

– Staszek! Dokąd idziesz?! – powtórzyła głośniej.

– Muszę to zobaczyć na własne oczy – rzucił, nie odwracając się, i wybiegł z mieszkania.

\*

Skład kilku wagonów do Katowic stał akurat na peronie. Staszek wskoczył do pierwszego i odszukał konduktora. Kupił bilet do najbliższej stacji, gdzie – jak się dowiedział – musiał się przesiąść. O dziwo, znalazł wolne miejsce przy oknie. Pociąg toczył się wolno, stukając kołami. Przez otwarte okno do wnętrza wagonu wpadały drobinki sadzy wyrzucanej z komina lokomotywy. Zapach dymu i spalenizny drażnił oczy.

Podróż na szczęście nie trwała długo. W Czechowicach-Dziedzicach tylko pół godziny czekał na pociąg jadący do Krakowa. Z niepokojem odliczał kolejne stacje: Kaniów, Dankowice, Jawiszowice Jaźnik, Brzeszcze Jawiszowickie, Brzeszcze i wreszcie Oświęcim.

Widok tablicy z nazwą miasta wywołał strach. Nie był pewny, czy jest w stanie zmierzyć się z przeszłością. Wyszedł przed budynek dworca. Nie musiał pytać, w którą stronę ma iść. Drogowskaz stojący po drugiej stronie ulicy wyraźnie wskazywał kierunek. Biało-czarna tablica z napisem „Państwowe Muzeum Oświęcim-Brzezinka” i trzema czerwonymi płomykami.

Dopiero teraz zauważył grupę dziwnie ubranych mężczyzn, którzy mocno gestykułując, rozmawiali w nieznanym języku. Można było odnieść wrażenie, że o coś się spierają. Na głowach

mieli kapelusze z dużymi rondami albo małe, czarne, haftowane czapeczki. Większość nosiła brody i długie, pozakręcane pejsy. Ubrani byli w białe koszule i czarne, długie marynarki, spod których wystawały białe pasy przypominające fartuchy zakończone frędzlami. Szli w stronę, którą wskazywał drogowskaz.

Staszek ruszył za nimi, przyglądając się z ciekawością. Pierwszy raz w życiu widział Żydów. Zawsze wyobrażał sobie, że wyglądają zupełnie inaczej. Gdy mieszkał na wsi, wśród dzieciaków nazwanie kogoś Żydem było najcięższą obelgą. Żyd był brudny, brzydki i pazerny. A do tego mówiono, że Żydzi porywają chrześcijańskie dzieci, aby z ich krwi robić macę na szabas. Nie wiedział, czy to prawda, ale jako dzieciak na wszelki wypadek bał się spotkania z Żydem. Poza tym w kościele wiele razy słyszał, że to Żydzi ukrzyżowali Jezusa. To wszystko wystarczyło, aby nie widząc Żyda na oczy, paść do niego niechęcią i obrzydzeniem. Aż nagle zobaczył tych ludzi. Poza strojem wyglądali zupełnie zwyczajnie. Szli, wciąż rozmawiając i wymachując rękami.

Wejście do muzeum znajdowało się w długim budynku z czerwonej cegły. Staszek kupił bilet i wciąż się zastanawiał, czy ma wejść do środka. Zatrzymał się wreszcie przed bramą. Jej boki stanowiły betonowe słupy, od których odchodziły druty kolczaste przytwierdzone do porcelanowych izolatorów. Domyślił się, że kiedyś w tych drutach musiał płynąć prąd. Tabliczki z trupa główką i napisem *Achtung* ostrzegały przed niebezpieczeństwem.

Przy wejściu stała jakaś grupa szkolna. Uczniowie byli w wieku Staszka, więc niepostrzeżenie przyłączył się do nich. Chudy mężczyzna w lnianej koszuli, zapewne przewodnik, opowiadał o obozie:

– Ciągłe zagrożenie to jedno. Ale brak pożywienia też wpływał na psychikę. Ludzie nie wytrzymywali i szli na druty. –

Mówiąc to, wskazał na ogrodzenie z drutu kolczastego. – Było pod napięciem. Dało się wyczuć, kto pójdzie na druty. Mówiliśmy na takich, że są muzułmanami, to znaczy byli otepiali. Każdy się przed tym bronił jak mógł. I każdy wiedział, skąd to się bierze. Brak witamin i bardzo skąpa dieta powodowały utratę tłuszczu. Potem organizm zaczynał zjadać sam siebie. Najpierw poddawały się jelita. Przewlekła biegunka prowadziła do stanu „muzułmanienia” i śmierci. Albo umarł, albo sam poszedł na druty.

Przewodnik wskazał na napis nad bramą. *Arbeit macht frei*. Wszyscy odwrócili się w tamtą stronę.

– Wiecie, co to znaczy? – zapytał, patrząc na uczniów.

– Praca czyni wolnym – odpowiedziała jakaś dziewczyna z warkoczami.

– Praca nas wyzwoli. – Mężczyzna kiwnął głową. – A skąd pochodzą te słowa?

Tym razem nikt się nie odezwał. Odczekał chwilę, dając jeszcze szansę na odpowiedź, i w końcu zaczął mówić dalej:

– Ze zmienionego przez protestantów cytatu z Ewangelii Świętego Jana. W oryginale nie było słowa praca. Była prawda. Prawda nas wyzwoli. Ale dla narodowych socjalistów to praca była najwyższą wartością. I w takiej formie rozpowszechnili te słowa jeszcze przed wojną, gdy rozpoczęli walkę z bezrobociem. W Auschwitz i kilku innych obozach koncentracyjnych praca miała dawać nadzieję. Wmawiano nam, że przez pracę, ciężką pracę – dodał – można odzyskać wolność. Nie mieliśmy złudzeń. Krążyło takie powiedzenie: *Arbeit macht frei, durch Krematorium Nummer drei*. Co oznaczało, że droga do wolności wiedzie tylko przez komin krematorium nr 3. Do krematorium wejdziemy na koniec. Litery na piasku narysował kapo Kurt Müller, numer obozowy 30. Był Niemcem, kryminalistą, który przyjechał do Auschwitz w pierwszym transporcie. Początkowo był przydzielony do

obozowej ślusarni. Napis wycinał mistrz kowalstwa Jan Liwacz, numer 1009, a spawał Artur Krzetuski, numer obozowy 1003. Do tysiąc dziewięćset czterdziestego pierwszego ślusarnia znajdowała się w prowizorycznym baraku pomiędzy blokami 1 i 2. Później została przeniesiona poza obóz, o tam. – Wskazał ręką za druty, w kierunku ścieżki prowadzącej do bramy. Stały tam pozostałości drewnianych baraków. – Kiedyś to były stajnie. A w obozowych czasach zakład produkcyjny. Pierwsze dwa baraki zajęła farbiarnia, trzeci wytwórnia betonu, czwarty ślusarnia, fabryka drutu i odlewnia. W piątym baraku pracowali elektrycy, blacharze i rusznikarze, a w szóstym umieszczono szklarzy. Obóz miał także własną mleczarnię i rzeźnię, które zaopatrywały załogę obozu, oraz kuchnię obozową dla więźniów. Na rację żywieniową składała się zupa gotowana na kościach, resztkach z rzeźni i wszystkim, co można było wrzucić do gara. Uzupełnienie stanowił chleb, a raczej coś, co miało go przypominać. Często zawierał nawet trociny ze stolarni. Chodźmy dalej.

Przewodnik odwrócił się i ruszył drogą pomiędzy drewnianym barakiem po prawej i murowanym budynkiem po lewej. Młodzież rozglądała się wokół. Staszek poczuł się nieswojo. To miejsce było mroczne nawet teraz, gdy nic mu nie groziło, a na niebie świeciło słońce.

– Ten budynek po lewej to komendantura. A tu po prawej, na podwyższeniu, siedziała orkiestra. Muzycy grali, umilając esesmanom selekcję. Jednak większość transportów nie poddawano selekcji. Prosto z rampy ludzi pędzono na śmierć. Ci, którzy pozostawali w obozie, mieli zginąć w ciągu kilku miesięcy. Tylko nielicznym udało się przetrwać.

Skręcili w prawo i przeszli niewielki kawałek. Przewodnik zatrzymał się i zaczął czekać, aż cała grupa otoczy go kołem.

– To była kuchnia. Te kominy, które widzieliście z drugiej strony, to paleniska. Tu gotowano, o ile można tak to nazwać,

zupę, podstawowe pożywienie więźniów. Przed kuchnią znajdował się plac apelowy. Każdego dnia liczono na nim więźniów. Jeśli coś się nie zgadzało, liczono ponownie i jeszcze raz, aż do skutku. W mrozie, deszczu albo na piekącym słońcu. A jeśli okazywało się, że ktoś uciekł, więźniowie za karę pozostawali na placu. Stali kilkanaście godzin. Ci, którzy ze zmęczenia mdleli, byli katowani na miejscu. Tu doszło do największej masowej egzekucji. Było to dziewiętnastego lipca tysiąc dziewięćset czterdziestego trzeciego roku. Tego dnia z cel w piwnicach bloku 11 wyprowadzono Zbigniewa Foltańskiego, Józefa Gancarza, Mieczysława Kulikowskiego, Czesława Marcisza, Bogusława Ohrta, Leona Rajzera, Tadeusza Rapacza, Edmunda Sikorskiego, Janusza Skrzetuskiego-Pogonowskiego, Stanisława Stawińskiego, Józefa Wojtygę i Jerzego Woźniaka. Śmierć miała być karą za ucieczkę trzech innych więźniów z ich komanda. Zanim komendant Höss skończył odczytywać wyrok, Janusz Skrzetuski sam wykopał stołek, na którym stał. Widząc to, esesmani wyrwali taborety spod nóg pozostały więźniów.

Grupa weszła do jednego z bloków mieszkalnych. Przewodnik opowiadał o codziennym porządku dnia. Latem więźniowie wstawali na dźwięk gongu o czwartej trzydzieści, zimą godzinę później. Mieli chwilę na poranną toaletę i uporządkowanie pomieszczeń. Wtedy mogli napić się kawy lub herbaty. Kawa była cienkim wywarem zbożowym, a herbatę stanowił napar z ziół. Po drugim gongu biegli na plac apelowy, a później w swoich komandach szli do pracy. Pierwszy posiłek dostawali w południe. Był to litr zupy. Na kolację dostawali trzysta gramów czarnego chleba z niewielką ilością kiełbasy lub margaryny albo łyżką marmolady. Dzienna porcja żywnościowa miała około tysiąca pięciuset kilokalorii, ale przy jedenastogodzinnej pracy, często w mrozie, zimnie czy deszczu, była racją głodową. Po pracy więźniowie mieli czas na naprawę ubrań, toaletę i porządki. Mogli poruszać się po obozie, ale

w ograniczony sposób. Nie było mowy o przesiadywaniu na powietrzu. A już z pewnością o wizytach w blokach zajmowanych przez kobiety.

Weszli na plac pomiędzy dwoma budynkami z czerwonej cegły. Na pierwszy rzut oka to były typowe bloki, w których mieszkali więźniowie. Na końcu placu znajdował się mur, przed którym ustawiono szarą ścianę z płyt.

– Ten blok po prawej – przewodnik wskazał ręką na budynek – to okrutne miejsce, blok 11. Miejsce, którego bali się więźniowie. W piwnicach było więzienie. Przy wejściu urzędowała komisja lekarska. Orzekała, czy można już zabić więźnia, bo jego stan nie rokuje, by był przydatny do pracy. I na oczekaniu zabijali. Zastrzykiem fenolu prosto w serce. A na tym placu dokonywano egzekucji po wyrokach Wydziału Politycznego Gestapo i Kripo. Albo po prostu masowych egzekucji. Rozstrzeliwano. A trupy wywożono na wózkach do krematorium.

Przez boczne wejście weszli do budynku. Wąskimi schodkami zeszli do piwnicy. Nikt nie rozmawiał. Staszek czuł wilgoć zatęchłej piwnicy. I mrok, który go osaczał. Nagle podniósł się krzyk. Jedna z dziewczyn zemdląła. Chłopcy wzięli ją na ręce i wynieśli na zewnątrz.

– Niestety, to się często zdarza. – Głos przewodnika zabrzmiał jakoś dziwnie. – A tylko patrzycie na to, co zostało. – Westchnął ciężko i mówił dalej: – Pamiętajcie tego kapo, o którym wspomniałem? – Widać nie oczekiwał odpowiedzi, bo nie czekając, ciągnął opowieść: – Kapo Kurt Müller był bardzo okrutny dla więźniów. W nagrodę został zwolniony z obozu, ale nie wyjechał. Pracował nadal jako cywil. Brał udział w egzekucjach na tym placu. A przy okazji handlował kokainą. W sylwestra czterdziestego trzeciego poszedł do knajpy. Tam spotkał esesmana Seidlera. Nazwał go złodziejem. Trafił za to do jednej z tych cel. Nie zabili go, ale wysłali do obozu

koncentracyjnego w Mauthausen-Gusen. Doczekał wyzwolenia jako więzień. Nie uniknął jednak odpowiedzialności za zbrodnie popełnione w Auschwitz. Został skazany na karę śmierci i powieszony w więzieniu przy Montelupich w Krakowie.

– Ale co tu można było kraść? – zapytał jeden z uczniów.

Przewodnik uśmiechnął się.

– Zanim ludzie trafili do komory gazowej, zostawiali cały przywieziony ze sobą dobytek. Komando nazywane Kanadą sprawdzało ubrania i bagaże w poszukiwaniu pieniędzy, złota i wszelkich cennych przedmiotów. Odzyskiwano też żywność, słodycze, alkohol i papierosy. To, co było zepsute, trafiało do kuchni. To, co dobre, do niemieckiej kantyny albo na front. Nie marnowało się nic. Nawet ubrania wykorzystywano do produkcji.

– Dlaczego Kanada? – padło kolejne pytanie.

– Nazwę Kanada po raz pierwszy użył więzień Tadeusz Walczak po tym, jak do obozu przywieziono transport słowackich Żydów. W przedwojennej Polsce Kanada była synonimem dobrobytu, krajem mlekiem i miodem płynącym. A Walczak uznał, że od chwili rozpoczęcia rabunku Żydów w obozie niczego już nie zabraknie. Niemcy chętnie podchwycili tę nazwę. Chodźmy stąd. Został nam ostatni przystanek. Ale uprzedzam, że najtrudniejszy, więc jeśli ktoś nie czuje się na siłach, lepiej aby wrócił do bramy.

Przeszli szeroką szutrową drogą prowadzącą pomiędzy blokami. Na jej końcu skręcili w lewo. Przewodnik zatrzymał się przed dziwnym niskim budynkiem, który niemal w całości zniknął w ziemnym nasypie.

– *Arbeit macht frei, durch Krematorium Nummer drei* – powtórzył powiedzonko, o którym wspominał wcześniej. – Głównym zadaniem obozu była eksterminacja. Początkowo więźniów rozstrzeliwano. Niemcy musieli jednak wymyślić coś



szybszego i tańszego. We wrześniu czterdziestego pierwszego roku zaczęli używać cyklonu B. To była ziemia okrzemkowa nasączona roztworem cyjanowodoru. Wydzielający się gaz blokował układ oddechowy. Został wynaleziony przez Fritza Habera, niemieckiego chemika noblistę. Podczas pierwszej wojny światowej służył jako środek dezynfekcyjny, używany w pralniach chemicznych do odwszawiania odzieży żołnierzy powracających z frontu. Haber był z pochodzenia Żydem i po dojściu Hitlera do władzy musiał uciekać z Niemiec. Nie miał pojęcia, że jego wynalazek stanie się najtańszym i najefektywniejszym środkiem masowego ludobójstwa. Pierwszy raz użyto go w Buchenwaldzie, zabijając dwieście pięćdziesiąt romskich dzieci z Brna. Ale najwięcej istnień cyklon zabrał tu, w Auschwitz i w Birkenau. Dwadzieścia pięć ton granulatu uśmierciło milion ludzi. Dziewięćset tysięcy stanowili Żydzi. Dlatego Niemcy nazywali go „specjalnym środkiem do przesiedlania Żydów”.

Weszli do wnętrza betonowego bunkra. Po lewej stronie stały piece, ale przewodnik wskazał im pomieszczenie po prawej. To była niska hala. Szare ściany, betonowa posadzka i mrok. Jego głos odbijał się echem.

– Do cyklonu używanego w celach dezynfekcyjnych dodawano nieprzyjemny środek zapachowy, który miał ostrzegać przed niebezpieczeństwem. Ten dostarczany do obozów zagłady był pozbawiony dodatków zapachowych. Więźniowie pod pozorem kąpieli wchodzili do tego pomieszczenia. To jest komora gazowa. Gdy zamknięto drzwi, esesmani przez otwory w stropie wsypywali zawartość puszek. Przy dużym stężeniu zabijał szybko. Przy mniejszym śmierć w męczarniach następowała po półgodzinie. Po przewietrzeniu komory więźniowie sonderkommando wynosili ciała prosto do znajdującego się obok krematorium.

Ruszył z powrotem do hali, przez którą wchodzili. Stały w niej dwa murowane piece, opasane stalowymi obejmami. Przed każdym z nich znajdowały się szyny i prowadnice, które służyły do ładowania ciał do palenisk.

– Piece pracowały bez ustanku. Były tak rozgrzane, że w ich ścianach musiano umieścić rury z wodą chłodzącą paleniska. Ale i to nie pomagało. Bez przerwy występowały awarie: zawiasów drzwi, rolek i wózków do załadunku ciał na palenisko. Obozowa ślusarnia na bieżąco wykonywała drobne naprawy i dostarczała codziennie nowe ruszty. To była taśma produkcyjna wytwarzająca popiół do użyźniania okolicznych pól.

Staszek z przerażeniem dostrzegł, że w paleniskach pozostały jeszcze resztki popiołu. Zresztą nie tylko on. Uczniowie zaczęli sobie pokazywać palcami retorty pieców.

Grupa wyszła przed budynek. Przewodnik powiedział jeszcze kilka słów i pożegnał się. Staszek patrzył, jak idzie w stronę obozowego bloku. Zawahał się przez chwilę. Gdy mężczyzna złapał za kłamekę, podbiegł do niego i zagadnął:

– Przepraszam, chciałem jeszcze o coś zapytać.

Przewodnik odwrócił się i spojrzał na niego, unosząc brwi.

– Tak – odpowiedział uprzejmie.

– Pan był więźniem obozu?

– Niemal od samego początku. Od lipca czterdziestego roku.

Wreszcie do Staszka dotarło, dlaczego tak ciekawie opowiadał. Wiele razy na szkolnych wycieczkach słuchał przewodników. Większość była znudzona ciągłym powtarzaniem tych samych wiadomości, których wyuczyli się z podręczników historii. Ten człowiek był inny. Niemal pięć lat spędził w piekle. Staszka zaskoczyło to, że każdy, któremu udało się tu przeżyć, uciekłby stąd jak najdalej. Staraliby się zapomnieć, wymazać z pamięci wszystkie koszmarnie wspomnienia. On wrócił, aby opowiadać o tym, co tu widział.

By być żywym świadkiem ludobójstwa. Niemcy, wysyłając go do Auschwitz, wydali wyrok śmierci. Los podarował mu drugą szansę. A on sam skazał się na dożywocie.

– Mówił pan o obozowej ślusarni. Pamięta pan esesmanów, którzy w niej pracowali?

– Oczywiście. To było jedno z najliczniejszych komand. W ślusarni pracowało ponad dwustu ludzi. Początkowo kierował nimi Bischoff, a po nim obersturbannführer Sauer. Wtedy jeszcze ślusarnia podlegała pod biuro Bauleitungu Waffen-SS. W lutym czterdziestego drugiego przeszła pod zarząd DAW i wtedy kommandoführerem został rottenführer Kramer, a jego zastępcą sturmmann Lubusch. Kramer szefował tylko dwa miesiące. Po nim przyszedł hauptscharführer SS Alfred Kassner z Nysy. Był też cywil Heinrich Schwarz, majster z BMW, Bruno Samulewicz z Siemensa, a w połowie czterdziestego trzeciego doszedł jeszcze inwalida Klier z Bawarii.

– Pan znał ich wszystkich?

– Niektórych całkiem dobrze.

– A tego... Lubuscha? – wymówił nazwisko powoli.

– Eduarda? Tak, Edka znałem nieźle. – Uniósł głowę, patrząc gdzieś w niebo, jakby chciał wrócić do wspomnień. – Jesienią czterdziestego drugiego awansował na rottenführera i został kommandoführerem ślusarni. Znał się na robocie, bo przed wojną skończył w Bielsku szkołę mechaniczną. Do obozu trafił w lutym czterdziestego pierwszego, pracował w centrali telefonicznej. W ślusarni przydzielono mu tego rzeźnika, kapo Kurta Müllera. Ale szybko się go pozbył. Wyrzucił też Niemca Samulewicza. Samulewicz pierwszego dnia przyszedł do niego na skargę, donosząc, że więźniowie gotują zupę na piecyku. Lubusch się wściekł, skopał mu tyłek i wyrzucił. A potem dołożył parę kopniaków więźniom. Niemca nie chciał, bo jak doniósł jemu, to następnego dnia mógł donieść do politycznego.

A więźniów ukarał, bo jak dali się złapać na gotowaniu zupy, to mogli wpaść przy niespodziewanej kontroli. A on lubił mieć porządek w swoim komandzie. Nie tolerował znęcania się nad więźniami. Zresztą z tego powodu po roku go odwołano. Trafił do kompanii karnej, zdaje się w Buchenwaldzie, gdzie mieli go nauczyć, jak się traktuje więźniów. Wyszło odwrotnie. Po powrocie był jeszcze lepszy. W końcu wysłali go na front. Pamiętam, że w przeddzień odjazdu zrobił pożegnanie. Postawił wódkę i zulagę. To był porządny chłop. Przyjaźnił się z jednym chłopakiem, więźniem Edkiem Galińskim. Galiński uciekł z Żydówką, w której się zakochał. Niestety, złapali ich po dwóch tygodniach. Byłem wtedy pisarzem w wydziale politycznym. Pamiętam śledztwo. Dopiero po wojnie dowiedziałem się od Wieśka Kielara, że to Lubusch im pomógł. Dał Edkowi mundur i pistolet z dwoma nabojami. Szkoda, że już nic się o tym nie dowiemy.

– Dlaczego?

– Z tego, co wiem od Kielara, Lubusch zginął na froncie wschodnim. Nie wrócił do Bielska, a jego matkę i siostry gdzieś wysiedlono. Nie wiadomo dokąd, a one by pewnie coś wiedziały. Lubusch miał też żonę i syna. Zdaje się, że Hildegarda jej było. Ale z nimi zupełnie nie wiem, co się stało. – Przewodnik uśmiechnął się. – A dlaczego o nich pytasz?

Staszek gorączkowo zaczął myśleć, jak zareagować. Odruchowo powiedział pierwszą rzecz, która przyszła mu do głowy.

– Moja ciotka w czasie wojny mieszkała obok Lubuschów. Znała ich i opowiadała mi o tym Eduardzie.

– Naprawdę? – Mężczyzna wyraźnie się zainteresował. – Powiedz ciotce, aby do mnie przyszła. Ja nie jestem przewodnikiem. Tylko czasem oprowadzam grupy. Niech o mnie pyta w dyrekcji. Nazywam się Kazimierz Smoleń, kiedyś numer obozowy 1327. Teraz jestem dyrektorem muzeum.

Dobrze by było, gdyby ciotka przyszła – powtórzył. – Zbieramy relacje różnych osób. Przyda się coś o Lubuszu. To był naprawdę dobry człowiek.

– Dobrze, powiem jej. – Staszek kiwnął głową. Teraz już wolał skończyć rozmowę, bo przypomniał sobie słowa ciotki „lepiej to zostaw”. Tego jeszcze brakowało, aby ją zaczęli przepytować. Poczł ucisk w żołądku. Strach. – Dziękuję, muszę już iść. – Ukłonił się i zaczął wycofywać.

– Chłopcze, poczekaj! – Dyrektor Smoleń próbował go zatrzymać.

– Do widzenia, muszę bieć, bo zgubię moją klasę! – skłamał na oczekaniu.

Odwrócił się i puścił biegiem w stronę wejścia do muzeum. Smoleń wołał coś jeszcze, ale on nie słuchał. Wpadł do holu muzeum i wmieszał się w tłum. Serce waliło mu jak młotem. Nie był pewny, czy ze strachu, czy przez to, że biegł. Poczł, jak kręci mu się w głowie. Wciąż słyszał słowa: „Twój ojciec był esesmanem”. Teraz doszło kolejne zdanie: „To był naprawdę dobry człowiek”. Jak esesman mógł być dobrym człowiekiem? A matka? Kim była matka? Niemką? Wszystko, co wiedział o swojej rodzinie, runęło w ciągu jednego dnia jak domek z kart. Nie miał pojęcia, kim jest i skąd się wziął. Nawet teraz zastanawiał się, czy jest dzieckiem Bronisława i Teresy, czy może został przysposobiony. Przygarnięty.

Nie pamiętał, jak wyszedł z muzeum. Szedł przez kilka minut bez celu. Ocknął się przed dworcem. Vis-à-vis budynku stał mały pawilon spożywczy. Nie był głodny, ale poczuł pragnienie. Pomyślał, że w sklepie może uda mu się kupić piwo. Stanął w kolejce i czekał, wpatrując się w półki.

– Co dla pana?

– Dla mnie? – z zamyślenia wyrwał go głos ekspedientki.

– A dla kogo? – odpowiedziała z rozdrażnieniem.

– Wino, o tamto. – Wskazał palcem na butelkę.

Zmierzyła go wzrokiem i schyliła się do stojącej z boku skrzynki. Widać wystarczyło jej, że jest wysoki.

– Albo dwa pani da. Nie będę drugi raz zawracał głowy.

Chyba przekonał ją ten argument, bo nawet się uśmiechnęła. Postawiła na ladzie dwie butelki i wyciągnęła rękę.

– Czterdzieści sześć złotych – powiedziała bezbarwnym tonem.

Staszek podał jej pięćdziesięciozłotowy banknot, złapał butelki i odwrócił się.

– Zaraz, reszta! – krzyknęła kobieta w jego stronę.

Nie słuchał. Był już w drzwiach. Czym prędzej poszedł za sklep i wyjął z kieszeni scyzoryk. Odciął plastikowy kapsel zaciśnięty na szyjce i przytknął butelkę do ust. Za jednym razem opróżnił połowę zawartości. Otarł ręką wargi i odetchnął ciężko.

Przechylił flaszkę jeszcze dwa razy i poczuł, że robi mu się ciepło. Postanowił poszukać jakiejś ławki i chwilę odsapnąć. Była o parę kroków, przy platanie z tabliczką „Pomnik przyrody”. Usiadł i odciął korek z drugiej butelki wina. Upił trochę i zapalił papierosa.

Siedział, pociągając co jakiś czas półsłodkie wino owocowe. Pachniało latem, ale on wciąż czuł dym i zapach spalenizny. Dopiero po jakimś czasie dotarło do niego, że po drugiej stronie ulicy znajduje się linia kolejowa, którą co chwila przetaczają się z łoskotem parowozy ciągnące składy wagonów. Czuł dym wyrzucany z kominów lokomotyw. To go trochę uspokoiło. Nie mógł przestać myśleć o krematoriach. W tym, do którego wszedł, palono trzysta czterdzieści ciał w ciągu doby. W Birkenau ludobójstwo doprowadzono do perfekcji. Tamtejsze piece codziennie wymazywały pamięć o czterech i pół tysiącu ludzi. W takim tempie Jelenia Góra, w której mieszkał, mogła zniknąć w niespełna miesiąc.

\*

Staszka obudziło szarpanie za ramię. Otworzył oczy. Obraz był zamazany. Odchylił głowę do tyłu i z trudem złapał ostrość. Poczul silny ucisk w pęcherzu, ale szybko pojął, że nieprędko będzie mógł coś na to poradzić.

– Co jest, obywatelu! To nie hotel! – Mundurowy wyprostował się i sięgnął ręką do kieszeni. Wyjął notatnik służbowy i spojrzał na Staszka. – Dokumenty! Dowód osobisty!

Staszek odruchowo złapał za kieszeń na piersi, a potem przypomniał sobie, że legitymację schował do kieszeni razem z portfelem.

– Nie mam dowodu – powiedział z trudem. – Mam legitymację szkolną.

Milicjant spojrzał na stojącą obok Staszka pustą butelkę po winie. Druga leżała pod ławką. Zrobił zatroskaną minę, marnie udając współczucie.

– Nie mamy dowodu, nie mamy osiemnastu lat, pijemy wino.

– Raczej ja nie mam, obywatelu sierżancie – odpowiedział, podając dokument.

Wyraz twarzy milicjanta zmienił się w ułamku sekundy. Staszek zrozumiał, że żarty nie są dobrym rozwiązaniem w tej sytuacji. Podźwignął się i wyprostował, starając się stanąć równo. Wyjął z kieszeni portfel i podał dokument.

– A to co? – Milicjant wskazał na mały kartonik, który wypadł z legitymacji na ziemię, gdy brał ją od Staszka.

– Nic ważnego. – Chłopak schylił się po karteczkę.

– Pokażcie no. – Wyciągnął rękę i zabrał papier. Obejrzał go dokładnie z obu stron, a potem przyjrzał się legitymacji.

– Po co przyjechałeś do Oświęcimia? – bezceremonialnie przeszedł na ty.

– Ymmm... – Staszek zawahał się. – Muzeum chciałem zobaczyć.

Milicjant uniósł głowę i ze zdumieniem otworzył oczy, unosząc jednocześnie daszek czapki lewą ręką.

– Chcesz mi powiedzieć, że zrobiłeś sobie wycieczkę, aby zobaczyć obóz koncentracyjny?

– Tak. Właściwie to przy okazji. Byłem w Bielsku... po metrykę urodzenia... bo za dwa tygodnie kończę osiemnaście lat i muszę do prezydium... bo do dowodu... i bez tego nie można... a skoro już byłem, to pomyślałem...

– Gdzie masz metrykę? – milicjant przerwał mu bezskładne wyjaśnienia.

– Nie mam, dopiero jutro będzie, bo kancelaria parafialna była zamknięta i ksiądz kazał przyjść jutro – skłamał na oczekaniu, choć częściowo była to prawda.

– Biurokraci cholerni, gorzej niż w urzędzie – warknął pod nosem. – Gdzie będziesz spać?

– U ciotki, w Bielsku.

– A to wino? To z jakiej okazji? – zapytał, odpuszczając już surowy ton.

– Tak jakoś. – Staszek, widząc, że milicjant zmienił głos na łagodniejszy, odetchnął i opuścił ramiona. – Tak jakoś – powtórzył i opadł na ławkę, czując, że dłużej nie da rady stać.

Milicjant zaczął przepisywać do notesu dane z legitymacji, mruczając pod nosem każde wpisywane słowo. Wreszcie oddał Staszce legitymację i spojrzał na niego tym razem ze szczerym współczuciem.

– Ktoś z rodziny był w obozie?

Chłopak potwierdził kiwnięciem głowy, nie podnosząc wzroku. Tym razem mówił prawdę, ale kto mógł przypuszczać jaką.

– A my musimy na to patrzeć codziennie. Ja bym tych sukinsynów pod tę ścianę zapędził i rozwalił jednego po drugim. Bez litości. Dla mnie każdy Niemiec to bydlę. Nawet ci z NRD. Bo niby kto wtedy mordował? Oni są tak samo winni –



sam sobie odpowiedział na pytanie i ciągnął monolog. – Tylu ludzi zagazować. Spalić. Czystości rasy się bydlakom zachciało. Tylu ludzi – powtarzał, chowając notes do kieszeni. – Zbieraj się, idziemy!

– Ale, panie władzo. Za co? Ja tylko wino wypilem. Już prawie osiemnaście mam. – Staszek uniósł ręce w błagalnym geście.

– Spokojnie. – Milicjant roześmiał się na głos. – Nie wsadzę cię. Zaraz kończę służbę. Mieszkam w Bielsku. Wracam motorem. Podrzucę cię do ciotki, abyś się pociągami nie tłukł po nocy, bo jeszcze sobie biedy napytasz. – Klepnął Staszka w ramię i ruszył w stronę dworca.

W hali dworcowej kręciło się ledwie parę osób. Staszek posłusznie podążył za sierżantem na komisariat kolejowy. Po drodze wstąpił do toalety, bo milicjant jeszcze kogoś legitymował. Gdy już byli na miejscu, usiadł w przedsiionku, na wprost okienka dyżurnego. Czekał kilkanaście minut, zanim tamten załatwi swoje sprawy.

Było dobrze po dziesiątej, gdy usadowił się na tylnym siodełku junaka. Motocykl był niemal nowy. Odpalił od pierwszego kopa. Głośno warcząc, wszedł na obroty, sprawiając właścicielowi wyraźną satysfakcję.

Powietrze było zimne i po paru kilometrach Staszek zupełnie wytrzeźwiał. Nie chciało mu się już spać. Był wyższy od milicjanta i nad jego ramieniem obserwował drogę.

Z każdym mijanym słupkiem tłukły mu się w głowie myśli. Nie wiedział, co ma zrobić w sprawie metryki. Zupełnie nic nie przychodziło mu do głowy. W końcu uznał, że nic nie poradzi, i wrócił myślami do obozu.

Przed oczami miał wewnątrz komory gazowej. Chłodne, wilgotne powietrze wypełniające surowy bunkier oblepiało gołe ściany i betonową posadzkę. I cisza, która zdawała się dzwonić w uszach. Wciąż wyobrażał sobie krzyk ludzi. Walenie pięściami w drzwi. Tratujących się nawzajem w panicznej

próbie ucieczki przed gazem wydzielającym się z granulek wsypanych przez otwór w stropie. Leżące na stosie, poskręcane w konwulsjach nagie ciała. I smród buchający z kominów krematoryjnych pieców.

Pół do dwunastej motocykl zatrzymał się przed kamienicą na Feliksa Dzierżyńskiego. Staszek chciał podziękować i szybko zniknąć, ale milicjant zgasił silnik i zsiadł z uśmiechem.

– Nie tak prędko – powiedział, mrugając okiem. – Muszę sprawdzić, czy mnie nie bujasz. Czy aby ta ciotka jest prawdziwa.

Staszek wzruszył ramionami. Co niby mogło się stać? Choć nie miał pewności, co milicjant powie ciotce.

Popchnął drzwi do klatki schodowej i wymacał na ścianie włącznik światła. Gdzieś na górze zaczął terkotać włącznik czasowy. Żarówka rozbłysła, oświetlając odrapany korytarz i drewniane schody. Wciąż było czuć wilgoć. Zrobił krok i ociągając się, stanął na pierwszym stopniu. Liczył, że milicjant odpuści, ale widać nie było na to szans.

W końcu stanął przed drzwiami i zastukał cicho. Wewnątrz usłyszał jakiś głos i szybkie kroki zbliżające się w kierunku drzwi. Podświadomie poczuł, że zaraz coś się wydarzy.

W jednej chwili żołądek zacisnął mu się ze strachu. Staszek ze zdumienia otworzył usta. W progu stała matka. Była wściekła. Twarz miała spiętą, surową. Jeszcze nie widział jej tak złej. Nawet jak wtedy, gdy omal nie spalił domu, gdy rozpalając w piecu, wlał do paleniska stary olej.

Emocje, które miała na twarzy, zmieniły się w ułamku sekundy. Złość przeszła w zaskoczenie, a potem otworzyła szeroko oczy i Staszek mógłby przysiąc, że teraz jest już przerażona. Domyślił się, że to na widok milicjanta.

– Nic się nie stało, mam – uspokoił ją. – Pan władza mnie tylko odwiózł – dodał wesoło i spojrzął przez ramię na

sierżanta. Ku jego zaskoczeniu on też miał otwarte ze zdziwienia usta.

– Staszek – powiedziała matka cicho i nagle położyła rękę na ustach. – Staszek, gdzieś ty był? – poprawiła się i przyciągnęła do siebie syna.

– Hilda? – powiedział niepewnie milicjant, mrugając oczami, bo światło lampy w korytarzu było słabe. Najwyżej czterdziestowatowa żarówka barwiła wszystko wokół na żółto. – Hildegarda? – powtórzył jeszcze raz. – To ja, Staszek Kogut. Co ty? Nie poznajesz mnie?

Teresa pociągnęła syna do przedpokoju i spojrzała na milicjanta.

– Przepraszam, pan mnie chyba z kimś pomylił. Mam na imię Teresa. Czy on coś narozrabiał? – Wskazała głową za siebie.

– Nie, nic – milicjant zająknął się. – Chodziliśmy razem do szkoły. Tu, w Bielsku. Przed wojną.

– To pomyłka, ja chodziłam do szkoły w Krakowie.

– No jasne, że w Krakowie. W Krakowie chodziłaś do gimnazjum żeńskiego, ale tu, w Bielsku, chodziliśmy do szkoły powszechnej.

Teresa pokiwała przecząco głową.

– Musi mnie pan z kimś mylić.

– No tak, być może – odpowiedział niepewnie, wpatrując się w jej oczy.

– Czy mój syn coś zrobił? – zapytała jeszcze raz chłodnym tonem.

– Nie, wszystko w porządku. Legitymowałem go, mówił, że jedzie do ciotki do Bielska. Ja mieszkam tu niedaleko, więc go podwoziłem. – Spojrzał na stojącego z tyłu Staszka, któremu wyraźnie ulżyło, że nie wspomniał nic o wypitym winie. – Pójdę już.

– Dziękujemy bardzo. – Teresa skinęła głową i zaczęła zamykać drzwi.

Staszek widział, że milicjant jest już na pierwszym stopniu, gdy nagle odwrócił się i powiedział w stronę zmniejszającej się szpary w drzwiach:

– Dobrze było cię zobaczyć... – zawiesił na chwilę głos i dodał:  
– ...Teresa.

Drzwi zatrzymały się na ułamek sekundy, a potem zamknęły.

Matka odwróciła się do Staszka. W jednej chwili wyraz jej twarzy na powrót zmienił się z chłodnej uprzejmości we wściekłość. Skinęła głową, wskazując mu drogę do kuchni. Weszła za nim i zamknęła drzwi.

Przy oknie, na stołku przystawionym do stołu, siedziała ciotka. Była przestraszona. Wpatrywała się w Staszka szeroko otwartymi oczami. Była blada, miała sine wargi i spocone czoło. Palce zaciskała na brzegu kwiecistego kuchennego fartucha, którym była przepasana. Co chwila otwierała usta, jakby chciała coś powiedzieć.

– Coś ty narobił?! – syknęła matka, stając tuż przed Staszkiem. Była od niego sporo niższa, więc zadzierała głowę, aby patrzeć mu w oczy.

– Ja? Ja nic nie zrobiłem, ja tylko... – zaczął się jąkać.

– Ty tylko! Co tylko?! – Dotknęła wyprostowanym palcem jego piersi. – Tylko naraziłeś całą rodzinę. Przez ciebie ojciec i ja możemy trafić do więzienia. A twoja siostra do domu dziecka. Coś ty narobił! Skąd wziąłeś tego Koguta?! Z kim jeszcze rozmawiałeś?!

– Ja? Ja nic nie zrobiłem – powtórzył, cofając się pod ścianę. Wreszcie oparł się o nią plecami przyciśnięty przez palec matki, nadal wycelowany w jego pierś.

– Gdzie spotkałeś Staszka Koguta i co mu powiedziałaś?!

– Ja... ja tylko zasnąłem na ławce przed dworcem. On powiedział, że jedzie do Bielska i może mnie zabrać. Nic mu nie mówiłem... – urwał w pół zdania i spuścił wzrok. – Wie, że

byłem w obozie. Widział bilet. Myślał, że tam zginął ktoś z mojej rodziny.

– Jezus Maria! – powiedziała z przerażeniem. – On wszystko wie. – Cofnęła się i opadła na wolny stół jak kukła.

– Co wie? Skąd go znasz? Kim on jest? – Teraz Staszek przeszedł do ataku. – Dlaczego on mówił do ciebie Hilda? Czego jeszcze nie wiem?

– To... narzeczony... twojej... matki – odezwała się wreszcie ciotka, łapiąc po każdym słowie powietrze jak karp wyjęty z wody.

– Ale jak? – Staszek szarpnął głową, jakby otrzymał niewidzialny cios. Spojrzał na matkę. – Jak to narzeczony?

– Nie był moim narzeczonym – odpowiedziała z rezygnacją słabym głosem Teresa. – Oświadczył mi się, a ja go nie przyjąłem. To nie ma znaczenia. Ważne, jak to zrobiłem. A potem poznałem twojego ojca. On będzie się chciał zemścić. Doniesie na nas. Nie mamy już dokąd uciekać.

– Dlaczego mamy uciekać?

Podniosła głowę. W jej oczach dostrzegł pustkę.

– Przecież już wiesz, kim był ojciec.

– Mój ojciec jest dobrym człowiekiem. Pomagał więźniom. Jednemu dał nawet mundur i pistolet i pomógł uciec jemu i jakiejś Żydówce.

– Skąd o tym wiesz? – otworzyła ze zdumienia usta.

– Od dyrektora muzeum Kazimierza Smolenia. Jest byłym więźniem. Rozmawiałem z nim. On mówił, że zna ojca.

– Coś ty narobił, synu? – Po jej policzkach pociekły łzy.

– Uspokój się, nic nam nie grozi. – Staszek padł na kolana i złapał matkę za rękę. – Smoleń mówił, że ojciec zginął na froncie wschodnim. I że bardzo go szkoda, bo to był dobry człowiek. Nic mu o nas nie mówiłem. Oprowadzał wycieczkę i po prostu zapytałem o ślusarnię i sam wymieniłem nazwisko,

a potem mówił dalej. Mój ojciec jest bohaterem. Jak się zgłosi, to dostanie medal.

Matka pokiwała głową z niedowierzaniem. Uniosła rękę i pogłaskała Staszka po głowie.

– Nie bądź głupi. Nie dadzą mu medalu. Był esesmanem. Przez trzy lata chodził w czarnym mundurze. Noszenie więźniom kiełbasy nie zwalnia go od odpowiedzialności. Nikogo nie zabił, ale i tak pójdzie pod sąd. W najlepszym razie na resztę życia trafi do więzienia. A nam zabiorą dom i wszystko, co mamy.

– Dlaczego?

– Bo to była wojna, synku. Dla nich wszystko jest czarno-białe. Mogłeś być po dobrej albo po złej stronie. Nie ma tego, co pośrodku.

– Nie rozumiem.

– Może kiedyś zrozumiesz. – Podniosła ze stołu szklanę z herbatą i upiła łyk. – Może zrozumiesz. Tylko co z nami będzie?

– A co ma być? Nikt o niczym nie wie. Tylko ten milicjant. Skąd ma wiedzieć, gdzie nas szukać... – urwał nagle.

Matka spojrzała na niego niepewnie.

– Co?

– Spisał mnie.

Pokręciła głową.

– Ja z nim pogadam, znam go – znowu odezwała się ciotka. – To porządny człowiek. Do partii nie należy. Nie dostał awansu, bo ochrzcił dziecko.

– Ale jak na nas doniesie, to dadzą mu awans – odpowiedziała matka, ciężko wzdychając.

– Nie doniesie. – Ciotka podniosła się ze stołka i podeszła do kuchni. Wyjęła haczykiem płytkę z fajerki i przesunęła na palenisko duży aluminiowy czajnik. – Głodny jesteś, Stasiu?

– Coś bym zjadł. – Kiwnął głową bez przekonania.

Postawiła na środku blachy garnek z przykrywką.

– Zupa jest – mówiąc to, podeszła do kredensu. Wyjęła butelkę wódki i trzy kieliszki. Postawiła na stole i naląła. – Pij, Tereska. Nie ma się co martwić na zapas. Za okupacji było się czym martwić, a teraz mamy demokrację. – Wypiła kieliszek i naląła drugi.

– Po co mu powiedziałaś? – Teresa wzięła do rąk swój kieliszek i wypiła połowę przezroczystego płynu.

– Po co? Po co? Nie ma teraz co nad rozlanym mlekiem płakać. Już tego nie cofniemy. Przynajmniej chłopak wie, że jego ojciec ratował ludzi.

– A co z metryką? – Staszek, nie pytając o zgodę, wziął kieliszek i szybko wypił.

Matka nie odpowiedziała. Wskazała tylko na ciotkę. Ta jeszcze raz sięgnęła do kredensu i podała chłopakowi żółtą ze starości kartkę. Brzegi miała postrzępione, a spore rozdarcie podklejono szarym papierem. Na środku widniał drukowany napis: WYCIĄG Z KSIĘGI URODZONYCH I OCHRZCZONYCH. Po lewej pieczęć odbita czerwonym atramentem z nazwą Katolicki Urząd Parafialny Biała Krakowska. Staszek odczytał dane wpisane poniżej:

*t. XI str. 317 n. 187 Stanisław Edward Żołnierowicz, syn Bronisława i Teresy z domu Kneblowska, urodził się w Białej Krakowskiej, powiat Biała Krakowska, w dniu 24 października 1943 roku, ochrzczony został według obrządku rzymskokatolickiego w kościele parafialnym w Białej. Krak. dnia 15.XI.1943 r.*

Mało czytelny podpis, okrągła pieczęć odbita czerwonym tuszem z łacińskim napisem i umieszczony w promienistej gwiazdzie trójkąt z wpisanym okiem. Był jeszcze czerwony

znaczek opłaty stemplowej za dziesięć złotych, potwierdzający formalne znaczenie dokumentu.

– To wszystko? – bąknął, wpatrując się w pożółkły blankiet.

– Wszystko? – zapytała z niedowierzaniem ciotka. – Masz pojęcie, ile to kosztowało?

– Kosztowało? – otworzył szerzej oczy ze zdumienia.

– Na jakim ty świecie żyjesz? Za pieniądze ksiądz się modli, za pieniądze świat się podli. – Uśmiechnęła się z drwiną. – Nikt nie będzie za darmo karku nadstawiał. To tylko kwestia ceny, jaką trzeba zapłacić za ryzyko. Siadaj! – rozkazała. – Zupy ci naleję. Nie pij na pusty żołądek – upomniała go z troską, biorąc z kuchni garnek.

Teresa dopiła wódkę i naląła sobie jeszcze jeden kieliszek. Tym razem wychyliła całą zawartość na jeden raz.



# 13

## ***Sierpień 2005 roku***

Małgorzata czuła, że robi jej się gorąco. Odruchowo spojrzała na okno. Było wysokie, sięgało niemal od podłogi do sufitu. Niestety, nie dało się go otworzyć.

– Kim wy, kurwa, jesteście?! – krzyknęła, patrząc na Staszka, i wybiegła z sali.

Na zewnątrz wciąż lało. Stała chwilę pod daszkiem przed restauracją, głęboko oddychając. Pomyślała o papierosie, ale opuściła lokal tak szybko, że nie zabrała torebki.

– Torebka – powiedziała cicho z goryczą.

Z jej powodu musiała tam wrócić. To było za trudne. Wiedziała, że nie da rady. Nie dostała odpowiedzi na najważniejsze pytanie: dlaczego ją oddali? Ale to, co usłyszała, nie mieściło jej się w głowie.

– Trzymasz się?

Małgorzata usłyszała za plecami głos siostry, który wyrwał ją z zamyślenia.

– Co? – odpowiedziała zaskoczona.

– Trzymasz się jakoś? – mówiła spokojnie Kasia.

Małgorzata przyjrzała się uważnie siostrze. Jej twarz nie wyrażała żadnych emocji. Nie wydawała się zaskoczona tym, co właśnie opowiedział Staszek. Przez chwilę zastanawiała się dlaczego. Przecież na wszystkich zrobiło to ogromne wrażenie. Widziała twarze ludzi przy stole. Nawet ojciec Kasi siedział

z otwartymi ustami. Był w tej rodzinie, znał swojego teścia, wiele razy z nim rozmawiał. Skąd mógł przypuszczać, że był esesmanem w najgorszym obozie koncentracyjnym, w którym mordowano ludzi? Może sam nie mordował, ale stał z boku i patrzył. Nic nie zrobił.

– Oni nie mogli inaczej – powiedziała Kasia, jakby odczytując w myślach jej pytania. – Nie mogli. Bali się. To nie jest takie proste. Babcia...

– Co?! – przerwała jej Małgorzata. – Ty wiedziałaś o tym?

Kasia pokiwała głową.

– Kurwa, kim wy jesteście?! – Małgorzata powtórzyła to samo pytanie, znów podnosząc głos.

– Normalną rodziną. – Kasia wzruszyła ramionami.

– Normalną? Proszę, nie rozśmieszaj mnie. – Parsknęła udawanym śmiechem. – Normalne rodziny...

– Każda rodzina ma swoje tajemnice – teraz Kasia jej przerwała. – Choćby ta, w której się wychowałaś. Jak myślisz... – przechyliła głowę, zaglądając jej w oczy – ...czy oni by ci kiedykolwiek powiedzieli, że nie jesteś ich córką?

Małgorzata pokiwała przecząco głową.

– Sama widzisz. Każda rodzina ma tajemnice. Zdarza się czasem, że nigdy nie zostaną odkryte. Są zabierane do grobu. A niekiedy ktoś odkryje prawdę.

– Skąd wiedziałaś?

– To długa historia. Mnie też z tym było ciężko. Też myślałam tak jak wujek Staszek. Też chciałam krzyknąć: mój dziadek jest bohaterem. Ale szybko zrozumiałam, że ludzie myślą inaczej. Nikt nie będzie słuchał o tym, co zrobił. Będą oceniać po kolorze munduru. Esesman, do tego z Auschwitz. Sama widzisz, jak reagujesz.

Małgorzata przytaknęła.

– Jak się dowiedziałaś?

– Chodźmy do środka. Zimno się zrobiło.

## ***Wrzesień 1987 roku***

Głuche uderzenie i szczekanie psa przestraszyły Kasię. Hałas dochodził z dołu. Wciągnęła szybko sweter i otworzyła drzwi do swojego pokoju. Stała w progu, próbując zrozumieć, co się dzieje. Kolejne uderzenia dochodziły z korytarza piwnicy. Pies wciąż ujadł, babcia próbowała go uciszyć.

– Tylko nie babcia – powiedziała do siebie i zaczęła zbiegać, przeskakując po dwa stopnie. Babcia już raz upadła na schodach. Na szczęście wtedy nic się nie stało, ale Kasia nie wyobrażała sobie, co by było, gdyby trafiła do szpitala.

Po śmierci dziadka zostały same. Trzy kobiety. Dwunastoletnia Kasia, jej schorowana matka i babcia. Od tego czasu minęły już trzy lata, a babcia wciąż trzymała cały dom w garści. Na mamę nie można było liczyć. Jeśli akurat nie leżała w szpitalu, większość czasu spędzała w swoim pokoju. Tranzystorowe radio i kot na kolanach stanowiły cały jej świat. Był jeszcze wujek, ale on pojawiał się jedynie w niedziele, aby pojechać z nimi do kościoła, a potem zjeść obiad.

Drzwi do korytarzyka były otwarte. Babcia nachylała się, ciągnąc za rękę właśnie wujka. Gdyby nie rurka udająca poręcz, stoczyłby się na schody do piwnicy. Był kompletnie zamroczony. Bełkotał coś niezrozumiale. Ubranie miał brudne, ubłocone spodnie i kurtkę rozerwaną na rękawie. Na twarzy kilka

zaschniętych skrzepów krwi. Sine oko i potargane włosy stanowiły jedynie dodatek uzupełniający makabryczny obraz.

Wyglądał jak pijaczek przesiadujący w krzakach nieopodal pobliskiej pętli autobusowej. Urzędowała tam cała grupa podobnych nędzarzy. Kasia się ich bała. Wysiadając z autobusu, prędko biegła w stronę domu. Jadąc do miasta, czekała zawsze przy kiosku. Raz wydawało jej się, że wśród tamtych mężczyzn stał ktoś podobny do wujka. Ale uznała, że musiało jej się przywidzieć. Teraz z przerażeniem pomyślała, że wtedy jednak to mógł być on.

– Stasiu, Stasiu, Stasiu! – powtarzała babcia, próbując wciągnąć syna po schodach.

Pies ujadał niemiłosiernie. Kasia cofnęła się, gdy wreszcie wujek pokonał trzy schodki i opierając się o ścianę, stanął w korytarzu.

– Pomóż mi – powiedziała babcia, podtrzymując syna pod ramię. – Do mnie na łóżko – dodała, widząc, że Kasia nie wie, co ma robić.

– Ale... – Kasia cofnęła się o krok.

– Chwyć go pod ramię! – powiedziała babcia zdecydowanie, nie patrząc na nią.

Kasia wykonała polecenie. Złapała wujka pod ramię i razem oderwały go od ściany. Był ciężki. Śmierdział. Alkoholowy odór kilkudniowego picia mieszał się z trudnym do zniesienia, gryzącym smrodem nikotynowym.

Chwilę walczyły, zanim przepchnęły go przez drzwi pokoju. Zwalił się na łóżko jak kłoda i natychmiast stracił przytomność.

– Synku – wyszeptała Teresa, podnosząc dłonie do ust.

– Babciu? – zapytała cicho Kasia.

Przez chwilę nie reagowała, wciąż patrząc na syna. Nagle ocknęła się i chwyciła leżący na czarnym pianinie portfel. Wyjęła z niego pięćdziesiąt złotych.

– Idź już, spóźnisz się do szkoły. Kupisz sobie bułkę w sklepiku – powiedziała, podając wnuczce banknot.

Kasia wzięła pieniądze i cofnęła się. Patrzyła jeszcze na coś, co leżało na tapczanie. Brudne, śmierdzące zwłoki jakiegoś zwierzęcia. Potem cofnęła się i szybko wbiegła po schodach na górę. Przed drzwiami do łazienki natknęła się na matkę. Szła na sztywnych, szeroko rozstawionych nogach, przytrzymując się ściany. Trzęsącą się ręką chwyciła za klamkę i nie zwracając uwagi na córkę, weszła do środka. W jej ruchach było coś niebywale podobnego do tego, co widziała chwilę wcześniej na dole. Wiedziała, że to choroba powoli zżera ciało matki, a jednak pomyślała coś zupełnie innego.

Odczekała chwilę i słysząc odkręcany kran, weszła do jej pokoju. Rozejrzała się. Było czysto, ale stopy ubrań rzuconych na stojące przy oknie fotele sprawiały wrażenie ogromnego bałaganu. Matka miała zwyczaj wyciągać codziennie wszystkie posiadane ciuchy i wkładała na siebie ostatnią rzecz, którą znalazła w szafie. Potem przez większość dnia z mozołem układała ubrania, mruczając coś bez przerwy pod nosem. To było jedno z nielicznych zajęć, które pozwalały jej zabić czas. Jeśli trochę lepiej się czuła, szła po zakupy albo kursowała po mieście, by opłacić rachunki. Każdy w innym miejscu: gaz w gazowni w Cieplicach, prąd w kasie głównej zakładu energetycznego, telefon w punkcie obsługi obok Poczty Głównej. Mogła wszystko opłacić w jednym miejscu, w okienku pocztowym. Ale tam pobierano opłatę, kilka złotych od każdego rachunku. A babcia była osobą oszczędną i dlatego kazała córce wędrować z rachunkami. Nie miałyby to sensu, gdyby nie fakt, że mama miała pierwszą grupę inwalidzką i nie płaciła za bilety.

Kasia miała miesięczny i czasem też musiała pielgrzymować z rachunkami. Oszczędność była jedną z obsesji babci. Wciąż powtarzała: *sparen, sparen*. To było pierwsze niemieckie słowo,

którego Kasia się nauczyła. Słyszała je codziennie. Nie wiedziała tylko, dlaczego babcia mówi *sparen*, zamiast oszczędzać. Domyślała się, że niemieckie słowo było krótsze i brzmiało jakoś prościej. Ale oszczędzanie było bardziej naturalne. A może chodziło o coś innego.

Raz w czasie wakacji pojechała z dziadkiem do Niemiec, tych Zachodnich, do Bielefeldu. Mieli tam znajomych, ludzi z wycieczki, którą dziadek prowadził w górach. Mieszkali u nich miesiąc. I niemal codziennie wyłapywała w rozmowach to jedno słowo. *Sparen*. Doszła nawet do wniosku, że oszczędzanie jest niemieckim sportem narodowym. Najważniejszą rzeczą, o której należało myśleć od rana do wieczora. Planując każde działanie, trzeba myśleć, co i jak zaoszczędzić. Wodę, prąd, pieniądze, jedzenie. Wszystko jedno co, byle oszczędzać.

A jednak wizyta w Niemczech nie miała nic wspólnego z oszczędzaniem. Przez cały dzień proponowano jej coś do jedzenia. Ledwie skończyła obiad, a już pytano, czy ma na coś ochotę. Słodycze, lody, frytki. Wróciła z tego wyjazdu o pięć kilogramów cięższa, co szybko zauważyli koleżanki i koledzy. Wyrażali to w złośliwych uwagach. Dopiero wtedy zrozumiała, że też musi oszczędzać – jedzenie.

Na ławie pomiędzy fotelami stała szklanka z niedopitą kawą. W powietrzu Kasia wyczuła zapach papierosów. Matka nie paliła. Przynajmniej oficjalnie. Nie wolno jej było palić z powodu choroby. Dlatego popalała w ukryciu. Chowiała się jak nastolatka, paląc ukradkiem w swoim pokoju albo w toalecie przy otwartym okienku. Kasia wiedziała o tym, ale nie śmiała powiedzieć babci, która krzyczała na mamę za każdym razem, gdy nakryła ją z papierosem. Nie było w tym ani złośliwości, ani przesady. W tym stanie papierosy stawały się jeszcze groźniejsze.

Kasia sięgnęła ręką pod poduszkę. Była pewna, że znajdzie pod nią paczkę zefirów, ulubionych mentolowych papierosów

mamy. Zamiast tego wyczuła coś zimnego i okrągłego. Podniosła poduszkę i zobaczyła opróżnioną do połowy butelkę wódki. Cofnęła dłoń i szybko wyszła z pokoju. Chwyciła plecak i wybiegła do szkoły. Musiała zdążyć na autobus, aby się nie spóźnić na lekcje.

Przez cały dzień zastanawiała się, co zastanie po powrocie do domu. Ale gdy wróciła, wszystko było normalnie, jakby tego ranka nic się nie wydarzyło. Babcia szykowała w kuchni obiad. Zajrzała do pokoju telewizyjnego, który był zarazem pokojem babci. Tapczan stał we wnęce zaraz przy wejściu. Środek dużego pomieszczenia zajmowała niska ława i pięć foteli model Chierowski 366, kupionych po znajomości w sklepie meblowym. Ten na wprost telewizora był zarezerwowany dla babci. Mama siedziała zawsze po jej prawej stronie, a Kasia po lewej. Gdy przychodził wujek, siadał na miejscu mamy, a ona przesuwiała się bliżej telewizora.

W rogu przy ścianie znajdowała się ponemiecka biblioteka pełna starych książek. Większość z nich napisano po niemiecku. Podobno były pozostałością po poprzednich właścicielach domu, Niemcach, którzy wyjechali zaraz po wojnie.

Wujka nie było w pokoju. Sprawdziła jeszcze w stołowym, do którego przechodziło się przez szerokie przejście. Tam też było pusto. Na górze zajrzała do znajdującego się nad telewizyjnym dużego pokoju nazywanego gabinetem. Stało w nim ogromne czarne biurko, a w rogu tapczan. Ale i tam nie było wujka. Mama siedziała jak zwykle u siebie. Zdążyła już ułożyć ciuchy w szafie i teraz zajmowała się głaskaniem kota. Uśmiechnęła się na widok córki i szybko odwróciła głowę do okna.

Kasia zostawiła plecak w swoim pokoju i weszła do łazienki. Zanim odkręciła wodę, spojrzała na półkę z kosmetykami. Oniemiała. Mała buteleczka z perfumami Gabrieli Sabatini miała wyrwany atomizer. Leżał obok razem z cząstkami do manikiuru. Buteleczka była pusta. Wzięła ją do ręki i obejrzała.

Potem przysunęła do nosa. Przez lekki, przyjemny kwiatowy zapach przebijała się woń alkoholu. Wtedy zrozumiała, co się stało.

– Ach tak – powiedziała do siebie.

Zrobiło się jej strasznie przykro. Tak lubiła te perfumy. Przyszły w jednej z zagranicznych paczek. Babcia chciała je oddać do komisju, ale ona ubłagała, aby zostały dla niej. Wszystkie koleżanki jej zazdrościły. Mogły podkradać matkom co najwyżej polskie wody toaletowe, których zapach nie mógł się równać z tymi zagranicznymi.

Odstawiła butelkę i umyła ręce, a potem zeszła na dół. W tygodniu obiad zawsze jadła w kuchni. Najczęściej sama, bo urodziła się w latach wyżu demograficznego i do szkoły chodziła na dwie zmiany. Zdarzało się, że lekcje zaczynały się o pierwszej po południu, a kończyły po siódmej wieczorem. Dlatego rzadko była w domu w zwykłej porze obiadowej.

Babcia postawiła przed nią talerz krupniku. Nie był głodna. Wciąż myślała o tym, co się stało rano. I o perfumach.

– Babciu, wujek już poszedł? – zapytała nieśmiało.

Nie odpowiedziała. Robiła coś przy garnkach i Kasia odniosła wrażenie, że celowo nie chce na nią spojrzeć. Wstała i podeszła do niej. Objęła od tyłu. Wtedy zorientowała się, że babcia płacze.

– Wszystko będzie dobrze, babuniu – powiedziała łagodnie.

– Poszedł – odrzekła krótko. – Jedz zupę, bo wystygnie.

Kasia wróciła do stołu. Tego dnia nikt już nie wspomniał o wujku.

\*

Minęły dwa miesiące. W niedzielę Kasia obudziła się dość wcześnie. W nocy spadł pierwszy śnieg. Przykrył powiezione rośliny i brzydką gruntową drogę prowadzącą do ich domu.



Niestety, to oznaczało kłopoty. Stara škoda miała problem z pokonaniem śliskiego podjazdu do garażu. Już zjechać z górki stanowiło nie lada wyczyn. Samochód tańczył, a na końcu zjazdu musiał skrócić pod kątem prostym w wąską uliczkę.

W drugą stronę było jeszcze gorzej i zazwyczaj auto zostawało kilka dni na ulicy. W takich wypadkach babcia rezygnowała z wyjazdu do Dąbrowicy i jechały autobusem do kościoła parafialnego w centrum miasta. Wujek, który był teraz jedynym kierowcą w rodzinie, doskonale o tym wiedział. Zwykle z samego rana dzwonił do matki, by powiadomić ją, że pojawi się dopiero na obiedzie. Dzwonił też, jeśli nie mógł zawieźć matki i siostry do kościoła. Wtedy babcia posyłała Kasię do jednego z sąsiadów, którzy zgadzali się go zastąpić. Robili to chętnie, bo za taki kurs zawsze wpadało im coś wartościowego. Zagraniczna czekolada, a czasem trochę kawy.

Tego dnia przypadała trzecia rocznica śmierci dziadka i Kasia była pewna, że mimo wszystko pojadą do Dąbrowicy. Babcia zawsze zamawiała mszę w intencji męża i zmarłych z rodziny, pradziadków Kneblowskich i Blamowskich, dalszych krewnych, których nazwisko znała tylko ze słyszenia. Dlatego nie zdziwiła się, gdy schodząc po schodach, zobaczyła przez okno na półpiętrze, jak na biegnącej za domem ulicy zatrzymuje się żółty maluch wujka. Drzwiczki otworzyły się i zwałisty mężczyzna niemal wypadł z samochodu. Z trudem trzymając się na nogach, doszedł do bramki, która była w miejscu, gdzie przed jej urodzeniem zaczynał się ich ogród.

Wujek Staszek stał przez chwilę, walcząc ze znajdującą się od środka zasuwką. Aby ją otworzyć, należało włożyć rękę przez otwór w siatce i odsunąć skobelek, co nie było takie proste. W końcu udało mu się pokonać zabezpieczenie. Minał bramkę i nie zamykając jej, chwiejnym krokiem szedł w kierunku

tylnego wejścia. Wreszcie zniknął jej z oczu. Bez wątplenia to nie śnieg był przyczyną jego dziwnych ruchów.

Usłyszała głośnie walenie do drzwi. Musiał uderzać pięścią. Pies zaczął natychmiast ujadać. Skrzypnęły drzwi pokoju telewizyjnego, a potem kolejne do korytarzyka. Słyszała szurające na schodach kapcie babci, a potem otwieranie zamka. Wiedziała, co będzie się działo. Zbiegła kilka stopni niżej i zatrzymała się przy wejściu.

Babcia bez słowa weszła do przedpokoju. Za nią do korytarza wtoczył się wujek. Stał z błogim uśmiechem na twarzy, patrząc na matkę, która uniosła trzęsące się dłonie. Była przerażona. Dolna szczeka jej drżała.

– Do kościółka pojedziemy, mamusia – powiedział wesoło, wyciągając z kieszeni kurtki papierosy. To była ta sama podarta i brudna kurtka. – Trzeba jechać, bo to rocznica śmierci tatusia przecież. – Wyjął papierosa i zapalił.

Babcia odwróciła się i weszła do swojego pokoju. Wujek spojrział na Kasię i wypuścił chmurę dymu.

– Ubieraj się, gówniario, na co czekasz!

Zachwiał się i gdyby nie ściana, którą miał za plecami, poleciałby jak długi.

Kasia zebrała się na odwagę.

– Nigdzie z tobą nie pojedę, pijaku! – warknęła ze złością, celując w niego palcem. – Jak śmiesz przychodzić tu pijany w takim dniu! – Był od niej sporo wyższy, ale stojąc na czwartym stopniu, patrzyła na niego z góry.

Błogi uśmiech zmienił się najpierw w zaskoczenie, a po chwili w rozbawienie.

– Co?! – huknął swoim donośnym, niskim głosem.

– To, co słyszałeś – mówiła na ty, wciąż celując w niego palcem. – Gdyby dziadek żył...

– To co? – przerwał jej z drwiną. – To co by zrobił?

– Dziadek by nie pozwolił...

– Na co by nie pozwolił, gówniaro? – Znowu nie dał jej skończyć. – Niby na co? – Zaciągnął się papierosem.

– Dziadek by nie pozwolił – mówiła powoli – abys przychodził tu pijany.

– Aaaaa. – Wykrzywił się, przechylając głowę. – Co ty wiesz o dziadku? Nigdy nie widziałaś, jak on pił.

– Kłamiesz! – krzyknęła Kasia. – Dziadek nigdy nie pił! Nigdy...

Wybuch śmiechu Staszka zgasił to, co chciała jeszcze powiedzieć.

– Co ty wiesz o swoim dziadku? – powtórzył, patrząc jej w oczy. – Idź... tam. – Wskazał ręką pokój. – Zajrzyj do biblioteki i sobie poczytaj, co ten Kielar napisał o twoim dziadku. Kim był i co robił...

– Staszek! – Krzyk babci odbił się echem od ścian.

Kasia nigdy nie słyszała, aby babcia podniosła głos. Była chyba tak samo zaskoczona jak wujek. Opuścił rękę z papierosem i patrzył na nią tępym wzrokiem.

– Won! – powiedziała, tym razem spokojnie, ale zdecydowanie, wskazując jednocześnie drzwi wejściowe. – Won, ale najpierw oddaj kluczyki!

Wujek oderwał się od ściany. Patrzył z wściekłością na matkę, aż wreszcie włożył dłoń do kieszeni. Podał jej kluczyki i bez słowa wyszedł.

Zaczekała, aż zamknie za sobą drzwi, odwróciła się i zniknęła w swoim pokoju. Kasia słyszała, jak skrzypnęły drzwiczki biblioteki. Babcia krzątała się chwilę, aż wreszcie musiała otworzyć tapczan i czegoś w nim szukała. Zgrzytnięcie sprężyn obwieściło zamknięcie skrzyni na pościel, w której przechowywała cenne dokumenty, listy, kajet z ważnymi adresami, pieniądze i trochę złota. W końcu pojawiła się w przedpokoju i spojrzała na Kasię.

– Idź po pana Marka. Zapytaj, czy może pojechać z nami do Dąbrowicy – zawahała się jeszcze. – Gdyby nie mógł, powiedz, że dzisiaj jest rocznica śmierci dziadka i... – Chwilę zastanawiała się, co powiedzieć. – On będzie wiedział, co to znaczy – dodała po namyśle.

Kasia narzuciła kurtkę na ramiona i wybiegła. Wujka nie było już przed domem. Nawet ją zdziwiło, jak szybko zniknął.

Piętnaście minut później pan Marek stał na szczycie podjazdu garażu, oceniając, czy leciwa tylnonapędowa stopiątka poradzi sobie z mokrym śniegiem. Uznał, że zaryzykuje. Wyprowadził auto z garażu i jadąc tyłem, ostrożnie zsunął się w stronę ulicy. Poszło mu to nad wyraz sprawnie. Nic dziwnego, był kierowcą zawodowym, na co dzień prowadził dużą ciężarówkę.

Droga upłynęła w ciszy. Babcia jak zwykle siedziała z przodu, a Kasia razem z matką zajmowały swoje stałe miejsca z tyłu.

Wchodząc do kościoła, Kasia widziała jeszcze, że pan Marek zabrał się do sprawdzenia oleju. Zawsze tak robił, aby mieć pretekst do opuszczenia mszy. Zresztą nikt nie miał o to do niego pretensji. Jego zadanie polegało na zawiezieniu ich bezpiecznie na miejsce i z powrotem do domu. Modlitwy w intencji rodziny nie było w umowie.

Tego dnia wujek nie pojawił się na obiedzie. Nie przychodził przez kilka następnych tygodni. Kasia bała się pytać babcię, co się z nim dzieje. I wciąż się zastanawiała, o czym wtedy mówił. Dobrze zapamiętała każde słowo. Wiedziała, co chce zrobić, i czekała na moment, gdy zostanie w domu sama. To nie było takie proste, bo babcia rzadko wychodziła. Jednak wreszcie nadarzyła się okazja. Kasia przeziębila się i babcia zdecydowała, że będzie lepiej, jeśli przez kilka dni poleży w łóżku. A to oznaczało, że w niedzielę zostanie sama.

Pan Marek przyszedł o dziewiątej, aby zabrać mamę i babcię do kościoła. Wiedziała, że ma dwie godziny. Gdy tylko auto

odjechało sprzed domu, zbiegła do pokoju telewizyjnego. Do biblioteki nawet nie zaglądała. Wiedziała, że stoi tam kilkanaście tomów starej encyklopedii, jakieś podręczniki medyczne, które pozostawił lekarz chirurg, pierwszy właściciel domu, niemieckie wydanie Goethego i książki zielarskie. Jej celem był skarbczyk babci.

Najpierw obejrzała dokładnie, jak ułożona jest kapa na tapczanie, starając się zapamiętać każdą fałdę. Potem delikatnie uniosła wieko. Wewnątrz leżał koc. Pamiętała, że pod nim znajdują się skarby. Zawsze gdy prosiła o pieniądze, babcia wypraszała ją na górę, szperała w tapczanie i zjawiała się chwilę później, wręczając jej potrzebną kwotę. Zajrzała pod spód. Równo ułożone pudełka i reklamówki kryły wszystko, co ważne. Rozwinęła pierwszą. Były w niej akty własności domu i jakieś urzędowe pisma. W drugiej listy z zagranicy. Pod nimi leżała mała metalowa kasetka.

O nie – pomyślała. – Oby nie włożyła książki do środka. – Uniosła pudełko i wtedy ją zobaczyła.

Książka z jasną okładką, na której wypisano tytuł i autora. *Anus mundi*, Wiesław Kielar. Pod spodem mniejszym drukiem napisano *Wspomnienia oświęcimskie*. Było jeszcze logo i nazwa wydawcy – Wydawnictwo Literackie, Kraków.

– Tak, wujek powiedział: Kielar. Co to może znaczyć? – wyszeptała, siadając na podłodze. Oparła się o stojące przy ścianie pianino. Otworzyła pierwszą stronę i zaczęła czytać.

Wiesław Kielar opisywał swoje pierwsze dni w obozie koncentracyjnym Auschwitz-Birkenau. Wtedy jeszcze tylko Auschwitz, bo był jednym z pierwszych więźniów. Do obozu przyjechał 14 czerwca tysiąc dziewięćset czterdziestego roku. Miał wtedy dwadzieścia jeden lat. Transport liczył siedmiuset dwudziestu ośmiu więźniów. Każdy otrzymał numer, który odtąd zastąpił imię i nazwisko. Kielar był numerem 290.

*Słodkawy dym – pisze Kielar – zasnuwał całą okolicę. Tymczasem na rampie pracowała w pocie czoła „Kanada”. Oni to przeprowadzali na rampie drugą selekcję, selekcję mienia zagazowanych, pod nadzorem kilku esesmanów. Załadowane kuframi, walizami i torbami auta odjeżdżały jedno po drugim do magazynów mieszczących się w effektenlagrze, gdzie cały ten majątek podlegał dalszej, już tym razem skrupulatnej selekcji.*

*Oto jeden z codziennych obrazów w latach 1942 do końca 1944 w Brzezince, w miejscu, które lekarz SS, Hauptsturmführer Thilo nazwał „odbytnicą świata”. Opinię tę odnotował jego kolega, także lekarz SS, profesor uniwersytetu, doktor medycyny i filozofii, Johann Paul Kremer pod datą 5 września 1942 roku, pisząc dosłownie: „Dziś w południe przy akcji specjalnej obozu kobiecego: coś najokropniejszego z okropności. Hauptsturmführer Thilo, lekarz garnizonowy, miał rację, mówiąc mi dzisiaj, iż znajdujemy się przy anus mundi (odbytnicy świata)”\**.

Hałas przed domem oderwał Kasię od czytania. Była już na pięćdziesiątej piątej stronie i dowiedziała się, jak wyglądały pierwsze dni koszmaru, który Kielar przeżył w Auschwitz.

– Wrócili – powiedziała cicho, a serce zabiło jej mocniej ze strachu.

Szybko odłożyła książkę na miejsce, postawiła na niej kasetkę i przykryła reklamówkami. Potem zaciągnęła koc i zamknęła wieko tapczanu. Robiąc to, słyszała silnik škody wtaczającej się na podjazd. A potem otwierane drzwi i stukanie butów.

Było za późno, aby uciekać na górę. Szybko usiadła w fotelu i chwyciła pilot od telewizora. Przycisnęła zielony guziczek i po kilku sekundach na ekranie oriona pojawił się obraz. W duchu podziękowała za to, że mają tak nowoczesny telewizor. Te,

które były w domach jej koleżanki, nagrzewały się przez kilka minut. A pilot był czymś zupełnie nieosiągalnym.

Poprawiła szybko włosy i zdążyła jeszcze chwycić koc, który położyła sobie na kolanach, gdy drzwi do pokoju się otworzyły.

– Dlaczego nie leżysz? – zapytała Teresa, patrząc jakoś dziwnie.

– Już jestem zmęczona tym leżeniem, babciu – odpowiedziała, uśmiechając się. Dostrzegła, że ta spojrzała z niepokojem na łóżko. Dopiero teraz zdała sobie sprawę, że nie zdążyła poprawić kapy.

– Dzwoniłam do Marzenki, aby dopytać, co jeszcze trzeba zrobić do szkoły, i pomyślałam, że pooglądam trochę telewizję.

To wyjaśnienie najwidoczniej zadziało. Telefon stał na małym stoliku przy tapczanie i telefonując, musiała na nim usiąść.

– Dobrze się czujesz? – Babcia spojrzała na nią z uśmiechem.

– Tak, o wiele lepiej. Może jutro bym już poszła do szkoły?

– Jeśli chcesz... – Zdjęła płaszcz i wychodząc do przedpokoju, mówiła dalej: – Idź, ubierz się. Za godzinę obiad. A potem obejrzymy nasz ulubiony serial.

Kasia zerwała się z fotela i pobiegła na górę. Reszta popołudnia minęła zupełnie normalnie. Prawie normalnie. Po obiedzie oglądały telewizję i zjadły ciasto. Około siódmej pojawił się wujek. Był trzeźwy. Ani słowem nie wspomniał o kłótni. Babcia też do niej nie wracała. W ogóle niewiele rozmawiano.

Babcia oddała wujkowi kluczyki do malucha, który przez cały czas stał za domem. Trochę w nim grzebał, musiał naładować akumulator, który po takim czasie odmówił współpracy. Potem siedzieli jeszcze przed telewizorem i razem zjedli kolację. Po dzienniku telewizyjnym pożegnał się jakby nigdy nic i pojechał.

Następnego dnia Kasia już na pierwszej przerwie pobiegła do szkolnej biblioteki. Bibliotekarka zdziwiła się, że pyta o taką

lekturę. Niestety, tej książki nie było, ale zaproponowała jej *Medaliony* Zofii Nałkowskiej, które były lekturą szkolną. Kasia wymówiła się, bo *Medaliony* już przeczytała i chciała dowiedzieć się czegoś więcej. Kobieta poradziła, aby zajrzała do biblioteki miejskiej. Tak zrobiła. Wracając ze szkoły, wysiadła jeden przystanek dalej. Wypożyczyła książkę i wróciła do domu. Zjadła szybko obiad i pod pozorem odrobienia lekcji uciekła do swojego pokoju. Na wszelki wypadek, gdyby babcia nagle weszła, obłożyła się kilkoma podręcznikami szkolnymi i zabrała się do dalszego czytania wspomnień Wiesława Kielara. Prędko przebiegała wzrokiem kolejne strony. Zanim się obejrzała, usłyszała dzwonek wzywający na kolację.

Przeczytanie całej książki zajęło jej trzy popołudnia. Nie było w niej nic, co mogło łączyć obóz koncentracyjny z dziadkiem. Jeszcze raz przewertowała wszystkie kartki, uważnie czytając nazwiska więźniów. Nie było wśród nich żadnego Żołnierowicza. Pomyślała, że musi jeszcze raz dokładnie przeczytać całą książkę. Zajęło to kilka następnych dni.

Tym razem także nie natknęła się na żaden trop. Nic. Kompletnie nic nie łączyło dziadka z obozem Auschwitz ani z Kielarem. Odczekała jeszcze jakiś czas i pomyślała, że spróbuje w inny sposób.

– Babciu – zapytała którejs niedzieli. – O co wujkowi chodziło z tą książką?

– Z jaką książką? – Babcia wzdrygnęła się i ukradkiem zerknęła na swoją kanapę.

– Wtedy, gdy tak się zdenerwowałeś. Gdy wujek był pijany.

– Nie wiem – odpowiedziała po chwili, wpatrując się w telewizor.

Kasia zauważyła jednak, że zrobiła się czerwona i zaczęła głęboko oddychać.

– Przeczytałam *Anus mundi* – powiedziała, patrząc uważnie w twarz babci.



Ta chwilę milczała, wciąż głęboko oddychając. Wreszcie odezwała się, ale miała jakiś dziwny głos.

– Grzebałaś w moich rzeczach.

Westchnęła i spojrzała na wnuczkę.

– Nie! – zaprzeczyła szybko Kasia. – Wypożyczyłam z biblioteki. Mam na górze u siebie w pokoju. Przeczytałam, ale tam nie ma nic o dziadku.

Babcia nie odpowiedziała. Przez kilka minut wpatrywała się we wnuczkę, co jakiś czas otwierając usta, jakby chciała zacząć mówić. W końcu sięgnęła po stojącą przed nią szklankę herbaty i wypila łyk.

– Ja nie wiem, co sobie Staszek ubzdurał – powiedziała bez przekonania. – Za dużo pije. Kłócił się z ojcem i teraz wygaduje jakieś bzdury. Nie wiem nawet, skąd ta książka się u nas wzięła. Dziadek kiedyś chyba od kogoś dostał.

– Babciu, a co wy robiliście w czasie wojny? – Uznała, że zacznie od innej strony.

– My? – zapytała babcia, wyraźnie zaskoczona tym pytaniem.

– Tak, gdzie mieszkaliście w czasie wojny? Co się wtedy działo?

– To było tak dawno. Już niewiele pamiętam. – Machnęła lekceważąco ręką. – Mieszkaliśmy na wsi koło Wąsosza. W aptece pracowałam. Zresztą daj mi już spokój, niewiele pamiętam, stara jestem.

– Nie jesteś stara. Nie masz jeszcze siedemdziesięciu lat.

– Jak będziesz w tym wieku, to zobaczysz, ile będziesz pamiętać – powiedziała ze zniecierpliwieniem i ponownie napiła się herbaty.

Kasia kiwnęła głową, potwierdzając, że przyjmuje wyjaśnienie. Reakcja babci upewniła ją jednak, że jest jakaś rodzinna tajemnica, której nie chce wyjawić. Zamierzała w inny sposób dowiedzieć się czegoś więcej.

Jakiś czas później przy okazji wyjazdu do kościoła, gdy została z wujkiem na chwilę sama, zapytała, o co mu wtedy chodziło. Wzruszył ramionami, mówiąc, że nie pamięta, co wtedy powiedział. Ona pamiętała każde słowo. Przypomniała mu. Zmieszał się i natychmiast wyjął papierosa. Powtórzyła pytanie, ale udawał, że coś musiała pokręcić. W końcu, patrząc mu prosto w oczy, powiedziała:

– Przeczytałam tę książkę.

Nie wspomniała jednak, że nic w niej nie znalazła. Na jego twarzy było widać zaskoczenie mieszające się ze strachem. Mimo to nadal milczał. To jeszcze raz potwierdziło przypuszczenie. Babcia i wujek coś ukrywali.

Nie dała za wygraną. Przy najbliższej okazji zaczęła przeszukiwać dokumenty w tapczanie babci. Znalazła świadectwa szkolne sprzed wojny. Napisano na nich Hildegarda Kneblowska. W pierwszej chwili pomyślała, że to ktoś z rodziny babci. Ale poza nazwiskiem były na nich też zdjęcia uczennicy w białej bluzce. Bez wątpienia była to jej babcia. Ale Hildegarda? Tego nie mogła zrozumieć. Przypuszczała tylko, że imię Hildegarda było niemieckie. Więc może po wojnie babcia nie chciała go nosić i zmieniła. Przy okazji dowiedziała się, że wcale nie była wzorową uczennicą. Miała oceny dostateczne i dobre. Bardzo dobry tylko z religii. Były też metryki urodzenia i akty zgonu członków rodziny. Sporo papierów, ale nic nie zwróciło jej uwagi.

Wreszcie w jednej z reklamówek trafiła na plik listów. Niektóre z zagranicy. Te z Niemiec odłożyła na bok. Znała większość nazwisk na kopertach. I tak nie mogła ich przeczytać, bo dopiero zaczęła się uczyć niemieckiego i znała ledwie podstawowe zwroty.

Były też koperty z Wiednia od jakiejś Camili Wenzl. Wiedziała, że wujek kilka razy wyjeżdżał do Austrii pracować przy zbiorze winogron. Domyśliła się, że pewnie do tej kobiety.

Przypomniała sobie, że kiedyś w święta dziadek też opowiadał o tym, jak był w Wiedniu. I zdaje się, że padło wtedy imię Camila. Te listy również napisano po niemiecku i nic z nich nie rozumiała. Uznała, że to jeszcze jedna rodzina, z którą dziadek nawiązał kontakt w górach.

Wreszcie natknęła się na kilka dziwnie wyglądających listów z Australii. Były sprzed wielu lat. Napisano je na niebieskim papierze, który po złożeniu i zaklejeniu sam stawał się kopertą. Wokół brzegów znajdowały się czerwone paski, a na środku widniał napis par avion. Wiedziała, że to poczta lotnicza. Zaczęła się zastanawiać, kto z Australii może korespondować z babcią. Właściwie to z dziadkiem, bo adresatem przesyłek był Bronisław Żołnierowicz. Te listy także były napisane po niemiecku. To ją zaskoczyło, bo wiedziała, że przecież w Australii mówiono po angielsku. Tyle że nikt w ich rodzinie nie znał tego języka. Nadawca, niejaka Berta Lubusch, musiała o tym wiedzieć, i pewnie dlatego pisała po niemiecku. To miało sens. Ale kim była Berta Lubusch?

Był jeszcze jeden list z Australii, wyraźnie napisany innym charakterem pisma. Wysłany w styczniu tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego piątego przez Hedwig Hawlik. Ale ten, jeden jedyny, był po polsku. Kobieta pisała, zwracając się do dziadka „drogi bracie”. Prosiła o pomoc, bo w Boże Narodzenie w Darwin uderzył cyklon tropikalny. Zniszczył niemal całe miasto. Osiemdziesiąt procent domów zniknęło, większość mieszkańców była bez dachu nad głową. Prosiła dziadka, aby teraz on pomógł swojej siostrze i matce Bercie, bo one nie mają domu.

Kasia poczuła ukłucie. To oznaczało, że owa Berta Lubusch jest matką Bronisława Żołnierowicza. A ta Hedwig, podpisująca się na końcu listu Jadwiga, to jego siostra. Być może wyszła za jakiegoś Hawlika i przyjęła jego nazwisko. I wtedy przypomniała sobie, że gdzieś już trafiła na nazwisko Lubusch.

Tak, to było w książce Kielara. Szybko wyjęła tę, która nadal znajdowała się w tapczanie, i zaczęła kartkować. Znalazła.

*Zjawił się w końcu Edek. Był trochę wymizerowany parodniowym pobytem w bunkrze. Miał szczęście. Nie poszedł na rozwałkę ani do karnej kompanii. Natomiast znalazł się w grupie fachowców i jako instalator został przeniesiony do Birkenau na odcinek D męskiego obozu. Na bloku 4 zamieszkiwali sami wytrawni kombinatorzy spośród instalatorów, szklarzy, dekarzy, ślusarzy, elektryków itp., dotychczas dochodzący z głównego obozu. Jego kommandoführerem był nadal rottenführer Lubusch, zarazem szef ślusarni w Oświęcimiu. Lubuscha znałem jeszcze jako blockführera z 1940 roku. Był zbyt łagodny, toteż długo się nie utrzymał na tym stanowisku. Popadł nawet w kolizję z władzami, skutkiem czego dostał się na parę miesięcy do Breslau czy Stutthofu. W specjalnym obozie karnym dla SS miano go nauczyć odpowiedniego traktowania więźniów obozów koncentracyjnych. Skutek – jak się okazało – był wprost przeciwny. Nie tylko że się nie zmienił w stosunku do więźniów, ale szedł im jeszcze bardziej na rękę. Był jednak teraz ostrożniejszy i lepiej się maskował. W naszych planach uwzględnialiśmy go jako człowieka, na którego można by liczyć.*

Kilkadziesiąt stron dalej Kasia odnalazła kolejną wzmiankę. Lubusch obiecał dostarczyć mundur SS w zamian za dwieście dolarów. Potrzebował tych pieniędzy, bo miał jakieś trudności. Dostarczył. Przekazał też szykującym ucieczkę więźniom broń, pistolet z dwoma nabojami. Ucieczka się powiodła. Młody chłopak Edek Galiński uciekł z obozu w przebraniu esesmana. Wyszedł przez główną bramę, prowadząc przed sobą Żydówkę

Małą Zimetbaum. Niestety, wkrótce zostali złapani i po przesłuchaniach powieszani na placu apelowym.

I nagle szybko zaczęła łączyć kolejne elementy układanki. Dziadek miał w piwnicy warsztat i wciąż majsterkował. Mówił doskonale po niemiecku. Zawsze gdy chcieli z babcią porozmawiać o czymś ważnym, mówili po niemiecku, bo ani mama, ani ona nic nie rozumiały.

Wszystko zaczęło do siebie pasować. Jej dziadek nazywał się Eduard Lubusch. Był esesmanem w obozie koncentracyjnym w Auschwitz.

Przypomniała sobie żart, który jeden z kolegów opowiadał w szkole podczas przerwy. Po lekcji historii, na której mówili o obozach koncentracyjnych, zaczął udawać, że wyrywa się do odpowiedzi. Wołał: „Proszę pani, mój dziadek też zginął w Auschwitz, spadł z wieżyczki obserwacyjnej”. Wtedy wszyscy się z tego śmiali, ale teraz wcale nie było jej wesoło. To było coś, czym z pewnością nie chciała się z nikim dzielić. Zrozumiała, dlaczego babcia udaje, że nic nie pamięta.

Odłożyła wszystko na miejsce i wróciła do swojego pokoju. Tego wieczoru nie zeszła już na dół. Powiedziała, że bardzo boli ją brzuch. Co zresztą było zgodne z prawdą. Po tym, co odkryła, zrobiło jej się niedobrze.

Minął rok, zanim Kasia podjęła kolejną próbę rozmowy z babcią. Miała już szesnaście lat i zaczęła coraz częściej włączać się w sprawy domu. Rozmawiała z lekarzami mamy, regularnie opłacała rachunki i robiła zakupy. Jesienią mama jak co roku była kilka tygodni w szpitalu. Odwiedzały ją z babcią niemal codziennie. W niedziele jak zwykle jeździły z wujkiem do kościoła, a po obiedzie do mamy do szpitala.

Ta niedziela była taka jak wszystkie inne. Po powrocie z kościoła usiedli do obiadu. Gdy babcia podała kawę i ciasto, a wujek, wpatrując się w telewizor, zapalił papierosa, zebrała się na odwagę.

– Może mi w końcu powiecie, kim był Eduard Lubusch?

Babcia wypuściła z rąk widelczyk do ciasta. Odbił się od stołu i upadł na podłogę. Schyliła się i trzęsącą dłonią próbowała go podnieść. Kasia była szybsza. Sięgnęła pod stół, chwyciła widelczyk i wtedy spojrzała babci prosto w oczy. Były białe z przerażenia. Kobieta wyprostowała się i oparła ciężko o oparcie fotela. Wujek nawet nie drgnął. Trzymał dymiącego papierosa i czekał, co się stanie. Cisza trwała kilka bardzo długich minut.

– Zostaw to, gówniario – powiedział w końcu.

– Bo co? – odparowała zaczepnie. – Myślicie, że nie wiem? Niewiele wtedy powiedziałaś. Niby nic, ale wystarczyło. Przeczytałam książkę. A potem odkryłam, że dziadek miał matkę, Bertę Lubusch.

– Berta była żoną Eduarda – odpowiedziała babcia bez namysłu. – To byli znajomi. Dziadek im pomagał.

– Aż tak głupia nie jestem. Hedwig Hawlik pisała w liście, aby dziadek zajął się swoją siostrą i matką. Wyjechały do Australii? A kim jest ta Camila Wenzl? To do niej jeździłeś na winobranie?  
– zwróciła się do wujka.

– Powtarzam, zostaw to. Biedy nam napytasz. – Zaciągnął się papierosem.

– Jakiej biedy? Dziadek nie żyje. Ten Kielar napisał, że był dobry dla więźniów. Dostarczył mundur i broń. Pomógł w ucieczce. Powinien dostać medal. – Kątem oka dostrzegła, że babcia robi się blada. – Babciu?

– Ja... – zająknęła się. – Ja nie wiem, po co ci to.

– Jak to: po co? Chcę wiedzieć... – przerwała.

Babcia była biała jak ściana. Usta miała sine. Nagle jej ręce osunęły się, a głowa opadła w dół.

– Babciu! – Kasia rzuciła się do niej.

– Kurwa mać, patrz, coś narobiła, gówniario! – Wujek zerwał się z fotela i chwycił słuchawkę telefonu. Zaczął szybko

wykręcać na tarczy cyfry.

Kasia uniosła głowę babci i zaczęła ją klepać po policzkach. Staruszka po chwili otworzyła oczy. Dziewczyna podała jej szklanekę z herbatą. Teresa wypła mały łyk.

Wujek szybko mówił do słuchawki. Podał adres i informację o zasłabnięciu. Powtórzył jeszcze kilka razy słowo: prędko.

Babcia ciężko oddychała. Była blada. Wargi i ręce drżały, a pusty wzrok krążył po pokoju, szukając jakiejś pomocy. W końcu dostrzegła syna.

– Stasiu, pomóż.

– Już dobrze, mam, wszystko dobrze. – Chwycił ją za rękę i przesunął się tak, że odepchnął Kasię na bok. – Rusz się! – warknął, nie patrząc. – Idź na ulicę i czekaj na karetkę.

Dziewczyna pobiegła na korytarz i narzuciła na ramiona kurtkę. Wyszła przed dom. Chmury zasnuły szczelnie niebo. Pierwsze silne podmuchy wiatru zapowiadały nadciągającą nawałnicę. Powietrze było chłodne i wilgotne. Zapach gnijących liści, które przykryły cały ogród przed domem, oblepiał okolicę. Targane wiatrem gołe drzewa rzucały wątłe cienie. Zaczynało zmierzchać.

Minęło piętnaście minut, gdy na końcu ulicy pojawiła się kremowa nyska z błyskającym na dachu niebieskim światłem. Kasia uniosła rękę i pomachała. Auto przyspieszyło. Wreszcie zatrzymało się przed bramą. Lekarz w białym fartuchu narzuconym na ramiona wysiadł i nie odzywając się ani słowem, wszedł przez bramkę. W ślad za nim podążał pielęgniarz. Kasia wyprzedziła ich na podjeździe, wbiegła po schodach i otworzyła drzwi.

Babcia leżała na tapczanie. Lekarz zmierzył jej ciśnienie, osłuchał serce i zbadał puls. Potem kiwnął głową na pielęgniarza, który zrozumiał, o co chodzi, i wyszedł. Po chwili pojawił się razem z kierowcą. Wnieśli do pokoju nosze. Kasia na ten widok poczuła, że nogi się pod nią uginają.

Wujek wyszedł zaraz po odjeździe karetki. Zdążył jeszcze powiedzieć kilka ostrzych słów na temat wtykania nosa w nie swoje sprawy. I obwinić Kasię za to, co się stało. Przy okazji nie zapomniał zapytać, czy ona ma świadomość, jakie mogą być konsekwencje.

Nie była pewna, o jakie konsekwencje pytał. Bała się myśleć, że coś może stać się babci. Mama nie była w stanie poradzić sobie z domem. Sama wymagała opieki i pomocy w wielu sprawach. A ona? Miała ledwie szesnaście lat. To za mało, aby dać radę opiekować się chorą matką i babcią. A może wujek myślał o konsekwencjach ujawnienia przeszłości dziadka? Tego zupełnie nie rozumiała. Był dobrym człowiekiem. Pomagał. Dostarczył mundur i broń. Dzięki niemu powiodła się ucieczka z obozu. A skoro zrobił coś takiego, to pewnie musiał robić o wiele więcej. Nie miał się czego bać. A nawet mógł liczyć na nagrodę. Wierzyła w to, i dziadek, którego bardzo jej brakowało, teraz był dla niej nie tylko ukochanym dziadkiem, ale i bohaterem.

\*

Minęło sześć lat, zanim Kasia zobaczyła obóz. Przez cały ten czas w rozmowach z babcią ani razu nie wróciła do rodzinnej tajemnicy. Gdy w telewizji pokazywano wojenny film albo program o historii obozów zagłady, sama zmieniała program. Babcia nie odzywała się, ale widać było, że przyjmuje to z ulgą. A ona ukradkiem czytała wszystko, co wpadło jej w ręce. Ale nigdzie więcej nie natknęła się na nazwisko Lubusch.

Wujek tylko raz rozmawiał z nią o dziadku. Rozgadał się w końcu. Opowiedział wszystko o tym, co działo się w czasie wojny i po niej. O obozie, o tym, jak dziadek uciekł i jak rodzina tułała się, ukrywając się po wsiach. I jak trafili do Jeleniej Góry. Zastrzegł jednak, że nie wolno jej komukolwiek o tym mówić.



Nie było pewności, jak władze mogły zareagować. Dziadek już nie żył, ale nie wykluczał, że rodzina może mieć z tego powodu spore nieprzyjemności.

Wielkanoc w tym roku przyszła dość wcześnie. Drzewa dopiero zaczynały się zielenić. Kilka dni po świętach Kasia wykorzystwała okazję i wracając z firmowego szkolenia w Rabce, pojechała do Oświęcimia. Prawdę mówiąc, nie planowała tego. Po prostu jadąc nową drogą łączącą Kraków z Katowicami, zobaczyła drogowskaz. Pomyślała, że dwadzieścia kilometrów to niewiele, dosłownie na wyciągnięcie ręki. Coś ją ciągnęło, aby zobaczyć miejsce, które wywarło piętno na całej rodzinie.

Zatrzymała samochód na parkingu przed muzeum. Był ładny wiosenny dzień. Słońce świeciło wysoko, ale czuło się jeszcze chłód. Weszła do budynku z czerwonej cegły. Wewnątrz kręciło się ledwie kilka osób. Pora nie sprzyjała na przyjazdy wycieczek.

Kupiła bilet i wyszła na zewnątrz. Po lewej wzdłuż placu stały drewniane baraki. Po prawej za drutami kolczastymi rozpiętymi na wygiętych betonowych słupach dostrzegła niskie budynki z kominami. Na wprost, w oddali stała wieża strażnicza z rzędem małych okienek.

Ruszyła szutrową alejką, przyglądając się kominom. Jeden, dwa, trzy... Naliczyła dwanaście. Skręciła w prawo, minęła starą brzozę i przeszła pod łukiem bramy z napisem *Arbeit macht frei*. Zatrzymała się na chwilę, przyglądając się liniom ogrodzenia z drutu kolczastego. Tabliczki z trupią czaszką informowały o niebezpieczeństwie. Z bijącym sercem ruszyła dalej, wciąż patrząc na kominy. Dopiero za zakrętem odczytała napis na tablicy. To była obozowa kuchnia. A miejsce, w którym teraz stała, stanowiło centralny punkt placu apelowego. Tu wykonywano egzekucje, tu godzinami trzymano więźniów na słońcu albo na mrozie. Wielu z nich skończyło tu życie. Nie miała pojęcia ilu. Może stu, może kilka tysięcy.

Cofnęła się ze strachem. Weszła do pierwszego budynku, który miała za plecami. Zaczęła oglądać sale więźniów. Patrzyła na prycze, na których spało po kilka osób. Widziała umywalnie przypominające bardziej obory niż miejsca, z których korzystali ludzie. Idąc za innymi zwiedzającymi, weszła do następnego murowanego bloku. Zobaczyła stosy walizek, ubrań, sztucznych szczęk, kul ortopedycznych i lasek. Góry włosów, grzebieni, butów. I całą stertę metalowych puszek z napisem „Cyklon B”. Były zdjęcia oficerów w mundurach SS. Długo przyglądała im się z obawą, że zobaczy wśród nich swojego dziadka. Nie znalazła. Chodziła po korytarzach kolejnych bloków, oglądając przerażające dowody ludobójstwa. Wreszcie znalazła się w bloku 11.

Przy samym wejściu, za oszklonymi drzwiami, znajdowało się niewielkie pomieszczenie. Stał w nim stół, leżanka i stołek. Przeczytała, że w tym miejscu niezdolnych do pracy, wycieńczonych więźniów po diagnozie lekarskiej szpilowano, czyli dobijano zastrzykiem fenolu w serce. Zwłoki wynoszono do pokoju po drugiej stronie korytarza. Tam czekały na wywiezienie do krematorium. Zeszła do piwnicy. Na tabliczce zapisano, że w jednej z cel dokonano pierwszego zagazowania cyklonem sowieckich więźniów. Tuż obok znajdowała się cela głodowa, w której zginął ojciec Maksymilian Kolbe. Oddał życie za innego więźnia.

Zrobiło jej się niedobrze. Wyszła na zewnątrz i oparła się o ścianę, łapczywie wciągając do płuc zimne powietrze. Nie była w stanie już nic więcej oglądać. Miała dość. Minęła wejście na plac pomiędzy blokami 10 i 11. Na jego końcu znajdowała się „ściana śmierci”. Nie chciała do niej podchodzić. Chciała stąd jak najprędzej wyjść. Zapomnieć, że kiedykolwiek tu była. Wymazać z pamięci wszystko, co łączyło jej rodzinę z tym miejscem. Nie chciała już szukać dowodów na bohaterstwo

dziadka. Nagle poczuła wstyd. Był tu i pomógł zaledwie kilku osobom. Dlaczego tu się znalazł? Dlaczego został? Po co?

W budynku kas był teraz tłok. Kilka wycieczek stłoczyło się przy małym bufecie. Kasia przepchnęła się i kupiła butelkę wody. Opadła na stojącą pod oknem ławkę i zamknęła oczy. Wolałaby się napić czegoś mocniejszego niż woda.

Siedziała długo, powtarzając te same pytania. Minęło chyba pół godziny, zanim się uspokoiła. Wstała i chciała już wyjść, gdy zauważyła sklepik z książkami.

Podeszła do niskiego kontuaru i zaczęła przeglądać albumy. Ludzie i ich historie. Życie, które zakończyło się właśnie tu. Przewracała kartki, przyglądając się fotografiom. I nagle zamarła. Na czarnej stronie umieszczono trzy zdjęcia. Na dwóch byli pozujący ludzie. Typowe fotografie z rodzinnych albumów. Na trzeciej kobieta w ślubnej sukni i młody mężczyzna w eleganckiej marynarce uśmiechali się radośnie, spoglądając gdzieś w górę. Ona miała blond włosy i welon, on błyszczącą fryzurę. Róg zdjęcia, właściwie cały fragment, był wyrwany. Tak jakby usunięto kogoś, kto stał za młodą parą. Pod spodem widniał napis: fotografia nieznanymi ludźmi zamordowanych w obozie zagłady Auschwitz-Birkenau.

Kasia poczuła ucisk w gardle. Nie mogła złapać powietrza. Łzy popłynęły jej po policzkach. Stała jak sparaliżowana, nie mogąc się ruszyć.

– Coś się stało? – Sprzedawczyni podeszła do lady, wpatrując się w twarz Kasi.

Otworzyła usta i chciała coś powiedzieć, ale nie była w stanie. Kobieta spojrzała na album i jeszcze raz na nią.

– To ktoś z rodziny?

Kasia skinęła głową.

– Proszę poczekać – powiedziała, podając jej chusteczkę, i złapała za słuchawkę stojącego z boku telefonu. Wykręciła na tarczy numer i przyłożyła słuchawkę do ucha. – Panie

dyrektorze – powiedziała zdecydowanym tonem. – Proszę do mnie szybko przyjść.

Kasia stała, wciąż wpatrując się w album. Minęło kilka minut, gdy przy ladzie stanął niewysoki mężczyzna w podeszłym wieku.

– Co się stało, pani Helenko?

– Ta pani, panie dyrektorze – wskazała na Kasię, która wciąż stała w bezruchu, trzymając otwarty album – rozpoznała ludzi ze zdjęcia.

– Naprawdę? – Mężczyzna spojrział na książkę. – Nazywam się Kazimierz Smoleń. Byłem dyrektorem muzeum. To dla nas bardzo cenna informacja. Mamy wiele zdjęć więźniów...

– Oni nie byli więźniami – przerwała Kasia prawie szeptem. Jej dłoń dotknęła strony albumu. – Ja mam to zdjęcie w domu. Tak samo urwane. Stoi u nas na telewizorze. To ślubne zdjęcie moich dziadków.

– Nie byli więźniami? – Dyrektor zmarszczył brwi.

– Mój dziadek nazywał się Eduard Lubusch. A później Bronisław Żołnierowicz.

– Co?! Jest pani wnuczką Lubuscha?! – wykrzyknął z niedowierzaniem.

– Tak, esesman Lubusch był moim dziadkiem. Zmarł dwanaście lat temu.

– Niemożliwe! Zaraz, zaraz. Proszę ze mną. – Chwycił Kasię pod ramię i pociągnął. – Chodźmy, musi mi pani wszystko opowiedzieć. To absolutna rewelacja.

Przeszli przez bramę obozu i skręcili w lewo. Alejka wiodła pomiędzy murowanymi budynkami. Przy drugim ceglany blok znowu skręcili w lewo i weszli do środka. Na pierwszym piętrze dyrektor, nie pukając, nacisnął klamkę i wprowadził Kasię do pokoju. Przy oknie, za biurkiem, siedział mężczyzna o okrągłej twarzy i jasnych, prostych włosach. Miał na nosie

okulary. Widząc wchodzących, oderwał się od maszyny do pisania i powoli wstał.

– Adasiu, zobacz, kogo ci przyprowadziłem. A właściwie nie zapytałem, jak pani się nazywa. – Dyrektor uśmiechnął się z zakłopotaniem. – To jest doktor Adam Cyra, jeden z naszych pracowników naukowych.

Cyra zdjął okulary i podał Kasi rękę.

– Nazywam się Katarzyna Dulęba.

– Pani mówi, że jest wnuczką Lubuscha.

– O! Mój Boże! Lubuscha. Lubusch pomógł w ucieczce Edka Galińskiego i Mali Zimetbaum.

– Tak wiem, ale ich złapali. A potem zamordowali.

– Rzeczywiście. Ja badam tę historię od lat. Napisałem kilka artykułów. Szukałem też informacji o Lubuschu, znalazłem kilku ludzi, którzy go znali. Ale z tego, co wiem, zginął gdzieś na froncie wschodnim. Nie wiedziałem, że miał dzieci – mówił wyraźnie podekscytowany, choć słowa wypowiadał bardzo wolno.

– Nie zginął.

– Jak to? – powiedział, unosząc brwi ze zdziwienia. – Proszę usiąść. Ale zaraz. Niech pani nic nie mówi. Chwileczkę. – Podeszedł do szafy i wyjął magnetofon reporterski. Postawił na stole i włożył do środka kasetę. Nacisnął czerwony przycisk i zaczął mówić: – Zapis rozmowy z Katarzyną Dulębą, wnuczką rotenführera SS Eduarda Lubuscha, kierownika obozowej ślusarni. – Przesunął magnetofon w jej stronę. – Proszę mówić.

– Mój dziadek miał przybrane nazwisko. Nazywał się Bronisław Żołnierowicz, mieszkał w Jeleniej Górze, był pilotem zagranicznych wycieczek. Zmarł w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym czwartym roku.

Mówiła długo. Wszystko, co pamiętała. Jaki był dziadek, jak wyglądał, jak się zachowywał. O tym, że zawsze rozmawiał z babcią po niemiecku, gdy mieli coś ważnego do omówienia.

Powiedziała też o wszystkim, co usłyszała od wujka. Po schwytaniu Edka i Mali Lubusch bał się, że wsypią go podczas przesłuchania. To wtedy miał uciec i wstąpić do partyzantki. W niemieckim mundurze, teraz Wehrmachtu, zatrzymywał do kontroli samochody, które rabowali partyzanci. Jego żona mieszkała z synem w Kętach. I tam go złapano, bo dom był pod obserwacją. Rodzina babci zapłaciła komuś spore pieniądze, ratując go od wyroku śmierci. Mimo to został przewieziony do Berlina i tam kilka miesięcy spędził w wilgotnej celi. To wtedy nabawił się choroby płuc. Gdy Armia Czerwona zdobywała stolicę Rzeszy, został wcielony do Volkssturmu. Podobno spalił nawet jakieś ruskie czołgi. A potem zdjął z zabitego żołnierza mundur, zabrał jego dokumenty i wrócił do Polski, używając jego nazwiska.

Najpierw wyjechali do Gdańska. Pracował tam jako ślusarz, ale ktoś go rozpoznał i musieli uciekać. Zamieszkali na wsi, w Wąsoszu. Babcia zrobiła kurs aptekarski, a on pracował jako robotnik. Naprawiał wozy, pługi. Co mu w ręce wpadło. Wreszcie pradziadkowie Kneblowscy kupili dla córki dom w Jeleniej Górze. Babcia pracowała w spółdzielni spożywców, a dziadek przez kilka lat prowadził skład warzyw i owoców. Później był kierownikiem administracyjnym w geodezji, a po przejściu na emeryturę został pilotem wycieczek. Przypadkowo. Pewnego razu wybrali się z babcią na wycieczkę do Gniezna. Przysłuchiwali się, jak przewodnik, kalecząc niemiecki, przedstawiał turystom fakty z historii. Dziadek nie wytrzymał i zaczął tłumaczyć. Mężczyzna polecił mu, aby się zgłosił do Orbisu, bo tam potrzebują ludzi znających język. Posłuchał. Przyjęli go od razu.

Przez kilka lat jeździł z wycieczkami po Kotlinie Jeleniogórskiej. Wyjeżdżał za granicę: do Lwowa, Pragi, Wiednia, a nawet Niemiec Zachodnich. Zmarł w osiemdziesiątym czwartym.

Cyra dopytywał jeszcze o babcię, licząc, że może zdecyduje się coś powiedzieć. Niestety, była już w domu opieki, w stanie bez kontaktu. Potem przyniósł z archiwum rewersy Lubuscha, na których spisano relacje więźniów. Kilkanaście wpisów.

Pierwsza wzmianka pochodziła z lutego czterdziestego pierwszego roku. Miał wtedy pracować jako telefonista. Stanisław Trynka wspominał, że od końca czterdziestego pierwszego do czterdziestego trzeciego Lubusch, syn położnej z Bielska, był kierownikiem ślusarni. Przeniesiony, ale brakowało informacji dokąd. Inny więzień twierdził, że kierownikiem ślusarni został dopiero pod koniec czterdziestego drugiego, wcześniej był zastępcą.

Ludwik Piotrowski zapamiętał, że chciał zbiec, został schwytany i rozstrzelany. Wcześniej za jego pośrednictwem Stanisław Wachała wysyłał paczki do żony, więźniarki w obozie w Ravensbrück.

Artur Krzetuski opowiedział historię o tym, jak ktoś odkrył kryjówkę, w której więźniowie trzymali kiełbasę, i zaczął im ją podbierać. Podejrzewali, że to robota jakiegoś więźnia. A kradzież jedzenia traktowano jako poważne przestępstwo. Zastawili pułapkę, licząc, że schwytają złodzieja. Nad szafką zamontowali puszkę pełną starego oleju i ciężno, które uwalniało zawartość na tego, kto otworzy drzwiczki. Udało się. Ku zaskoczeniu rabusiem okazał się esesman Lubusch. Wszedł do warsztatu cały umazany olejem, śmiejąc się na cały głos: „Dostaliście mnie”. A potem zwrócił tyle kiełbasy, ile zwinął przez kilka dni. Zresztą wciąż dostarczał zaopatrzenie: kiełbasę, słoninę i chleb.

Czesław Lenczowski relacjonował, że w czterdziestym czwartym Lubuscha wysłano na front wschodni. W przeddzień wyjazdu zorganizował pożegnanie. Postawił zaprzyjaźnionym więźniom wódkę i zulagę, dodatkowe jedzenie w postaci kiełbasy. Upił się wtedy i śpiewał polski hymn. Gdy nie było

w pobliżu innych esesmanów, mówił po polsku. Język polski znał tak samo dobrze jak niemiecki. Było też kilka wpisów, że pomagał, przynosił jedzenie.

– A to? – zapytała Kasia, unosząc mały, pożółkły kartonik. Napisano na nim kaligraficznym pismem krótkie zdanie: Lubusch, kierownik ślusarni, bił więźniów.

Cyra wziął do ręki kartkę. Przeczytał uważnie i uśmiechnął się.

– To naprawdę nic nie znaczy. Musiał bić albo przynajmniej udawać. Patrząc z boku, można było uznać, że bije. A liczba pozytywnych opinii nie pozostawiała złudzeń. Aby to zrozumieć... – zawahał się. – Pani tego nie zrozumie. Ja też nie. Może dyrektor Smoleń. – Wskazał na starszego mężczyznę w czarnym garniturze, który wciąż przysłuchiwał się rozmowie.

– Wie pani, ile w obozie kosztowała paczka cukierków? – zapytał dyrektor.

Pokręciła głową i delikatnie wzruszyła ramionami.

– Dwieście dolarów.

– Ile?!

– Dwieście dolarów. Za drutami to była spora kwota. Ale nie tu. Tu były inne przeliczniki. Najdrobniejsza rzecz miała zupełnie inną wartość niż poza obozem. Chleb był cenniejszy niż złoto. A życie nie było nic warte.

Po policzkach Kasi popłynęły łzy.

– Szkoda, wielka szkoda – dodał Smoleń. – Kilka lat temu zmarł Wiesław Kielar. On dobrze znał Lubuscha i pewnie by się ucieszył, że przeżył. Nie mam wątpliwości, że to by była dla niego dobra wiadomość. Ale dlaczego on się nie ujawnił? – zapytał, patrząc na Kasię.

– No właśnie: dlaczego? – Cyra powtórzył pytanie. – Z pewnością stanąłby przed sądem, ale nic mu nie groziło. Nie



miał się czego obawiać. Te dokumenty... – Wskazał na rewersy.  
– Są jeszcze akta z procesu Hössa. Tam też musimy zajrzeć.

Kasia słuchała tego z niedowierzaniem. Od początku była przekonana, że dziadek nie miał się czego bać. Nie rozumiała strachu babci i wujka. W końcu sama mu uległa. Wtedy była nastolatką i nie mogła im się przeciwstawić. Teraz dla babci nie miało to już żadnego znaczenia.

– Nie wiem – odpowiedziała, patrząc gdzieś przed siebie. – Nie wiem, dlaczego się bali. Sama chciałabym to wiedzieć.

---

\* Wiesław Kielar, *Anus mundi. Wspomnienia oświęcimskie*, wydanie drugie, Wydawnictwo Literackie, Kraków 1976, s. 14, fragment wstępu Wiesława Kiety.

# 15

## ***Sierpień 2005 roku***

– Dlaczego mi nie powiedziałaś? – Staszek patrzył na siostrzenicę.

– O czym? – odrzekła z ciężkim westchnieniem. Powrót do tych wspomnień wywołał duże emocje. Oczy miała zaszkłone. Z trudem hamowała łzy.

– Że tam byłaś.

– Od dawna nie rozmawiamy. Zdaje się, że to twoja decyzja – stwierdziła, tym razem próbując wysilić się na ironię. Zamiast tego pokazała, jak bardzo cierpi.

– No tak, ale są rzeczy... – zająknął się. – Teraz tu jestem.

– Jesteś. Jak sam widzisz, doskonale pamiętam, jak traktowałeś babcię i mamę. Ale to by było świństwo, gdybym cię nie powiadomiła o śmierci twojej siostry. Wierz mi, że zrobiłam to niechętnie. Ona kiedyś powiedziała, że gdy umrze, mam ci o tym nie mówić. Nie chciała, byś tu był.

– Nic o tym nie wiesz – skwitował z goryczą w głosie.

– No tak, znowu czegoś nie wiem. Zdaje się, że nie mamy już żadnych tajemnic.

Staszek nie odpowiedział. Sięgnął po butelkę. Chciał już nalać do kieliszka, ale się rozmyślił. Na stole stały literatki. Wziął jedną i nalał do pełna. Potem powoli podniósł i wychylił literatkę jednym haustem.

– Mylisz się – odezwał się cicho po długiej chwili. – Najgorsze dopiero przed nami. Ta burza dopiero się zaczyna. Jest jak cyklon. Powoli nabiera rozpędu, aby wreszcie uderzyć z całą siłą. Zmieść wszystko, co spotka na drodze. Zabić. To, co cię dotąd przerażało, to, co odkryłaś, jest niczym w porównaniu z tym, czego jeszcze nie wiesz. Z tym, co się jeszcze wydarzyło.

Sięgnął po butelkę i nalał drugą literatkę. Jednak nie wypił. Długo trzymał ją w dłoni, wpatrując się w przezroczystą ciecz.

## ***Październik 1961 roku***

– Mamo, tu zjemy. – Staszek zatrzymał matkę ruchem ręki, gdy już miała postawić talerz na okienku, przez które podawała posiłki do pokoju stołowego.

Spojrzała na niego i bez słowa zaakceptowała wybór. Staszek usiadł. Matka odwróciła się do pieca i nalała drugą porcję zupy. Ojciec wszedł do kuchni. Wytarł ręce w spodnie.

– Węgiel na zimę już mamy – powiedział, siadając do stojącego przy oknie stołu.

Staszek, nie czekając, złapał już łyżkę w jedną dłoń, w drugą pajdę świeżego chleba i zaczął jeść.

– Jeszcze trochę drewna trzeba zdobyć – mówił dalej, patrząc, jak Teresa nalewa dla niego zupę. – Aby było na rozpałkę. Może coś załatwię ze Zbyszkiem z Podgórzyna. Ma znajomego leśniczego. Można skombinować śmieci ze ścinki. Za flaszkę będzie i po krzyku.

– Stare skrzynki ze spółdzielni będą. – Matka postawiła przed nim talerz. Usiadła pomiędzy nimi na wprost okna i zaczęła się wpatrywać w ulicę. – Nawet bez flaszki. I lepiej się pałą, bo suche.

– Kurs radiotechniczny będzie w LOK-u. Chcę się zapisać. A może i ty, Stasiu, poszedłbyś ze mną? Zrezygnowałeś z latania, to może w to się wciągniesz? – Kiwnął głową do chłopaka, patrząc jak rytmicznie zamiata zupę.

– A na co mnie to?

– Nigdy nie wiadomo. Może podłubiesz w radiu i ci się spodoba. Zawsze to dodatkowy fach w ręku.

– Oby z tego fachu jakich kłopotów nie było. – Teresa spojrzała na męża, który spuścił oczy i od razu zajął się zupą. – Już ja wiem, co ci chodzi po głowie.

– To akurat nie jest taki zły pomysł. – Staszek stanął w obronie ojca. – Posłuchać nie zawadzi. Zawsze się człowiek czegoś dowie. U nas prawdy nie mówią.

– A w tobie skąd taka ciekawość świata? – warknęła zdenerwowana matka. – Wiesz, co grozi za słuchanie Wolnej Europy?

– Dajże spokój chłopakowi. W tym roku dwa razy już radio do reperacji niosłem. Po co płacić? Nauczę się i sam będę robił – wyjaśniał, gestykułując wolną ręką.

– Już ja wiem swoje.

Teresa wstała i podniosła stojący na kuchni garnek. Podeszła do stołu i dołała Staszekowi dwie pełne chochle. Odstawiła garnek i wyjęła z duchówki brytfannę. Zaczęła nakładać drugie danie. Kaszę ze skwarkami. Postawiła talerze na stole i na powrót usiadła.

– Jabłka trzeba zebrać. Może jeszcze dacie radę?

– Mamo! – zaprotestował Staszek. – Chciałem iść z chłopakami na ... – zawahał się.

– Na piwo – dokończyła za niego, uśmiechając się. – Nie za młody, synku, jesteś?

– Oj mammo! – skrzywił się.

– Osiemnaście lat już ma – ojciec na powrót włączył się do rozmowy. – Znaczy... ja tak tylko... – zająknął się, bo żona zgromiła go spojrzeniem. – Może racja, jeszcze czas.

Staszek pokiwał głową, patrząc na ojca. Znowu przez chwilę jedli w milczeniu. Matka wreszcie się podniosła i zaczęła zbierać talerze. W pewnej chwili spojrzała w okno i zamarła.

– Staszek – powiedziała cicho.

– Co jest, mamó? – Podniósł głowę, wpatrując się w nią. Była blada i miała rozchylone usta. Spojrzał w okno i dostrzegł jakiegoś mężczyznę rozglądającego się na ulicy.

– Na górę, szybko! Obaj!

Ojciec też spojrział w okno i nachylił się, by lepiej zobaczyć. Matka pociągnęła go do tyłu.

– Kogut! Staszek Kogut! Znalazł nas!

– *Scheiße! Wir müssen fliehen!* – Ojciec jednym susem znalazł się w korytarzu.

Do Staszka dotarło wreszcie, że to ten milicjant, który odwiózł go motocyklem z Oświęcimia do Bielska. Włosy stanęły mu dęba. Zobaczył ojca wbiegającego na schody.

– Stój! – krzyknął. – Nie na górę! Do piwnicy, stamtąd będziemy mogli uciec!

Ojciec zatrzymał się. Był już w połowie schodów. Spojrzał na Staszka, który wybiegł z kuchni i otwierał drzwi do korytarza piwnicy. Nie zastanawiając się, ruszył za nim. Jednak zaraz za drzwiami chwycił syna za ramię i zatrzymał.

– *Warte!* – powiedział przyciszonym głosem i zaczął zamykać za sobą drzwi. – Stój i się nie ruszaj!

Staszek w malejącej szparze dostrzegł jeszcze matkę, która otwierała drzwi do przedsionka głównego wejścia. Dalej już mógł tylko słuchać.

Stukanie, a potem kroki i odgłos otwierania zasuw. Drzwi skrzypnęły. Ojciec przysunął się bliżej, aby lepiej słyszeć. Staszek cofnął się o krok i przyłożył ucho do drzwi wejściowych od strony ogrodu. Były na tej samej ścianie co główne, ale niżej. Nasłuchiwał.

– Teresa, nie poznajesz mnie? – zapytał mężczyzna.

Matka musiała coś odpowiedzieć, ale stała w przedsionku i tego już nie słyszał. Coś mu zagłuszało jej słowa. Dopiero po chwili poczuł, że serce wali mu jak młotem. Oddech też był

ciężki i głęboki. Zatrzymał na chwilę powietrze w płucach i powoli wypuścił. Czuł, jak krew pulsuje mu w skroniach. Spojrzał na ojca. Stał spokojnie przy drzwiach do korytarza. Nogę postawił blisko, aby w razie czego je zablokować. Rękę trzymał na poręczy. Był skupiony. Staszek pomyślał, że on dla odmiany słyszy tylko to, co mówi matka, bo mężczyzna wciąż stał na zewnątrz.

– Teresa, porozmawiajmy chwilę. Przyjechałem z Bielska. Przecież wiesz.

Jego głos brzmiał zupełnie inaczej niż wtedy. Już nie był pewnym siebie milicjantem. Teraz słowa łamały się jak słabe gałązki na wietrze.

Ojciec nadal stał nieruchomo. I wtedy usłyszał głos tamtego dobiegający z innej strony. Matka musiała go wpuścić, bo rozmowa toczyła się w korytarzu. Powiedzieli jednak tylko kilka urwanych zdań. Gdy weszli do pokoju, głosy stały się niezrozumiałe.

Ojciec spojrział na Staszka i przyłożył palec do ust, a potem dał mu znak, pokazując głową, aby zszedł do piwnicy.

Pokonali schody najciszej jak mogli. Na dole panował mrok, ale nie zapalali światła. Znali drogę. Wystarczyła im odrobina wpadająca przez okienko w spiżarni. Minęli piec i składzik węgla. Z wnętrza bił jeszcze zapach wilgoci pomieszany z węglowym pyłem, który nie zdążył jeszcze dobrze osiaść po tym, jak skończyli robotę. Weszli w smugę światła wpadającą przez okienko znajdujące się na przeciwległej ścianie domu.

Ojciec zatrzymał się przy drzwiach warsztatu, największego pomieszczenia znajdującego się pod głównym pokojem, w którym teraz była matka z niespodziewanym gościem. Chwilę się zastanawiał. Staszek domyślił się, o co chodzi. Drzwi ocierały się o framugę i zawsze przy otwieraniu wydawały ostry zgrzyt. Wiedział, że ten hałas zostanie z pewnością usłyszany na górze.

Wstrzymał oddech, widząc, jak ojciec mocno chwycił za klamkę i pchnął je ramieniem, jednocześnie przytrzymując. Drewno jęknęło cicho pod naporem. Drzwi puściły. Ostrożność, z jaką to zrobił, i włożona siła spowodowały, że ledwie wydały dźwięk. Nie był pewny, czy mężczyzna siedzący w pokoju to usłyszał, ale teraz nie miało to już znaczenia.

Weszli do środka. Staszek spojrział na włącznik światła, ale dostrzegł, że ojciec kiwa głową. Wziął stojący na półce spodek ze świecą i zapalił ją. Wnętrze oświetliło słabe mruganie. Wystarczyło, aby nie wpaść na coś i nie narobić hałasu. Przeszli na drugi koniec pomieszczenia wzdłuż stojącego przy ścianie stołu stolarskiego. Usiedli na pustych skrzynkach przygotowanych do zbierania owoców.

– To z jabłek dzisiaj nici – powiedział niemal szeptem ojciec.

– Z piwa też. – Staszek westchnął ciężko. Zobaczył, jak ojciec podnosi się i sięga do szafki narzędziowej. Ostrożnie wyjął z niej smukłą butelkę.

Chwycił zębami korek i wyjął. Potem pociągnął solidny łyk, skrzywił się i przetaił usta rękawem. Spojrział na syna i podał mu flaszkę. Staszek chwilę się ociągał; nie był pewny, czy może.

– Pij! – powiedział ojciec zdecydowanie, ale szeptem.

Staszek sięgnął po butelkę. Przyłożył do ust i wypił łyk. Wódka była mocna i chłodna. Pieczęta w gardło.

– Wystarczy – ojciec powstrzymał go z uśmiechem. – Bo jak on mnie nie zabije, to matka mnie powiesi za to, że cię upiłem.

– Zabije? Znasz go?

– Jasne, że znam. Staszek Kogut. Mieszkał niedaleko. Smalił do matki cholewki. Ale jak się zaczęła wojna, to już nie śmiał na nią spojrzeć. Wtedy nie było odważnych – dodał, widząc, że Staszek marszczy brwi. – Niemiecki mundur budził strach. A co dopiero czarny.

Staszek przełknął ślinę i oddał butelkę.

– Co tak patrzysz? Nikogo nie zabiłem.



– Nie? – zapytał niepewnie, wyciągając z kieszeni papierosa.  
– Palisz? – Teraz ojciec zmarszczył brwi, udając srogą minę, choć doskonale wiedział, że syn od dawna pali.  
– Palę, piję, a co za różnica? – odpowiedział, przypalając papierosa od świeczki.  
– Od świecy nigdy nie odpalaj. To przynosi pecha. – Ojciec pociągnął kolejny długi łyk. Powietrze wpadło kilka razy do butelki, wydając odgłos.  
– Jak tam było? – Staszek sięgnął po flaszkę. Ojciec zawahał się, ale mu podał.  
– Gdzie?  
– No wiesz, w obozie.  
– Nawet jak ci powiem, to i tak sobie tego nie wyobrazisz. I nie zrozumiesz.  
Staszek uśmiechnął się kpiąco. Ojciec domyślił się, że nie powinien traktować go jak dziecka. Chwycił butelkę i znów łyknął wódki.  
– Jak chcesz. – Westchnął. – Właściwie też tam byłeś. Prawie tam – poprawił się. – Ledwie parę kroków od tego miejsca. Tam się urodziłeś.

\*

Rozpaczliwe krzyki jakichś ludzi i śmiech stojących nad brzegiem wykopu esesmanów mieszały się, tworząc makabryczną kakofonię dźwięków. Eduard przysłuchiwał się przez chwilę, patrząc w tamtą stronę. Niewiele widział, bo stał pod słońce, które dość mocno świeciło. Daszek czapki nie wystarczył, więc przyłożył do czoła dłoń i osłaniając się, zmrużył oczy. Wreszcie udało mu się dojrzeć, że nad brzegiem wykopu stoi jeden z więźniów kryminalnych, kapo blokowy, reichsdeutsch Reinhold, i SS-Hauptscharführer Gerhard

Palitzsch. Było jeszcze kilku szeregowych wartowników. To oni się śmiali.

Palitzsch nigdy się nie śmiał. Patrzył zawsze z kamienną twarzą, niewzruszony cierpieniem katowanych ludzi. Zabijał bez emocji, jakby uwalniał ludzkość od uciążliwego robactwa. Służbę w obozach koncentracyjnych zaczął jeszcze przed wojną. Oranienburg, Lichtenburg, Buchenwald i Sachsenhausen. Wykazał się sadyzmem i bezwzględnością. Przełożeni doceniali jego zaangażowanie i dzięki temu piął się w górę.

W maju tysiąc dziewięćset czterdziestego roku Palitzsch wraz z trzydziestoma kryminalistami przyjechał do Auschwitz. Objął funkcję rapportführera. Odpowiadał za apele. To on wydawał rozkaz, skazując cały obóz na kilkunastogodzinne stójki. Więźniowie stali na baczność w mrozie albo w palącym słońcu. Ci, którym zabrakło sił, byli najczęściej katowani na śmierć przez kapo. Palitzsch przyglądał się temu w spokoju, z opanowaniem. W listopadzie tysiąc dziewięćset czterdziestego pierwszego roku rozpoczęły się egzekucje przed ścianą śmierci przy bloku 11. Nie opuścił żadnej. Godzinami podawano mu kolejne naładowane magazynki, a on zabijał strzałem w głowę. Wydawało się, że nigdy go to nie nudzi. Albo stawał na środku placu z karabinkiem małokalibrowym i kazał więźniarkom biegać wokół. Co jakiś czas strzelał i któraś padała na ziemię. W końcu padły wszystkie. Gdy wynoszono trupy, on ładował broń i kazał biegać następnej grupie, która stała z boku, przyglądając się, co je zaraz czeka.

Nie był zadowolony, gdy kierownictwo obozu zakazało rozstrzeliwać przed blokiem 11. Źle to wpływało na atmosferę w obozie. I zbyt wiele kosztowały. Jeden nabój, jedno życie. Amunicja była potrzebna na froncie. Do eksterminacji milionów ludzi wymagano wydajniejszej metody.

Palitzsch kierował pierwszą akcją masowego zagazowania więźniów. To był eksperyment. W piwnicach bloku jedenastego zagazowano sześciuset rosyjskich jeńców, i dwustu pięćdziesięciu chorych polskich więźniów. Potem robiono to na dużą skalę. Ale to już go nudziło, bo nie mógł widzieć z bliska cierpienia ludzi.

Eduard podszedł bliżej, aby zobaczyć, co się dzieje. Budowa nowych bloków szła opornie. Wykopy podeszły wodą, utrudniając wylewanie fundamentów. A to zagrażało wykonaniu planu rozbudowy obozu.

Palitzsch stał na rozstawionych nogach, w wysokich butach, z których wychodziły bufiaste spodnie munduru. Przyglądał się dwójce więźniów. W wykopie, po pas w wodzie, jakiś mężczyzna, z pewnością Żyd, próbował pomóc innemu, o wiele starszemu, który najwidoczniej opadł z sił. Przez chwilę gramolili się w błocie, aby wydostać się na górę. Za każdym razem, gdy byli już prawie u szczytu, któryś z esesmanów kopniakiem strącał ich z powrotem na dół. Palitzsch zatrzymał gestem jednego ze swoich ludzi, pozwalając więźniom wreszcie wyjść.

Umęczony mężczyzna wyciągnął starca, który nie miał nawet siły stać. Opadł na ziemię pod nogi esesmanów. Ten, który mu pomagał, próbował go podnieść, lamentując przy tym. Eduard rozumiał, co mówi, bo jidysz wywodzący się z niemieckiego miał z nim wiele wspólnych słów. Poza tym mieszkając przez lata w Bielsku, z czasem nauczył się trochę języka Żydów, którzy stanowili część społeczeństwa miasta.

SS-Hauptscharführer Palitzsch uniósł dłoń, nakazując Żydowi milczenie. Potem zapytał, dlaczego pomaga temu drugiemu. Żyd odpowiedział czystą niemczyzną, że to jego ojciec. Palitzsch zastanawiał się chwilę, a potem wydał mu rozkaz:

– *Ertränkt ihn!*

Żyd zamarł. Jeden z esesmanów, nie czekając, zepchnął starca z powrotem do wykopu. Drugi pchnął młodszego Żyda, który poleciał w dół, wpadając do wody. Podniósł się i patrzył na Palitzscha. Ten skinął głową, mówiąc:

– *Weiter, weg!*

Mężczyzna chwycił ojca za kark i przytrzymał mu głowę w brudnej, brązowej od wzburzonego błota wodzie. Starzec próbował rozpaczliwie walczyć, wymachując rękami, ale nie miał już siły. Po kilku sekundach uspokoił się i pozostał pod wodą. Palitzsch skinął na kilku więźniów pracujących na brzegu wykopu, którzy odbierali od tych na dole wiadra z błotnistą mazią. Podeszli karnie i stanęli na baczność.

– *Ertränkt ihn!* – powiedział bez emocji. Ani jeden mięsień na jego twarzy nie drgnął.

Więźniowie posłusznie zeskoczyli do wykopu, chwycili Żyda i zanurzyli go tak samo, jak on chwilę wcześniej zrobił to ze swoim ojcem. Nie wyrywał się. Dopiero po chwili jego ciałem szarpnęły konwulsje.

Kapo Reinhold kazał więźniom wynieść oba ciała z wykopu i rzucić z boku. A potem wracać do pracy. Przyjęli to z ulgą. Widocznie wiedzieli, że i oni mogli stać się ofiarami tej śmiertelnej zabawy SS-Hauptscharführera. Szybko wykonali polecenie i odeszli.

Eduard przypatrywał się przez cały czas Palitzschowi. Wydawało się, że jest tym przedstawieniem znudzony. W końcu odwrócił się i odszedł.

\*

– Co się z nim stało? – Staszek wyjął kolejnego papierosa.

Ojciec patrzył przez chwilę w podłogę, zastanawiając się nad odpowiedzią. Zdusił papierosa w palcach. Widać to wspomnienie sprawiało mu ogromny ból.

– Pod koniec czterdziestego drugiego, gdy ja trafiłem do ślusarni, Palitzscha przeniesiono na stanowisko rapportführera obozu w Brzezince. Mordował dalej, ale robił jeszcze coś. Coś, czego nie wolno było robić. Gwałcił żydowskie więźniarki. Nie chodziło o sam gwałt, tylko o stosunki z Żydówkami. Gwałcił i miał w Brzezińce, w kobiecym obozie, stałą kochankę. Żydówkę ze Słowacji. Za karę został przeniesiony do małego podobozu w Brnie. Ledwo trzystu więźniów. To było upokorzenie. I nie miał kogo zabijać, bo ci więźniowie musieli pracować przy budowie. Więc gwałcił dalej. W końcu został zdegradowany do stopnia Schütze... szeregowca – dodał, widząc, że Staszek nie rozumie – i wysłany do jednostki frontowej. Potem już nie wiem.

– A ten kapo?

– Reinhold? Był blokowym. Później skierowano go do pracy w fabryce skóry nad Sołą. Była tam druga część Kanady.

– Kanady?

– Tak, Kanady. W Kanadzie przeszukiwano bagaże i rzeczy Żydów wysłanych do gazu. W ubraniach mieli pozaszywane złoto i pieniądze. W walizkach były dzieła sztuki i jedzenie. Jak ktoś pracował w Kanadzie, to niczego mu nie brakowało. Jedzenie, to dobre, trafiało do kantyny SS. Choć odebrane Żydom, ich nie brzydziło. Woleli nawet koszerne. Bo lepsze. A to, co nadpsute i spleśniałe, oddawano do obozowej kuchni. Jedzenie nie miało jednak znaczenia. Esesmani pilnowali głównie pieniędzy i złota. Tym woleli się najeść.

– Jak przywieźli pierwszy transport Żydów ze Słowacji i zaczęli przeszukiwać rzeczy, jeden z więźniów powiedział podobno, że teraz w obozie będzie się żyło jak w Kanadzie. I Niemcy to podchwycili.

– Skąd to wiesz? – Ojciec przechylił głowę ze zdumienia.

– Jak tam byłem – odpowiedział po chwili wahania – mówił o tym jeden z przewodników. Smoleń.

– Rozmawiałeś ze Smoleniem? – zapytał ojciec z niedowierzaniem. Od czasu, gdy Staszek wrócił z matką z Bielska, nie poruszali tego tematu.

Chłopak pokiwał głową.

– Znam go. Znaczy kiedyś znałem – ojciec poprawił się. – Kanada miała jeszcze jedno znaczenie. *Keine da* – powiedział z niemieckim akcentem – nic więcej. To oznaczało, że nic więcej nie pozostawało po tysiącach ludzi opuszczających krematorium przez komin. Tylko słodkawy dym rozwiewany wiatrem po okolicy. I popiół, który wywożono i rozsypywano na polach. Złote zęby, pierścionki, kolie, brylanty, pieniądze, obrazy, figurki z kości słoniowej. Tylko tyle, ale to należało już do kogoś innego. Esesmani chętnie korzystali z Kanady. Handlowali z więźniami, czym się dało, głównie jedzeniem. Reinhold też, ale jego złapano. Miał złoto i brylanty. Innych też łapali. Kapo Wierzbica z Brzeska. Mówili o nim Krwawy Stefan. Jego złapali ze złotymi zębami. Za karę trafił do Brzezinki na blok 5 dla młodocianych. Najstarsi mieli tyle lat co ty teraz. Wymordował wszystkich. Reinhold miał mniej szczęścia, trafił do bloku 11 i powiesił się w celi. Był taki blokowy, Jurek – ciągnął swoje wspomnienia przyciszonym głosem, wpatrując się w małe, zakratowane okienko piwniczne. – Nazwiska nie pamiętam. Polak. Zabił przynajmniej osiemdziesięciu ludzi. Codziennie wybierał sobie jednego więźnia na swoim bloku. Walił kołkiem w głowę, a potem układał obok stołu i skakał na klatkę piersiową. Rano wynosili trupy, a on meldował na apelu mniejszy stan. – Zastanawiał się chwilę, jakby szukał czegoś w pamięci. – Nie pamiętam, jak się ten Żyd nazywał – powiedział powoli, drapiąc się po brodzie. – Olbrzym. Wielki chłop. Chodził z grubym kijem. Zabijał więźniów jednym uderzeniem w kark. Uwierzysz? – Spojrzał na Staszka. – Jednym uderzeniem zabijał człowieka. Albo kazał się położyć, kładł ten drąg na szyi i stawał na nim. Zanim się ktoś udusił, pękała krtań

i kręgosłup. Był też kapo Ukrainiec. Komarnicki mu było. Wysoki, przystojny facet. Zęby jak perły. Nawet mu powieka nie drgnęła, jak katował więźniów. Tacy jak on byli najgorsi.

Ojciec uniósł głowę i spojrzał na sufit. Strop był gruby, betonowy. Nic nie było słychać. Chwycił butelkę i napił się. Staszek milczał. Słuchał jego głosu. Ojciec mówił spokojnie, bez emocji, jakby opowiadał film, który widział w kinie. Przypominał sobie ludzi i sytuacje z najdrobniejszymi szczegółami.

– Miałem wtedy niewiele więcej lat niż ty teraz. – Ojciec zaczął znowu mówić, wyjmując kolejnego papierosa. – Jak trafiłem do obozu... – przerwał na chwilę, zapalając – ...miałem dziewiętnaście lat. Wybór był prosty. Albo Wehrmacht i front wschodni, albo SS. Wtedy jeszcze się tak dało. Po mnie już mało kto poszedł do pracy w obozie. Później do załogi trafiali już tylko weterani z pierwszej wojny, inwalidzi z tej albo dziadki. Młodzi szli na front. I nie wracali. Pieprzona wojna. – Zamyślił się.

\*

Budzik odezwał się natarczywym brzękiem. Eduard sięgnął ręką i uderzył w przycisk na obudowie. Podniósł się ostrożnie i usiadł na łóżku. Przez chwilę ziewał, przecierając jednocześnie oczy. W końcu wychylił się i włączył małą lampkę stojącą na nocnym stoliku. Słychać było tylko miarowe tykanie junghansa. Wskazówki na cyferblacie pokazywały wpół do szóstej. Odwrócił się ostrożnie, mając nadzieję, że dzwonienie obudziło tylko jego.

– Nie śpisz? – zwrócił się do żony, widząc jej szeroko otwarte oczy. – Hilda? – zapytał delikatnie, przykrywając ją kołdrą. W pokoju było dość chłodno, z pewnością w nocy piec wygasł. – Zaraz napalę.

Nie odpowiedziała. Wciąż patrzyła przed siebie, leżąc w bezruchu. Podniósł się i podszedł do kaflowego pieca. Otworzył drzwiczki i zajrzał do środka. Wewnątrz tlił się jeszcze żar. Chwycił pogrzebacz leżący na metalowej blasze osłaniającej drewnianą podłogę i poruszał nim w palenisku, strącając popiół niżej. Potem włożył kilka drobnych drewek. Nachylił się i zaczął dmuchać.

Drewno szybko się zajęło i zaczęło trzaskać w płomieniach. Odczekał jeszcze chwilę i włożył grubszy kawałek. Potem przyjrzał się węglarce. Na dnie było tylko kilka grubych bryłek. Niewiele, ale musiało wystarczyć. Ta zima nawet dla nich zapowiadała się źle. Węgiel był surowcem strategicznym i jak wszystko co ważne w pierwszej kolejności trafiał do przemysłu wojennego. Nawet on miał trudności z dostaniem przydziału. Czasem udawało się coś kupić od kolejarzy. Ale słono trzeba było zapłacić, bo ryzykowali życie.

Zebrał bryłki na łopatkę i wrzucił do pieca. Grzał jeszcze chwilę dłonie, przystawiając je blisko ognia, zanim przymknął drzwiczki. Ale nie do końca. Musiało się mocniej rozpalić.

Hilda wciąż leżała bez ruchu, wpatrując się w ciemną część pokoju. Wiedział, na co patrzy. Najchętniej wyniosłby ten mebel na strych, ale mu nie pozwoliła. Spojrzał jeszcze raz na zegarek.

– *Scheiße!* – zaklął cicho, a potem chwycił spodnie i zaczął je wciągać.

Kilka minut później Eduard był już w kuchni. Musiał się spieszyć. Za godzinę powinien być w ślusarni. Złapał bochenek chleba i spory kawałek słoniny. Zawinął w lnianą szmatkę i wcisnął do teczki, z którą jeździł do pracy. Z pewnością jej rozmiar nie odpowiadał normalnym potrzebom. Gdy rozpoczął służbę w obozie, zabierał ze sobą kilka kanapek i butelkę z herbatą. Szybko jednak zrozumiał, że duża teczka przydaje się w różnych sytuacjach. Można w niej było sporo przynieść i jeszcze więcej wynieść.



Wszedł jeszcze na chwilę do pokoju, aby przymknąć drzwiczki pieca. Hilda nadal leżała. Uznał, że lepiej będzie, jeśli da jej spokój. Potrzebowała czasu. Wcisnął na głowę czapkę, zapiał pas, poprawił kaburę, a na plecy zarzucił starego mausera k98k.

Przed domem czekał motocykl DKW. Dziesięcioletnie RT niedomagało ostatnio i wciąż budziło obawy, czy któregoś dnia całkiem nie odmówi posłuszeństwa. Tłok dorobiony w obozowej odlewni daleki był od doskonałości i dawał znacznie mniejszą moc niż oryginalny. Eduard pocieszał się, że może nie wystartuje w wyścigach, ale przynajmniej ma się czym dotoczyć dwadzieścia kilometrów do Auschwitz. Gdyby nie stara dekawka, musiałby wstawać godzinę wcześniej i pedałowac całą drogę. Jeździł tak latem, zanim naprawił motocykl. Ale teraz, jesienią, wolał nie przesiadać się z powrotem na rower.

Motor zaskoczył dopiero za piątym kopnięciem. Dławił się chwilę, ale w końcu silnik wyrównał pracę. Eduard przypiął teczkę do bagażnika zamocowanego za siodełkiem, narzucił na siebie brezentowy płaszcz i ruszył. Jechał wolno, aby nie przeciążać tłoka.

Niespełna pół godziny później był na miejscu. Postawił dekawkę pod prowizorycznym daszkiem obok baraku ślusarni i wszedł do środka. Jego komando już zameldowało się do pracy. Funkcyjni przydzielili robotę zgodnie z harmonogramem, który dał im poprzedniego dnia. Halę wypełniały zgrzytania i piski piłowania, szlifowania i wiercenia metalu.

Ponad dwustu ludzi. Tylko niewielką część stanowili fachowcy. Reszta to nieszczęśnicy, których przyjmowano za jego zgodą, aby uratować od niechybnej śmierci. W ślusarni wracali powoli do sił i uczyli się od innych roboty. Czasem z lepszym skutkiem, innym razem z marnym. Mimo to trzymał ich,

przydzielając prostsze i lżejsze prace. Tak jak profesora matematyki z Uniwersytetu Lwowskiego. Zupełnie nie znał się na fizycznej robocie, ale mógł trzymać miotłę. Gdy on zamiatał, inni musieli wykonać cięższe prace. Eduarda nie interesowało, kto co robi. Grunt, aby wszystko zostało zrobione.

Roboty było sporo. Ślusarnia wykonywała mnóstwo prac w całym obozie. A do tego wciąż dostawała prywatne zlecenia od wysokich rangą esesmanów. Bardzo opłacalne. Jeśli byli zadowoleni, Wydział Polityczny nie miał skarg. Wprost przeciwnie. Były pochwały. W tym od samego komendanta.

SS-Obersturmbannführer Rudolf Höss osobiście przyszedł na uroczyste uruchomienie odlewni. Przyglądał się wykonaniu pierwszego odlewu. Nie wiedział, że w tym, co robili więźniowie, więcej było picu niż rzetelnej pracy. Ale mu się spodobało i poprosił o kilka ozdobnych kinkietów i lamp oraz parę elementów dekoracyjnych z metalu do swojego domu. Wszystko zrobiono w ekspresowym tempie, a co najważniejsze – metaloplastyka była doskonała.

Dzięki temu wydział polityczny, który przeprowadzał kontrole, rzadko odwiedzał ślusarnię. A święty spokój był tym, co Eduard lubił najbardziej.

Dzień mijał powoli. Za oknem słyhać było odgłosy wyładowywania kolejnego transportu. Hałas wtaczającego się składu wagonów poprzedził kakofonię krzyków, płaczu, lamentowania, szczekania psów, a czasem padających strzałów. Nikt w ślusarni nie zwracał na to uwagi. W baraku wszystko toczyło się normalnym trybem.

Zamieszanie na zewnątrz trwało ledwie godzinę. Cisza, która zapanowała później, wprowadziła Eduarda w senność. Zjadł kawałek chleba z kiełbasą, przygotowany w osobnym zawiniątku przez matkę jeszcze poprzedniego wieczoru. Bochen i słoninę oddał zaufanym więźniom. Popił gorącą kawą zbożową i przysnął na chwilę na krześle.

Koło południa obudził go więzień Michał Kula, który zameldował, że musi udać się do obozu kobiecego w Birkenau, bo został wezwany w związku z jakąś awarią w bloku szpitalnym. Kula chodził tam regularnie. Eduard wiedział, że zamiast napraw często dopuszcza się sabotażu. Ale to mu nie przeszkadzało. To od Kuli dowiedział się o eksperymentach prowadzonych przez doktora Schumanna.

Niespełna czterdziestoletni lekarz jesienią tysiąc dziewięćset czterdziestego drugiego roku przyjechał do Auschwitz z Berlina. Prowadził badania z użyciem dwóch aparatów rentgenowskich. Co prawda trudno było to nazwać badaniami. Pomiedzy aparatami umieszczał kobiety i naświetlał je przez kilka, a nawet kilkanaście minut. Niektóre wymiotowały od razu. Inne z trudem wracały do swoich bloków. Po kilku dniach lub tygodniach wszystkie umierały w męczarniach. Schumann naświetlał też mężczyzn, spalając im rentgenem jądra. Później amputował je i w słoikach odsyłał do Berlina.

Na szczęście jeden z aparatów uległ awarii. Przepaliła się pompa obwodu chłodzenia. Została zaprojektowana tak, by aparat pracował milisekundy, a nie przez kilkanaście minut. Kula miał ją naprawić. W tym celu wymontował z aparatu drugą, sprawną pompę, aby porównać z tą uszkodzoną. Po oględzinach okazało się, że do naprawy potrzebne są specjalistyczne narzędzia. Zamontował sprawną pompę z powrotem, ale w taki sposób, że już po kilku dniach i ona się popsowała. Schumann musiał całkowicie wstrzymać eksperymenty na kobietach. Drugim sprawnym aparatem wciąż naświetlał mężczyzn i cygańskie dzieci, którym uprzednio wszczepiał komórki rakowe. Gdy choroba się rozwinęła, naświetlał je, co prowadziło do szybkiej śmierci.

Eduard po cichu aprobował działania dywersyjne Kuli i na wszelki wypadek nie pytał o szczegóły prac wykonywanych w szpitalu doktora Schumanna. Teraz też machnął ręką,

wydając zgodę na wyjście poza ślusarnię. Sam pokręcił się po baraku, udając, że nadzoruje pracę. Nic mu się nie chciało robić. To, co działo się w domu, wystarczająco zaprzętało mu głowę. Nawet więźniowie, z którymi był w dobrych relacjach, zauważyli, że coś jest nie tak. Ale nie zamierzał mówić im, co się stało.

Przetrwał jakoś do końca dnia, wciąż spoglądając na zegarek. Gdy wybiła szósta wieczorem, pozbierał swoje rzeczy i wyszedł z baraku. Chciał jak najprędzej znaleźć się w domu. Wyprowadził dekwę spod zadaszenia, przekręcił kluczyk i zaczął odpalać silnik. Motor uparcie nie chciał zaskoczyć. Wreszcie załapał, ale tak jak rano dusił się i kaszłał, wydmuchując z rury wydechowej kłęby niebieskawych spalin. Eduard uznał, że może będzie lepiej, jak się trochę rozgrzeje. Lekko przekręcił manetkę gazu i zaczął czekać chwilę. Praca silnika stała się miarowa.

Wsiadł na motor i ruszył. Nie ujechał nawet pięćdziesięciu metrów. Gdy znalazł się na wysokości rampy kolejowej, dekwę kilka razy szarpnęła i silnik zgasł.

– *Scheiße!* – zaklął z rezygnacją i zsiadł z motoru.

Wyglądało na to, że zapchała się dysza gaźnika. A to oznaczało dodatkowe piętnaście minut babrania się w smarze. Nie było rady. Wyjął narzędzia i zabrał się do pracy.

Zakręcił kranik z paliwem, odłączył przewody i dobrał się do gaźnika. Wiedział, co robi, bo od dawna dłubał przy silnikach. Większość prac potrafił wykonać samodzielnie.

Robota poszła nadzwyczaj dobrze. Na zegarku było wpół do siódmej, gdy poskładał narzędzia. Już miał się brać do odpalenia, gdy od strony rampy dobiegł go jakiś szelest i ciche kwilenie. Spojrzał w tamtą stronę, ale nic nie widział. Uznał, że mu się przywidziało, i już miał uderzyć nogą w kopkę silnika, gdy tym razem z ciemnego otworu pomiędzy filarami

podtrzymującymi rampę dobiegł go ledwie słyszalny płacz. Chwycił latarkę i podszedł ostrożnie. Zaświecił w mrok.

W głębi dostrzegł przerażoną twarz kobiety. Trzymała na rękach jakieś zawiniątko. Skuliła się, obracając lekko bokiem, mając nadzieję, że w ten sposób on jej nie dostrzeże.

– *Was machst du hier?* – zapytał, patrząc w jej ciemne oczy.

Nie odpowiedziała.

– Co tu robisz? – zapytał, tym razem po polsku. – Rozumiesz mnie?

Kiwnęła głową.

– Co tam masz?

Kobieta jeszcze bardziej się skuliła, jakby chcąc ukryć trzymany w rękach tobolek. Eduard schylił się i wszedł pod rampę, co przy jego wzroście nie było proste. Przysunął się do kobiety i sięgnął do zawiniątka. Odchylił kawałek materiału i z przerażeniem cofnął rękę tak raptownie, że zahaczył czapką o strop.

– *Verdammt!* – wyrwało mu się. – Co tu robisz? – powtórzył pytanie. – Jesteś z porannego transportu?

Pokiwała głową. Teraz zrozumiał, co się stało. Podczas wyładowywania z wagonów musiała ukryć się pod rampą, licząc, że później uda jej się stąd uciec. Nie miała szans. Była wewnątrz małego łańcucha straży. Co jakiś czas pojawiał się tu patrol, a rampa była dobrze widoczna z głównej wieży przy bramie obozu. Nie ulegało wątpliwości, że gdy tylko wyjdzie z ukrycia, natychmiast zostanie zauważona.

Przysunął się bliżej i jeszcze raz spojrział na zawiniątko. Oświetlił twarz dziecka. Mogło mieć najwyżej dwa lub trzy dni. Znał się na tym, bo jego matka była akuszerką i często chodził z nią do domów, w których rodziły się dzieci. Zaraz po urodzeniu były czerwone i pomarszczone. To z pewnością musiało urodzić się w transporcie. Sięgnął ręką i odchylił materiał, odsłaniając główkę.

– *Gott sei Dank* – powiedział cicho, widząc jasne włosy. – Nie ruszaj się! – rzucił prawie szeptem i wyszedł spod rampy.

Staął wyprostowany jakby nigdy nic i rozejrzał się. Wokół było cicho i spokojnie. Podeszedł do dekawki i odpiął przytwierdzoną do bagażnika teczkę. Wziął ją pod pachę i równym krokiem podeszedł z powrotem do rampy. Na szczęście motor stał blisko, może dwa metry od jej brzegu i zasłaniał go w czasie, gdy pracował przy silniku. Teraz, gdy wszedł ponownie pod rampę, strażnik obserwujący teren z wieży byłby pewny, że dalej coś dłubie schowany za motocyklem.

Kobieta siedziała bez ruchu. Eduard otworzył teczkę. Na jej dnie znajdowała się ostatnia kanapka, której nie zdążył zjeść. Wyciągnął ją z torby i podał. Przyjęła. Potem odłożył teczkę i wysunął w jej stronę rękę. Zrozumiała, że chce zabrać dziecko. Przycisnęła je do siebie mocniej.

– Muszę je zabrać. Razem nie macie szans. Gdy jutro przyjedzie następny transport, wmieszasz się w tłum. Staraj się iść wyprostowana i uśmiechnięta. Podczas selekcji musisz się dostać na prawo. Jeśli zapytają, czy znasz języki, skłam, że kilka. – Teraz uświadomił sobie, że być może ona zna kilka języków i nie musi kłamać, ale nie miało to znaczenia. – Znajdę cię. – Jeszcze raz wyciągnął rękę.

Wciąż przyciskała dziecko do siebie.

– Musisz mi je teraz oddać. Jeśli zostanie, oboje zginiecie.

Te słowa podziały. Powoli wyprostowała rękę. Eduard wziął zawiniątko i ostrożnie wsunął je do teczki. Dziecko z pewnością nie miało trzech kilogramów, być może urodziło się za wcześnie. Zapiął teczkę i jeszcze raz spojrzął na kobietę.

– Jak masz na imię i skąd jesteś?

– Helena. Jestem z Bardejowa na Słowacji.

– Żydówka?

Kiwnęła głową.

– Pamiętaj. Za wszelką cenę na prawo.

Jeszcze raz kiwnęła głową.

Eduard ostrożnie wyszedł spod rampy. Kątem oka dostrzegł dwóch esesmanów z patrolu, którzy spokojnym krokiem szli w jego stronę. Byli jakieś sto metrów od niego. Poczuł, jak robi mu się gorąco. Szybko przypiął teczkę do bagażnika i zarzucił na plecy karabin. Złapał za kierownicę, jednocześnie odsuwając nogą nóżkę motocykla. Przekręcił kluczyk i energicznym ruchem uderzył w kopkę.

– Zapal! – warknął, jakby chcąc wydać rozkaz, na który maszyna wykona jego żądanie.

Jeszcze raz uderzył w kopkę i jeszcze raz. Silnik nie reagował. Spojrzał na przypiętą z tyłu teczkę. Ani drgnęła.

Odwrócił się do przodu. Żołnierzom zostało może dwadzieścia metrów. Spojrzał na nich i uśmiechnął się.

– *Was ist los?* – zapytał jeden z nich.

– *Vergaser* – odpowiedział krótko.

– *DKW ist Schrott. Nächstes mal BMW kaufen* – zaśmiał się ten drugi.

– *Nächstes mal werde ich daran denken.* – Eduard też się zaśmiał i jeszcze raz uderzył w kopkę, ale silnik i tym razem nie zaskoczył.

– *Lass es.* – Esesman poprawił wiszącego na plecach mausera i podszedł do motocykla z tyłu. – *Wir müssen das Motorrad schieben.* – Drugi dołączył i chwycili rękami za bagażnik, do którego przytroczona była teczka.

Eduard poczuł, jak włosy unoszą mu czapkę.

– *Ja, schön* – potwierdził, przekładając nogę, i usiadł na siodełku.

Żołnierze pchnęli, a motor ruszył z miejsca. Eduard wrzucił bieg i puścił manetkę sprzęgła. Trochę zbyt raptownie, ale silnik zaskoczył. Początkowo pracował nierówno, zakaszlał kilka razy, ale szybko nabrał obrotów. Maszyna skoczyła do przodu.

– *Danke!* – krzyknął, unosząc lewą rękę.

– *DKW ist Schrott!* – zawołał jeszcze raz tamten za odjeżdżającym motocyklem.

Pół godziny później Eduard wszedł szybkim krokiem na piętro, niosąc ostrożnie teczkę. Otworzył drzwi do mieszkania. Wewnątrz panowała cisza. Nie zdejmując karabinu ani butów, niemal przebiegł przedpokój i znalazł się w pokoju, w którym świeciło się światło. Hilda siedziała w fotelu z twarzą odwróconą do okna. Nogi przykryła szarym wojskowym kocem, który przyniósł poprzedniej jesieni. Z pewnością musiała słyszeć silnik motoru. Nie zareagowała jednak, gdy wszedł.

– Hilda – powiedział podnieconym głosem. – Mam coś dla ciebie... dla nas – poprawił się.

Odwróciła się i spojrzała nie niego, gdy klęknął obok fotela. Postawił na podłodze teczkę, rozpiął paski i ostrożnie otworzył. Potem wsunął do środka ręce.

Hilda obojętnie patrzyła na to, co robi. Aż nagle uniósł do góry zawiniątko, które się poruszyło. Dopiero wtedy wzdrygnęła się, trochę przestraszona. Patrzyła, jak odwija materiał. Wśród brudnych szmat ukazała się malutka buzia.

– Co to jest?! – Wciągnęła z przerażeniem powietrze i próbowała się cofnąć, wciskając plecy w oparcie fotela.

– Nie co, lecz dziecko – powiedział spokojnie. – Nasze dziecko.

Patrzyła na niego, łapiąc powietrze jak ryba wyciągnięta z wody. Twarz miała jeszcze bledszą niż rano. Wreszcie opanowała się i odrzekła łamiącym się głosem.

– Jak możesz? – Łzy pociekły jej po policzkach.

– Hilda, pomyśl – mówił znowu podnieconym głosem. – Minęło ledwie kilka dni. Nikt nie wie. Matka wypisze dokumenty i będziemy mieli dziecko, a ty...

– Jak możesz? – zapytała jeszcze raz, nie pozwalając mu dokończyć.

– Hilda... – Poczuli, jak wszystkie siły z niego uciekają. – ...ale przecież to jest... – nie dokończył. Dopiero teraz zdał sobie



sprawę, że nie wie nawet, czy przyniósł do domu dziewczynkę czy chłopca.

Położył becik na jej kolanach. Zdrętwiała. Nie mogła się już bardziej cofnąć. Wprawnymi ruchami zaczął odwijać materiał. Dziecko natychmiast wyrzuciło w górę uwolnione rączki. Wciągnęło powietrze i na jego twarzy pojawił się grymas. W pokoju było dość chłodno.

Malec, bo to był chłopczyk, zrobił się czerwony i zaczął płakać. Hilda siedziała jak sparaliżowana z rękoma uniesionymi lekko do góry, jakby chciała się bronić przed leżącym na jej podołku maleństwem.

Eduard spojrział jej w oczy. Płakała. Rozumiał.

– Gdybym go zostawił, już by nie żył – powiedział, szukając usprawiedliwienia, które wzbudzi w niej inne emocje.

Dziecko nie przestawało płakać. Wstał i wyjął z bieliźniarki czyste prześcieradło. Rozłożył je na łóżku i zabrał malca z kolan Hildy. Przytrzymał mu rączki i zawinął. Potem wziął na ręce i zaczął rytmicznie kołysać. Płacz ustał.

Eduard nie spał niemal całą noc. Długo rozmawiali z Hildą. Musieli się też zająć dzieckiem. Malec po kąpieli i nakarmieniu szybko zasnął. Ustalili, że następnego dnia sprowadzą matkę Hildy i wspólnie zastanowią się, co dalej robić. Była akuszerką, więc wiedziała, jak, z kim i co załatwić, aby dziecko urodziło się oficjalnie.

Tym razem dekawka nie robiła trudności i droga do pracy zajęła mu kilka minut krócej. Dzień zapowiadał się dobrze. Ślusarnia pracowała pełną parą. Pokręcił się po warsztacie, przypilnował roboty, a nawet pomógł przy trudniejszych sprawach. Lubił to. Często sam brał się do spawania. Gdy wrócił do swojego kantorka, zabrał się do dokumentów. To zdecydowanie nie była jego mocna strona. Dzisiaj szło mu wyjątkowo opornie. Wciąż myślami wracał do domu.

Postanowił, że za kilka dni postara się dowiedzieć, gdzie trafiła matka chłopca. Na razie było za wcześnie.

Po pierwszej ktoś zapukał.

– *Herein!* – krzyknął donośnym głosem.

– Melduje się więzień numer 531! – zaczął recytować młody mężczyzna, zdejmując czapkę.

– Daj spokój, Edek – przerwał regulaminowe zameldowanie. – Co tam?

– Przysłali gońca z wiadomością – mówiąc to, podał Eduardowi kartkę.

– Krematorium – westchnął. – W komorze gazowej zaklinowały się drzwi. Trzeba pilnie coś z tym zrobić. Bierz narzędzia, idziemy. I zabierz kogoś jeszcze do pomocy. Kto wie, co tam się stało.

Więzień odwrócił się i zniknął. Eduard wstał zza małego biurka i wcisnął na głowę czapkę. Poprawił pas, zapiął kilka guzików i wyszedł z kantorka. W warsztacie panował hałas.

Na zewnątrz było dość chłodno. Początek listopada nie rozpieszczał pogodą. Eduard oparł się o ścianę baraku i zapalił papierosa. Stał chwilę, patrząc na kominy obozowej kuchni.

Minęło kilka minut, zanim pojawił się Edek z drugim więźniem. Obaj mieli przewieszane na ramionach duże skórzane torby narzędziowe.

– Idziemy! – Eduard rzucił niedopałek na ziemię.

Drugi więzień spojrzał na dymiącego peta z pożądaniem. Eduard dostrzegł to i uśmiechnął się.

– Jak się uwiniemy z robotą, to sobie zapalimy. – Klepnął tamtego w ramię.

Szli wzdłuż placu i skręcili w stronę bramy, nad którą wisiał napis *Arbeit macht frei*. Wartownik przy furtce, widząc sierżanta z dwoma więźniami, machnął tylko ręką i otworzył przejście. Powinien sprawdzić dokumenty, ale Eduard znał go dobrze i pewnie dlatego pominął procedurę.

Droga zajęła im ledwie kilka minut. Krematorium i komora gazowa znajdowały się na końcu obozu. Niski, betonowy bunkier obsypano ziemią. Z dachu wystawał zwalisty komin z czerwonej cegły. Bez przerwy pluł białawym dymem, który roznosił wokół słodkawy zapach. Cała okolica wydawała się przesiąknięta tym smrodem.

W krematorium pracowało specjalne komando więźniów. Nikt specjalnie się tu nie garnął, mimo że można było dostać lepsze jedzenie. I mniej ryzykowało się śmiercią.

Podeszli do bramy. Tym razem wartownik sprawdził dokumenty i spojrzał na kartkę ze zleceniem wykonania pilnej naprawy. Otworzył furtkę i przepuścił całą trójkę. Obeszli budynek z lewej strony. Pomiedzy dwoma wybiegającymi do przodu murkami znajdowała się szara ściana. Na jej środku były stalowe drzwi, a po ich bokach niewielkie, zakratowane okna.

W środku czekał na nich jeden z podoficerów, który odpowiadał za sprawne działanie krematorium i komory gazowej.

– Co się stało? – zapytał Eduard, unosząc rękę w geście powitania.

Tamten także uniósł dłoń, a potem wskazał głową na stalowe drzwi na wysokości pieców.

– Zaklinowały się. Musimy wynosić trupy przez tamte wejściowe. Ale to mocno opóźnia robotę.

Eduard uniósł lekko daszek czapki i spojrzał na drzwi.

W pomieszczeniu było bardzo gorąco. Dwa piece pracowały od rana bez ustanku. Z boku leżał już stos ciał, a więźniowie obsługujący krematorium wciąż donosili nowe.

– *Scheiße!* – zaklął i podszedł do drzwi. Kilka razy szarpnął za uchwyt, ale ani drgnęły. – Coś się wcześniej działo?

– Ciężko chodziły zawiasy.

– Zapiekł się. Musimy wejść do środka, zawiasy są z tamtej strony – powiedział do więźniów, których przyprowadził.

Przeszli przez kantorek i dostali się do komory gazowej. To było długie, niskie i dość szerokie pomieszczenie przypominające halę magazynową. Słabe żarówki i szare ściany pochłaniające rachityczne światło powodowały, że wewnątrz panował mrok. Strop przecinały masywne belki konstrukcyjne. Dosięgał ich spiętrzony stos nagich ciał, z którego więźniowie wrywali kolejne skręcone zwłoki i wynosili, biorąc pod nogi i ręce. Byli cali brudni, niemal czarni. Codziennie przesiewali popiół wybierany z palenisk w poszukiwaniu złotych zębów albo cennych rzeczy, które wcześniej udało się ukryć ofiarom. Mówiono im, że idą tylko do łaźni, ale gdy znaleźli się w środku, drzwi zamykano, a przez otwory w stropie wsypywano granulaty, z którego uwalniał się cyklon B.

Eduard ze swoimi pomocnikami minął stos trupów i podszedł do drzwi w bocznej ścianie. Świecąc wyjętą z kieszeni latarką, obejrzał zawiasy. Wyglądało na to, że jeden z nich nie był nasmarowany i się zapiekł. Wybicie trzpienia raczej nie wchodziło w grę.

– Trzeba nagrzać. Edek, daj lutlampę! – powiedział, wciąż przyglądając się zawiasom.

Tamten pogrzebał w torbie i wyjął z niej niewielkie urządzenie. Zaczął manipulować przy zaworach, a potem rytmicznym ruchem podpompował zbiornik. Odkręcił zawór i przyłożył do palnika zapaloną zapałkę. Płomień buchnął jasno, oświetlając pomieszczenie.

Eduard odwrócił się i w blasku ognia spojrzał na stos ciał. Z brzegu leżała naga kobieta. Miała zmienioną twarz, ale i tak ją poznał. Poczuł, jak nogi uginają się pod nim, a podłoga zaczyna wirować.

W ustach czuł słodkawy smak. Ktoś silnie uderzył go w twarz. Otworzył oczy. Nad nim stał Edek i już chciał mu wymierzyć

kolejny policzek. Powstrzymał się, widząc otwarte oczy Eduarda.

– Już? Lepiej? – zapytał, podając mu coś do picia.

Eduard zakrztusił się. To była wódka. Zaczął kaszleć. Uniósł się trochę do góry. Zobaczył, jak więźniowie sonderkommanda wciąż wynoszą kolejne ciała. Kobiety, która przed chwilą leżała przy drzwiach, już nie było.

– Eduard, wstawaj, bo jak tamten Szwab zobaczy, co się stało, będziesz miał kłopoty. – Edek pociągnął go do góry i chwycił pod ramię, przytrzymując.

– A co się stało? Głowa mnie boli. – Dotknął ręką czoła.

– Zemdląłeś.

– Co?!

– Zemdląłeś. Wyjdź stąd. My to zrobimy.

– Nie wiesz jak.

– Wiem. Dam radę.

Eduard dał za wygraną. Wyszedł na powietrze i przysiadł na murku. W głowie mu się kręciło.

\*

Eduard kiwał się na krześle, patrząc w okno. Przed nim na biurku stała opróżniona butelka wódki i trzy puste szklanki. Na stołku przy ścianie siedziało dwóch więźniów. Jeden z nich, oparty łokciami o kolana, palił papierosa. Drugi odchylił się do tyłu i przymknął oczy.

– Sram na ten awans – powiedział Eduard z trudem. – Mam to w dupie.

– Daj spokój. – Więzień otworzył oczy i spojrzał na niego.

– Edziu, popatrz, jak to się wszystko popieprzyło – mówiąc to, sięgnął pod biurko i wyjął kolejną butelkę. Zębami wyciągnął korek i rozlał wódkę do szklanek. – Pijemy! – powiedział stanowczo, stukając swoją szklanką o drugą. Wychylił całą

zawartość i uniósł leżącą z boku skórzaną teczkę. Wyjął z niej kawałek kiełbasy. Potem scyzorykiem przeciął ją na dwie części.  
– Jedzcie!

Obaj więźniowie sięgnęli po kiełbasę. Ten z papierosem chciał wziąć szklanę z wódką, ale Edek pokręcił przecząco głową.

– Już nie – powiedział cicho. – Musimy go pilnować. Jak się urżnie, to wiem, co potrafi.

– *Was hast du gesagt?* – Eduard przechylił się do przodu. – Co powiedziałaś? Ja się urżnę? – Mówiąc to, sięgnął do pasa i rozpiął kaburę. Wyjął lugera 08 i drugą ręką wprawnie odciągnął zamek. – Chcesz zobaczyć, co zrobię, jak się urżnę? – zapytał, wymachując bronią.

Więzień rzucił się do przodu, wywracając jedną szklanę. Druga jakimś cudem nie upadła. Eduard był jednak szybszy. Uniósł broń wyżej i nacisnął spust. Huk dwóch wystrzałów poprzedził brzęk sypiącego się szkła. Mężczyzna chwycił esesmana za rękę i wyrwał mu broń.

– Schowaj to! – wrzasnął do kolegi, podając mu pistolet, a sam odwrócił się do drzwi, które w tym momencie się otworzyły. – Nic się nie stało! – powiedział ostro do stojącego w progu więźnia. Tamten cofnął się natychmiast i zamknął drzwi.

– Prawie nic – wybełkotał Eduard, sięgając po szklanę z wódką. – Zabiłem pieprzonego Adolfa. – Roześmiał się i wypił całą szklanę wódki. – Jeszcze Polska nie zginęła! – Zaczął śpiewać.

– Kurwa, ale bigos. Leć z tym natychmiast do szklarzy! – powiedział Edek, zdejmując ze ściany portret Hitlera. – Niech to szybko naprawią. A ty się zamknij! – Wymierzył palcem w Eduarda. – Bo nas wsadzą do bloku śmierci, a ty jutro wytrzeźwiejesz, patrząc Ruskom w oczy.

## ***Sierpień 2005 roku***

Małgorzata siedziała w osłupieniu. Staszek miał rację. Wszystko, co dotąd powiedziano, nie mogło się równać z jego wyznaniem. Zrobiło jej się głupio. Tak, to prawda, że i ona została adoptowana. Ale w innych okolicznościach. Trudno to było porównać.

Spojrzała na Kasię. Nie była się w stanie odezwać. Wiedziała, że cały świat jej siostry, to wszystko, co dotąd wiedziała, wali się powoli w ruinę.

– Po co ten Kogut przyjechał? – zapytała, licząc, że odwróci uwagę od najważniejszej rzeczy, którą powiedział Staszek.

Wujek wzruszył ramionami. Sięgnął po półmisek i nałożył sobie na talerz trochę sałatki.

– Kogut? – odezwał się, zaczynając jeść. Przełknął kilka porcji i zastanowił się. – Był pewny, że ojciec zginął. Takie chodziły słuchy w Bielsku. Że matka jest sama. – Pokiwał głową. – O ojcu nie padło ani słowo, ale się zorientował. Gdy robiła herbatę, wszedł za nią do kuchni. Na stole stał nasz niedojedzony obiad. Wiedział, że ktoś jeszcze jest w domu. Domyślił się. Nie wydał nas. Widocznie za bardzo kochał matkę, aby jej to zrobić.

– A skąd wiedzieli, że zginął?

– Ojciec był w partyzantce. Matka mieszkała w Wadowicach. Obserwowali dom. Wiedzieli, że w końcu przyjdzie. Jak go złapali, to miał sprawę w sądzie. Dziadek Kneblowski sporo

zapłacił adwokatowi, aby go z tego wyciągnął. Udało się, bo sąd uwierzył, że od tego, co widział w obozie, w głowie mu się pomieszało. Nie powiesili go, ale wywieźli do Berlina. Siedział w więzieniu. A potem, jak go wzięli do Volkssturmu, to miał pod sobą jakichś dwóch gówniarzy z Hitlerjugend.

Wszyscy spojrzeli na Staszka, który nalał sobie wódki i wypił, nie czekając na innych. Spojrzał na siostrzenicę i pokiwał głową.

– Jak myślisz, co by mu zrobili, gdyby się dowiedzieli, że trzy ruskie czołgi spalił? – zapytał, patrząc na Małgorzatę.

Zanim zdążyła odpowiedzieć, ciszę przerwał cichy śmiech. Mężczyzna siedzący z boku sali, który dotąd nie odezwał się słowem, trząśniętym się. Rękawem marynarki przecierał łzy płynące mu po policzkach.

– Co? – zapytał Staszek, marszcząc brwi. – O co chodzi?

Mężczyzna nadal się śmiał.

– Co cię tak śmieszy?

– To nawet ciekawa historia. I nie powiem, zaskoczyła mnie. Wszystko, co mówiliście. Aż trudno uwierzyć. Wszystko do siebie pasuje. Ale te bzdury, co teraz opowiadasz, to przesada.

– Jakie bzdury? – Staszek poderwał się z krzesła.

– O ruskich czołgach. O adwokacie – mówiąc to, zrobił poważną minę.

– A skąd możesz cokolwiek o tym wiedzieć? Rozmawiałem z ojcem wiele razy i mówił mi...

– O czym? O partyzantce? O tym, jak bronił Berlina?

– Nie tylko o tym. – Staszek usiadł. – Ale co, ty ubeku, możesz o tym wiedzieć! – Spojrzał na mężczyznę z pogardą.

– Dla ścisłości: pracowałem w Służbie Bezpieczeństwa, a nie w Urzędzie do spraw Bezpieczeństwa Publicznego. To różnica.

– Też mi praca – Staszek zadrwił.

– Praca jak każda inna. Jeśli dobrze pamiętam, twój ojciec pracą nazywał służbę w obozie śmierci. Wyłapałem to słowo



kilka razy w tym, co mówiłeś. – Na twarzy pojawił mu się kpiący uśmiech. – Twój ojciec miał wiele tajemnic, o których wciąż nie macie pojęcia. I trudno się dziwić.

Mężczyzna przebiegł wzrokiem po twarzach pozostałych członków rodziny.

– Czy wam się wydaje, że... – urwał nagle pytanie. – Tak – dodał po chwili namysłu, kiwając głową. – Tak właśnie się wam wydaje. Wierzycie w każdą bzdurę, którą oni wam wmówili. Zastanówcie się. Jaki adwokat?

Patrzyli na niego, nic nie rozumiejąc.

– A co do tego ma adwokat? – zapytała w końcu Kasia.

– Dziecko drogie. – Uśmiechnął się dobrodusznie. – Pomyśl chwilę logicznie. Gdyby twój dziadek był w partyzantce, to my byśmy o tym wiedzieli. Gdyby został złapany, to Niemcy by go rozwalili na poczekaniu. I też byśmy o tym wiedzieli. Nad tym, co się wtedy wydarzyło, całymi latami pracowali historycy. I nie tylko. – Mrugnął do niej. – Bo była dobra partyzantka i zła. Ta, którą się chwalało, i ta, którą ukrywano. Masz pojęcie, co to jest sąd wojskowy w czasie wojny? Co to jest dezercja? Tam nie ma adwokatów, a wyroki zapadają w piętnaście minut. Bo tyle zajmuje wypisanie dokumentów. Zresztą załóżmy, że tak było. Jakimś cudem nie dostał czapy. Trafił, co mało prawdopodobne, do Berlina. Znacznie bliżej była twierdza Breslau. Nikt by nie wiozł do Berlina jakiegoś sierżanta. Ale niech i tak będzie. Trafił do Berlina. I jakimś cudem zdjął mundur z zabitego żołnierza. I co?

Kasia wpatrywała się w niego, marszcząc brwi. Kątem oka dostrzegła także wujka, który otworzył usta. Domyśliła się, że on już chyba wie, dokąd prowadzi ta historia, ale sama wciąż nie potrafiła połączyć faktów.

Mężczyzna zdaje się dostrzegł to i zaczął jej tłumaczyć:

– Po zdobyciu Berlina przez dwa tygodnie zwycięskie armie grabiły, gwałciły i mordowały. Żadnych zasad. Nasze

podręczniki o tym milczą. Armia Czerwona już w drodze do Berlina dokonała około dwu milionów gwałtów. Polki też gwałcili. Wszystkie kobiety za swoją dawną granicą były dla nich zdobyczą wojenną. Szacuje się, że w samym Berlinie zgwałcono od stu do stu trzydziestu tysięcy kobiet. Wielokrotnie. Dziesięć tysięcy z nich popełniło samobójstwo. Ile okaleczono i zamordowano? To też tylko spekulacje. To była tajemnica taka sama jak Katyń. Po dwóch tygodniach rzezi żołnierze ponownie zostali sformowani i wycofani na tyły. Dopiero tam przeprowadzono demobilizację i wysłano ich do cywila. Czy wam się wydaje, że wasz dziadek wrócił do swojego plutonu i powiedział: Cześć, chłopaki, jestem, przez trzy lata przeszliśmy cały szlak bojowy, siedzieliśmy w okopach, głodowaliśmy i walczyliśmy. A teraz wracamy! A oni go rozpoznali i przywitali, wołając: Cześć, Bronek.

Teraz Kasia zrozumiała. Jej dziadek nigdy nie mógł być w partyzantce ani trafić do Berlina. To była naiwna legenda, którą im wmówiono.

W sali zapanowała martwa cisza. Wszyscy wciąż patrzyli na mężczyznę, wyczekując, czy jeszcze coś powie. Trwało to kilka minut, zanim się odezwał.

– To było tak nedorzeczne, że nawet my w to nie uwierzyliśmy. – Pokiwał głową.

– W co? – wydusił z siebie Staszek.

Mężczyzna przetarł dłonią twarz i zaczął się śmiać.

## ***Maj 1979 roku***

Dzwonek odezwał się natarczywym dźwiękiem, zagłuszając cicho grające radio. Mężczyzna spojrzął na aparat telefoniczny. Świeciła druga lampka od lewej, co oznaczało połączenie na linii wewnętrznej. Podniósł słuchawkę i nacisnął przycisk z mrugającym światelkiem.

– Podporucznik Jerzy Lisiewicz, słucham – przedstawił się regulaminowo.

– Podejź do mnie. – Bezbarwny głos po drugiej stronie nie wykazywał entuzjazmu.

– Tak jest – odpowiedział krótko i odłożył słuchawkę.

Gabinet starego znajdował się piętro wyżej. Parter budynku zajmowało biuro paszportów, na pierwszym piętrze mieściły się wydziały, a na drugim kierownictwo.

Lisiewicz wszedł do sekretariatu i uniósł dłoń, pozdrawiając sekretarkę. Oderwała się na chwilę od pisania na maszynie jakiegoś dokumentu. Spojrzała na niego, ale nie zareagowała na przywitanie. Z powrotem przeniosła wzrok na rękopis, który przepisywała. Uznał, że to przyzwolenie i może wejść do szefa. Nacisnął klamkę drzwi obitych czerwoną skórą. Za nimi znajdowały się drugie, identyczne. Podwójne drzwi i wygłuszenia stanowiły zabezpieczenie przed wydostaniem się na zewnątrz tego, o czym rozmawiano w gabinecie.

Szef siedział przy biurku, czytając coś zapisanego na kartce w kratkę.

– Siadaj! – powiedział, nie odrywając oczu od tekstu. Wreszcie zaśmiał się i podał dokument Lisiewiczowi, który już zajął miejsce przy stole dostawionym do biurka. – To twój klient – rzucił krótko.

Lisiewicz wziął odręcznie zapisaną kartkę i zaczął czytać. Pismo było drobne i chwiejne. Już sam jego wygląd wskazywał na emocje autora. Setki razy widział takie listy. W większości anonimowe donosy. Ten nie był anonimem.

Starszy sierżant Stanisław Serafin z oddziału ZOMO w Jeleniej Górze napisał notatkę służbową na temat obywatela Bronisława Żołnierowicza. Obywatel Żołnierowicz miał być niedawno w NRF, gdzie spotkał obywatela Janusza Czyżę. Czyż dwa lata wcześniej wyjechał, a właściwie uciekł na Zachód. Miał zgodę na wyjazd czasowy, z którego nie wrócił. Ludzie często tak robili. Podczas wycieczek czy służbowych delegacji zgłaszali się do ośrodków dla azylantów. Oczywiście mówili, że nie mogą wrócić do kraju z powodów politycznych. Pozwalano im zostać, choć powody często nie miały nic wspólnego z polityką. Nie działali w opozycji. Ten, kto działał, siedział na miejscu, bo tu mógł coś zrobić. Większość uciekinierów szukała po prostu łatwiejszego życia. Tylko wąska grupa wyjeżdżała, aby uniknąć represji za to, co robili, walcząc z władzą ludową.

Czyż należał do tych pierwszych. Obecnie mieszkał w Kolonii. Z informacji Serafina wynikało, że z Żołnierowiczem znali się dobrze jeszcze z Jeleniej Góry. A może nawet wcześniej. Obaj pochodzili ze Śląska.

Lisiewicz z zaskoczeniem odczytał kolejne zdanie: „Jak mi jest wiadomo, to Czyż oraz Żołnierowicz byli w armii hitlerowskiej i zajmowali jakieś stanowiska w SS lub gestapo”. To było tak nonsensowne, że przeczytał to jeszcze dwa razy, zanim przeszedł dalej.

Serafin informował o wyjeździe Czyża, który opuszczając Polskę, jechał w pociągu z jakąś kobietą w oddzielnych przedziałach. Rozdzielili się celowo, aby wywieźć za granicę cenne znaczki pocztowe.

– I co o tym myślisz? – Naczelnik wpatrywał się w okno. – Oczywiście trzeba to sprawdzić, ale... hm...

Teraz inspektor spojrział na szefa, wykrzywiając usta.

– Ten wyjazd do Niemiec oczywiście był za naszą zgodą. Współpracownik otrzymał zadania do realizacji. Zameldował nawet o spotkaniu z Czyżem. Przyszedł też raport z PT. Po powrocie Żołnierowicz dzwonił do jakiejś Trudy. Jeśli dobrze pamiętam, chciał przez nią nawiązać kontakt z Barbarą. Ta Basia była narzeczoną Czyża, który miał co do niej poważne zamiary. Teraz stara się ją sprowadzić do Niemiec i wziąć ślub. Te same informacje były z biura W. Żołnierowicz napisał list do Barbary, przekazując informacje na temat Czyża. Żadna rewelacja.

– Ciekawi mnie tylko to SS czy gestapo.

– Moim zdaniem to jakaś bzdura. Sprawdziłem go przed werbunkiem. Był objęty rozpracowaniem w ramach kwestionariusza ewidencyjnego kryptonim „Pilot”. Pochodzi z Kowaliszek pod Wilnem. W czasie wojny nauczył się niemieckiego, pracując jako robotnik w gospodarstwie jakiegoś Niemca. Po wojnie przyjechali na nasze Ziemie Odzyskane. Najpierw mieszkali gdzieś koło Rawicza. Luboszyce? Albo Luboszyca? – Lisiewicz zmarszczył brwi, próbując sobie przypomnieć. – Jeśli dobrze pamiętam nazwę. To gdzieś pomiędzy Lesznem a Rawiczem. Potem przyjechali za teściami do Jeleniej Góry. Jako współpracownik od siedemdziesiątego szóstego, ale już trzy lata wcześniej pisał notatki jako kontakt operacyjny.

– A jak wyniki?

– Bardzo dobre. Zadania wykonuje sumiennie. Wykazuje własną inicjatywę, zdobywa przydatne informacje. Zależy mu, bo za każde spotkanie otrzymuje gratyfikację.

– Ile?

– Tysiąc złotych, niewiele mniej niż jego emerytura. Poza tym nie robimy mu trudności w otrzymaniu paszportu. Siedemnaście wyjazdów do NRD, pięć do Bułgarii, tyle samo na Węgry. Kilka razy był w Austrii i Niemczech Zachodnich. Nie przyznał się, że przy okazji był też we Francji, Holandii i Belgii.

– Kontrwywiad?

– Sprawdzali. Odwiedza ludzi, których poznał w Polsce. Utrzymuje sporo kontaktów. Parę razy wyjeżdżał z żoną, raz córkę zabrał. Teraz wystąpił o zgodę na wyjazd do Austrii, aby odwiedzić siostrę, która mieszka pod Wiedniem. Camila Wenzl.

– A o niej coś wiemy?

– Oczywiście. W czasie wojny wywieziona na roboty, a potem wyszła za mąż za Austriaka i została. Żołnierowicz był u niej pierwszy raz w pięćdziesiątym siódmym.

– I nie uciekł?

Lisiewicz wzruszył przepaszająco ramionami, co wywołało rozbawienie naczelnika.

– Jakby miał się czego bać, toby nie wrócił. Szef wie, jak w tamtych czasach było.

Przełożony pokiwał potwierdzająco głową. Doskonale wiedział, bo trafił do resortu zaraz po tym, jak Urząd do spraw Bezpieczeństwa Publicznego zmienił się w Służbę Bezpieczeństwa. Prymitywnych sadystów zastąpili wtedy wykształceni ludzie, którzy woleli pracę operacyjną od wymuszania zeznań biciem. Trwało to wiele dłużej, ale dawało lepsze efekty.

– W Wiedniu też mam dla niego parę spraw. Od kapitana Szwajkiewicza i kapitana Szczepaniaka otrzymałem listę zadań. Żołnierowicz ma odwiedzić synową. Właściwie byłą synową.

Mieszka w pensjonacie należącym do kobiety, która związała się z Polakiem. Facet uciekł na Zachód i teraz pracuje w ośrodku w Traiskirchen pod Wiedniem. Taka przechowalnia dla uciekinierów ze Wschodu. Oficjalnie ma tam pojechać w sprawie kupna samochodu od tego Polaka. Będzie miał możliwość spędzić z nim kilka godzin, więc chcemy, aby spenetrował środowisko. Ma się zorientować, kto tam mieszka, czy są osoby rozsiewające wrogą propagandę na temat naszego kraju i ustroju socjalistycznego, w jakich kierunkach zamierzają emigrować. I głównie z kim się kontaktują.

– Bardzo dobrze. A co z wycieczkami na naszym terenie?

– Dostarcza nam mnóstwo informacji.

– Czyli, jak to u nas. Uprzejmie donoszę... – Zaśmiał się. – Sprawdźcie to dla pewności i włączcie do jego teczki osobowej. I sprawdźcie, dlaczego ten Serafin nie lubi naszego człowieka. Dobrze, że to od razu do mnie trafiło.

Pułkownik pochylił się do przodu, co oznaczało, że temat uważa za zamknięty. Lisiewicz wstał i spojrzał na szefa.

– Odmeldowuję się! – Kiwnął głową.

– A, i porozmawiajcie z tym zomowcem. Zajęliśmy się sprawą, sprawdzamy. – Zmienił ton, dyktując z powagą, co trzeba powiedzieć. – Pochwalcie za czujność, za inicjatywę. Powiedzcie, że dobrze zrobił. Trzeba go uspokoić, aby jęzorem nie mieli takich głupot, bo nam dobrego agenta spali – mówiąc to, potakiwał głową. – Zresztą sami wiecie, jak się to robi.

– Tak jest, szefie! – Lisiewicz jeszcze raz skinął głową i wyszedł z gabinetu.

Sekretarka akurat skończyła przepisywać pismo i tym razem obdarzyła go ledwie widocznym uśmiechem. Zawsze była powściągliwa i małomówna. W tej pracy to stanowiło zaletę. Ci, którzy wciąż coś mówili, niezbyt długo zagrzewali miejsca w Służbie Bezpieczeństwa. Tu trzeba było słuchać i zadawać pytania. I obserwować. To Lisiewiczowi wychodziło najlepiej.

Patrzył i wiedział, czy ktoś kłamie, czy mówi prawdę. Czy informacje są prawdziwe i mają wartość, czy to tylko śmieci. Właśnie dlatego z niektórych agentów trzeba było po jakimś czasie zrezygnować. Godzili się na współpracę, bo nie mieli wyjścia. A potem przynosili bezwartościowe informacje.

Rozmowa werbunkowa była tak przygotowana, że nie dało się z niej wyjść bez podpisania zobowiązania. Figurant był bezbronny. Nieświadomy, z kim i po co ma się spotkać. A oficerowie, zawsze dwóch, dobrze przygotowani. Z kilkoma wariantami działania. Wiedzieli, co zrobić w przypadku napotkania oporu. To było doskonale zaplanowane polowanie.

Nie werbowano osób przypadkowych. Na werbunek trzeba było dostać zgodę przełożonego. Dokładnie uzasadnić, do jakich zadań będzie wykorzystany figurant, do jakich informacji i środowisk ma dostęp, jakie korzyści przyniesie służbie. Dopiero wtedy następował etap przygotowań. Otoczenie ofiary siecią tajnych współpracowników i kontaktów operacyjnych. Zbieranie informacji kompromitujących, które mogły posłużyć do szantażu. Wódka, seks, pieniądze. Na tych trzech filarach opierało się niemal wszystko.

Gdy dochodziło do werbunku, oficer najpierw odwoływał się do wartości patriotycznych i podkreślał, że kandydat może bardzo pomóc ojczyźnie. W wielu wypadkach to wystarczało. Ludzie byli zaskoczeni tym, co się dzieje, i podpisywali oświadczenie o zachowaniu kontaktów ze służbą w tajemnicy. Do tego sami wybierali kryptonim, którym mieli się posługiwać. To był chwyt psychologiczny, który jeszcze bardziej wciągał ich w grę. Jeśli się opierali, wyciągano argumenty. Pojawiała się sugestia, że mogą wypłynąć niewygodne informacje. Żona nie ma pojęcia o niewierności. A są przecież dzieci. Albo w zakładzie pracy mogą pojawić się problemy, gdy wyjdzie na jaw jazda po pijaku. Robiło się nerwowo. A oficerowie przecież mogli pomóc. Porozmawiać z kim trzeba, aby niewygodne fakty



nigdy nie ujrzały światła dziennego. Ale potrzebowali pomocy. Kandydat nie miał wyboru. Decyzja musiała zapaść tu i teraz. I zapadała.

Później omawiano sposób kontaktu; jak będą organizowane spotkania i gdzie będzie do nich dochodziło. Na koniec współpracownik otrzymywał zadania i termin, w jakim ma je wykonać.

Spotkania zwykle wyglądały podobnie. Przekazanie informacji, wyznaczenie nowych zadań. Rutyna. Ale tylko pozornie. Oficer zawsze zbierał informacje od kilku współpracowników i wyznaczając im zadania, weryfikował to, co otrzymał od innych agentów. Często nawzajem na siebie donosili, nie mając pojęcia, że ten drugi też współpracuje z tajniakami.

W uproszczeniu w podobny sposób działały wszystkie tajne służby na całym świecie. Zasady pracy operacyjnej były wszędzie takie same. Izraelski Mosad, radzieckie GRU, a nawet niemieckie gestapo w czasie wojny.

Lisiewicz włączył do tego jeszcze nieregulaminową intuicję. Szósty zmysł, dzięki któremu potrafił ocenić, czy współpracownik go nie oszukuje. Czasem potrzebował do tego jakiegoś rekwizytu. Tak było tym razem. Nie miał pojęcia, jak inaczej mógłby zweryfikować informacje przekazane przez sierżanta ZOMO. Ale miał coś, co mogło wywołać u agenta Karola reakcję.

Wykręcił pięć cyfr na tarczy telefonu i przyłożył słuchawkę do ucha. Po pięciu sygnałach ktoś odebrał.

– Halo, słucham – odezwał się kobiecy głos.

– Dzień dobry. Z tej strony Kaczmarek z Gromady. – Użył jednej z kilku fałszywych tożsamości, którymi się posługiwał. To nazwisko było jednocześnie sygnałem wywoławczym. – Czy może pan Bronisław jest w domu? Mam dla niego nowe zlecenie.

– Nie, niestety, jest z grupą w Karpaczu. Będzie dopiero w sobotę. Czy coś mu przekazać?

– Nie trzeba, będę dzisiaj w Karpaczu, wiem, gdzie go znaleźć. Dziękuję pani serdecznie. Do widzenia.

– Do widzenia.

Lisiewicz usłyszał trzask odkładanej słuchawki.

– No to się przejedziemy. – Wstał z za biurka, narzucił na siebie kurtkę i wyszedł.

Była już prawie czwarta po południu, gdy minął tablicę Karpacz. Droga z Jeleniej Góry, która zwykle zabierała pół godziny, dzisiaj zajęła mu dwa razy dłużej. Musiał wstąpić do domu i zabrać coś, co miało mu pomóc w spotkaniu. Wiedział, że o tej porze grupy wycieczkowe wracają do hotelu. Zwykle kolację podawano o siódmej, więc przewodnicy mieli trzy godziny na odpoczynek. Oczywiście nie odpoczywali. Chętnie przesiadywali z gośćmi, popijając piwo w hotelowym barze. Pracowali w ten sposób na swoją prawdziwą wypłatę. To, co dostawali oficjalnie, było niczym w porównaniu ze zrzutką do kapelusza robioną na pożegnanie przez zagranicznych turystów. Papierowe dziesiątki, dwudziestki, a czasem i banknoty o nominale pięćdziesięciu marek. Z jednej dobrej grupy pilot mógł zgarnąć tyle, ile Lisiewicz zarabiał przez pół roku. To była prawdziwa żyła złota, do której oficer bezpieczeństwa też się dokładał. Za każde spotkanie wypłacał dodatkową gratyfikację.

Żołnierowicz bez trudu został pozyskany jako agent. Natychmiast zrozumiał patriotyczne podstawy współpracy z bezpieczeństwem. Lisiewicza nawet to zdziwiło, że nie musiał go specjalnie przekonywać. Oczywiście miał argumenty. Figurant zataił, że w przeszłości popadł w konflikt z prawem. Na początku lat sześćdziesiątych kupił od znajomego narzędzia. Dobrze wiedział, że zostały skradzione ze szlifierni w Sobieszowie. Dostał za to grzywnę i wyrok w zawieszeniu,

który z czasem uległ zatarciu. Ale nie dla Służby Bezpieczeństwa. Gdyby ta informacja wypłynęła, mógłby od razu pożegnać się z zagranicznymi turystami i z hotelem Skalny.

Wtedy, podczas rozmowy werbunkowej, Lisiewicz uznał, że chodziło właśnie o wyrok w zawieszeniu. Zakładał, że figurant obawia się, by безпеka nie zaczęła grzebać w jego życiu. Nie mógł wiedzieć, że już znali tę tajemnicę. Teraz jednak sprawa się skomplikowała. Donos wydawał się absurdalny, ale należało sprawdzić każdą, nawet najbardziej nieprawdopodobną informację.

Przed hotelem stały trzy zagraniczne autokary. Lisiewicz zagadnął w wejściu portiera. Był tak zwanym kontaktem operacyjnym i doskonale wiedział, z kim rozmawia. Bezpieczniacy przymykali oko na jego drobne interesy z wymianą waluty, w zamian uzyskując informacje.

Portier od razu zameldował, że w obiekcie mają teraz pięć grup z Niemiec Zachodnich. Trzy już wróciły z objazdu po okolicy. Dwie pozostałe powinny pojawić się lada moment. Lisiewicz nie dopytywał o szczegóły, bo nie chciał, aby tamten zorientował się, o kogo mu chodzi. W hotelu mnóstwo osób pracowało „na kontakcie” ze służbą. Szatniarze, kelnerzy, recepcjoniści, pokojówki, nie wyłączając kadry kierowniczej.

W holu panował niewielki ruch. Wszedł do hotelowego kiosku, którego agent też był „na kontakcie” z bezpieczeństwem. Potem pokręcił się chwilę dla niepoznaki i w końcu usiadł w barze. Zamówił herbatę z cytryną i czekał. Wiedział, że jego klient go zauważy. Nie pomylił się. Piętnaście minut później do holu wtoczyła się spora grupa Niemców. Tak jak przypuszczał, większość odebrała w recepcji klucze i poszła do pokoi. Kilka osób stało, rozmawiając jeszcze z przewodnikiem. Tym, na którego czekał. Wreszcie zaproponowali, aby usiąść na chwilę

w barze. Wtedy Żołnierowicz go zauważył. Przeprosił gości i podszedł do stolika.

– Dzień dobry – powiedział swoim niskim, donośnym głosem.

– Co za spotkanie.

Lisiewicz był pewny, że zdziwienie jest udawane. Uniósł się i podał rękę.

– Usiądzie pan na chwilę? – zapytał uprzejmie.

– Oczywiście... – Żołnierowicz zawahał się – ...tylko nie na długo. Pan rozumie. – Wskazał skinieniem głowy na kilku Niemców, którzy zajęli już stolik i składali zamówienie u kelnera. Młody chłopak w służbowym uniformie niemal giął się przed nimi wpół.

– Rozumiem – odpowiedział z porozumiewawczym skinieniem głowy. – Załatwiałem sprawy w Karpaczu i przy okazji wpadłem. Telefonowałem, pana żona mówiła, że będzie pan dopiero w sobotę. A ja wybieram się na urlop i zależało mi, aby się umówić na spotkanie. Chciałem obgadać kilka spraw przed pana powrotem do domu.

– A tak – potwierdził Żołnierowicz i ponownie spojrzał na Niemców. Na ich stoliku stało już kilka butelek piwa Żywiec z tańczącą parą na etykiecie.

– Znalazłby pan chwilę jutro? Podjadę do Karpacza.

– Oczywiście, ale może nie tutaj.

– Tam, gdzie zwykle.

– Mogę być o piątej.

– Doskonale.

– To jesteśmy umówieni. – Żołnierowicz wstał i chciał się pożegnać. Wyciągnął dłoń, ale Lisiewicz się nie podniósł.

– Mam tu jeszcze coś dla pana. – Ręką sięgnął do kieszeni marynarki i wyjął niewielką książeczkę formatu połowy kartki z zeszytu.

– Doprawdy? – Przewodnik usiadł z powrotem.

– Reportaż. Doskonały. To może pana zainteresować – powiedział, podając książeczkę.

– Krzysztof Kąkolewski, *Co u pana słyhać?* – Żołnierowicz odczytał nazwisko autora i tytuł, po czym zrobił zdziwioną minę. – Nie czytuję reportaży. – Wzruszył ramionami.

– Widzi pan, ten Kąkolewski pojechał do Niemiec i odnalazł kilkunastu nazistów, którzy w czasie wojny pełnili ważne funkcje. W większości w SS. Na przykład taki doktor Hans Fleischhacker, antropolog. Był w Auschwitz i nadzorował zamordowanie do celów naukowych – te dwa słowa podkreślił, robiąc jednocześnie gest dłońmi, biorąc słowa w cudzysłów – stu piętnastu Żydów, Polaków i Azjatów. Ich ciała zostały spreparowane i wysłane do Berlina jako eksponaty do dalszych badań.

– Dlaczego pan mi o tym mówi? – przerwał mu ostro Żołnierowicz.

– Widzi pan, wśród tych Niemców... – tu wskazał na grupę czekającą na Żołnierowicza – ...nie konkretnie tych, wśród turystów, którzy przyjeżdżają obecnie do Polski, jest sporo osób, które mogą mieć coś na sumieniu. Chodzi o to, aby miał pan oczy i uszy otwarte. Może uda się panu coś usłyszeć. Znaleźć wśród nich kogoś, kto zainteresuje Komisję Badania Zbrodni Hitlerowskich. Oni wciąż szukają ukrywających się esesmanów. Kąkolewski odnalazł kilku. Nie da się ich postawić przed sądem. Ale zadał im pytanie: „Co u pana słyhać?”. Żyją spokojnie, są wykładowcami na uniwersytetach, tak jak Fleischhacker, albo adwokatami. Nigdy nie odpowiedzieli za swoje zbrodnie. Takich jak oni są tysiące.

Żołnierowicz pokiwał tylko głową. Twarz miał poważną. Lisiewiczowi wydawało się, że jego zmarszczki nagle się pogłębiły, a wzrok zrobił się zamglony. Przełknął ślinę, wciągnął głęboko powietrze i wstał.

- Będę miał oczy i uszy otwarte. – Podał rękę Lisiewiczowi i kłaniając się, odszedł, zabierając niewielką książeczkę.
- Coś w tym jest. Tylko co? – bąknął pod nosem Lisiewicz.

## ***Sierpień 2005 roku***

- To kłamstwo! – krzyknęła Kasia, zrywając się z miejsca. Lisiewicz pokiwał tylko głową, patrząc jej w oczy.
- Kłamie pan! To nieprawda!
- Co jest nieprawdą?
- Wszystko. Mój dziadek nigdy by...
- Czy tego chcesz, czy nie, twój dziadek był tajnym współpracownikiem Służby Bezpieczeństwa. Sam podpisał zobowiązanie do współpracy i wybrał sobie kryptonim Karol. Osobiście wyrejestrowałem go z sieci agenturalnej w osiemdziesiątym drugim roku. Był już tak chory, że nie mógł prowadzić grup. Dla nas stał się bezużyteczny. Zmarł dwa lata później. Byłem na jego pogrzebie. Jest pochowany razem z twoją babcią. W tym samym grobie, w którym dzisiaj pochowałaś matkę. Wiem, że to trudna prawda, ale...
- Ale nie we wszystkim mieliście rację – przerwał mu Staszek.
- Niektóre rzeczy się nie zgadzają, więc sporo z tych rewelacji też może nie być prawdą.
- Co na przykład? – odparował Lisiewicz wyzywająco.
- Na przykład siostra mojego ojca. Jak to było? Wywieziona w czasie wojny na roboty?
- Rzeczywiście. W świetle ujawnionych faktów nie ma wątpliwości. Była Niemką. Raczej uciekła do Austrii. Pewnie już nie żyje, więc niczego się nie dowiemy.

– Czyżby? – Staszek spojrział na starszą kobietę, która od kilku godzin siedziała na końcu stołu z kamienną twarzą. Nikt nie zwracał na nią uwagi.

Uniosła brwi, widząc, że wszyscy w jednym momencie na nią spojrzeli. Jej wąskie, pomalowane jaskrawoczerwoną szminką usta wyznaczały linię prostą, mocno kontrastując z bladą, pomarszczoną twarzą. Mimo wieku miała nadal bystre spojrzenie. Zadziwiał przy tym brak okularów. Włosy gładko zaczesane i upięte w staromodny kok. Na czarną sukienkę zarzuciła chustę zdobioną ludowymi wzorami austriackimi.

– Cholera jasna! – powiedziała nagle, dość niewyraźnie wymawiając słowa.

– Co?! – Kasia otworzyła usta ze zdumienia. – To ona mówi po polsku?!

– Ona mówi. Ona rozumie. Ona wie, jak było. – Słowa brzmiały dość dziwnie. Staruszka wymawiała je z trudem: – Ona mówi po polski jak każdy z Bielitz.



# 20

## *Lipiec 1944 roku*

Na schodach rozległo się dudnienie ciężkich, podkutych butów. Komuś bardzo się spieszyło.

– Jak zawsze – powiedziała Camila do siebie, wycierając ręce w ścierkę zawieszoną na drążku okalającym płytę kuchennego pieca. W tej samej chwili usłyszała trzaśnięcie drzwi i tupot w przedpokoju.

– Stało się coś? – zapytała z uśmiechem, nachylając się, by pocałować brata.

– Stało. – Cmoknął ją w policzek i opadł na krzesło, dysząc ciężko.

– Jak zawsze. Nalać ci zupy?

– Nic nie rozumiesz. Muszę uciekać.

Dopiero teraz usłyszała w jego głosie coś niepokojącego. Zwykle uśmiechnięte oczy Eduarda były teraz pełne strachu. Mówiono o nim Lustige Eduard, bo bez przerwy się śmiał i wciąż robił kawały. Teraz ta wesołość gdzieś zniknęła. Mundur miał niedopięty, przekrzywiony pas i zabłocone buty.

– Zostałeś skierowany na front? – zapytała niepewnie, siadając obok niego. Wzięła go za rękę.

– Gorzej.

– Gorzej? Co może być gorszego? Mów.

– Złapali chłopaka, który uciekł niedawno z Żydówką. Wiozą ich do Auschwitz. Trafiają do bloku śmierci.

– Ale co ty masz z tym wspólnego? Mówiłeś o tym w niedzielę przy obiedzie. Pamiętam, że już nie pracował w twoim komandzie.

– Ale to ja mu pomogłem.

Camila uniosła dłoń, przykrywając usta.

– Boże, jeśli on się przyzna...

Eduard pokiwał głową.

– Nie tylko on. Mała też pewnie wie, kto mu pomógł.

– Pomógł? Ale jak?

– Dałem mu swój zapasowy mundur. I lugera, którego kiedyś zwędziłem jednemu wartownikowi. Schlał się i zostawił broń. Wysłali go za to na front.

– Eduard, coś ty narobił! Matka wciąż mówiła, abys uważał. Mogłeś pomagać, ale nie tak. To było za dużo, każdy widział, że codziennie nosisz tam żywność.

– Przecież wiesz...

– Wiem, wiem! – przerwała mu. – Nie robiłeś tego za darmo. Ale jej ciągle mało.

– Camila, daj spokój. Teraz to nie ma znaczenia. Muszę uciekać.

– Ale jak? Dokąd? To dezercja, za to jest wyrok śmierci.

– Ojciec Hildy mi pomoże. Zna kogoś, kto mnie ukryje na wsi. Ja też mam kontakty z ruchem oporu. Dostarczałem im listy z Krakowa. Zaświadczą za mnie. Przynajmniej... mam nadzieję. Ale wy też musicie uciekać. To już kwestia miesięcy.

– Co ty mówisz? Jak to?

– Nie słuchaj propagandy. Przegrywamy na wszystkich frontach. We Francji wylądowali Anglicy i Amerykanie. We Włoszech to samo. A na nas idą Rosjanie. Porozmawiaj dzisiaj z matką i z Hedwig. Ja zniknę jutro rano. Wy weźcie najpotrzebniejsze rzeczy i to, co jest w schowku. Musicie to dobrze ukryć. I zabierz ten obraz.

– Obraz?

– Tak, ma ogromną wartość. Namalował go Ksawery Dunikowski. Zapamiętasz?

– Tak.

Kiwnęła głową, ale Eduard nie był pewny, czy rozumie. Mimo to mówił dalej:

– Jedźcie do Wiednia i dalej gdzieś w głąb kraju. Tam będzie bezpieczniej niż tu. Jak to wszystko się skończy, odnajdziemy się jakoś. Piszcie listy do Kneblowskiego, na adres w Białej.

Camila wstała i podeszła do okna. Dzień był piękny. Na ulicy panował niewielki ruch. Widziała powiewające czerwone flagi ze swastyką. Było tak spokojnie.

– Jesteś pewien? – zapytała z obawą w głosie. – Mówią, że to chwilowe, że szykujemy się do ofensywy i ostatecznego pobicia wroga.

– To ma uspokoić takich jak ty. Nawet oficerowie mówią głośno, że to koniec. Grabią, ile się da. Wynoszą z Kanady złoto i dolary. Nie ma na co czekać. Potem może być za późno. Jeśli ja zniknę, to do was przyjdą. Będą mnie szukać. Gestapo nawet Niemców potrafi zmusić do zeznań. Dlatego wyjedźcie rano, nikt nie zwróci uwagi.

Wstał i podszedł do siostry. Objął ją i pocałował w głowę.

– Być może widzimy się ostatni raz.

Camila się rozplakała.

Następnego dnia wczesnym rankiem pobiegła do ogródka. Od początku wojny same uprawiały warzywa. Z konieczności. Z zaopatrzeniem było ciężko, a własny ogród bardzo ułatwiał życie.

Rozejrzała się ostrożnie, czy nikt jej nie obserwuje. Odsunęła ciężki kamień pomiędzy ogrodzeniem a studnią. Skrytka, w której Eduard przechowywał to, co przyniósł z obozu, była pusta. Nie zastanawiała się już nad tym. Wróciła do domu, a potem razem z matką i młodszą siostrą wsiadły do pociągu. Tak jakby jechały na kilkudniowy urlop.

Pierwszy list przyszedł w tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym szóstym roku. Nadawcą był Bronisław Żołnierowicz. Z treści zrozumiała, że to jej brat Eduard. Domyśliła się, że musiały do niego docierać jej listy. Pisał, że teraz mieszkają w Jeleniej Górze na Dolnym Śląsku. Że ma syna i córkę. Prosił, by wysłała mu zaproszenie, bo wtedy będzie mógł się ubiegać o zgodę na wyjazd. Bardzo chciał je odwiedzić.

Camila mieszkała razem z siostrą i matką w małym mieszkaniu. Wszystkie pracowały, ale i tak nie było im lekko. Tak jak prosił, wysłała list z zaproszeniem. Rok później Eduard zawiadomił, że dostał zgodę na wyjazd. A potem przyjechał. Po trzynastu latach niewidzenia. Co to była za radość. Wyglądał zupełnie inaczej. Zmężniał, był postawnym, wysokim mężczyzną. Nosił wąsy i brodę. Ale znowu można było o nim powiedzieć Lustige Eduard.

Dopiero gdy się spotkali, mógł opowiedzieć, co działo się od chwili rozstania. Ukrywał się na wsi jeszcze długo po tym, jak pojawiła się Armia Czerwona. Po zakończeniu wojny Kneblowski zdobył dla niego fałszywe dokumenty. Teściowie wyjechali na Dolny Śląsk. A on z Hildą i synem tułał się po wsiach w Wielkopolsce. Tam urodziła im się córka. Gdy minęło dziesięć lat, uznali, że jest bezpiecznie. Przenieśli się do Jeleniej Góry. Wszystko się układało, ale wciąż się bał, że ktoś go rozpozna.

Eduard był w Wiedniu miesiąc. Do ostatniej chwili wahał się, czy powinien wrócić. Matka i młodsza siostra namawiały go, aby nie ryzykował. Chciały wyjechać do Australii. Uznał jednak, że nie może porzucić żony i dzieci. Wyjechał, ale od tego czasu regularnie pisali listy. One zaczęły nazywać go Bronkiem.

Camila była w Polsce kilka razy. Nawet Hedwig przyjechała odwiedzić brata z okazji urodzin Kasi. Nie spodobało jej się to, co zobaczyła. One wciąż żyły w trudnych warunkach, ledwo wiążąc koniec z końcem. Ich bratu niczego nie brakowało. Miał

piękny, duży dom i dobrą pracę. Miał też żonę, do której nigdy nie pałały sympatią. Zresztą z wzajemnością. Nie miała skrupułów, by powiedzieć, że w Polsce jest ciężko i wszystkiego brakuje. Nie to co w bogatej i dostatniej Austrii. Powiedziała to, siedząc za suto zastawionym stołem. Dała w ten sposób do zrozumienia, że oczekują pomocy.

Hedwig po powrocie do domu napisała list. Wyliczyła, ile kosztuje w Australii mieszkanie i ile zostaje im na życie. Wyglądało na to, że jej brat jest bogaczem. Drugi raz napisała po tym, jak z matką straciły dach nad głową. Ale nie doczekały się od brata żadnej pomocy. Wprost przeciwnie. Do Camili wysłał swojego syna, by ten zarobił trochę przy winobranii.

## ***Sierpień 2005 roku***

– Chyba już wszystko wyjaśniliśmy. – Staszek wstał od stołu. Ciężko oddychał. Widać było, że te kilka godzin kosztowało go sporo zdrowia.

– Chodźmy, ciociu – powiedział do starej kobiety.

Camila wstała. Staszek pomógł jej włożyć płaszcz. Gdy była już przy drzwiach, zatrzymała się. Spojrzała na Kasię i Małgorzatę. Siedziały bez ruchu. Potrzebowały czasu, aby poukładać sobie w głowie wszystkie rodzinne historie.

– Nigdy nie zapomnę, jaka była wasza babka. Gdyby nie ona, Eduard nie musiałby się bać przez całe życie. – Odwróciła się i wyszła.

Nikt nie powiedział już ani słowa.

# Od autora

W 2007 roku historię Eduarda Lubuscha *vel* Bronisława Żołnierowicza opisałem na łamach tygodnika „Newsweek”. Reportaż powstał na podstawie relacji członków rodziny i posiadanych dokumentów.

Syn Eduarda Lubuscha podczas pogrzebu siostry ujawnił nowe fakty. To było jego ostatnie spotkanie z siostrzenicami. Kilka lat później zmarł. Zgodnie z ostatnim życzeniem o jego śmierci nie zawiadomiono córek siostry.

Podczas prowadzonej przez kilka lat kwerendy próbowałem zweryfikować informacje podane przez syna Lubuscha. Niestety, wiele z nich nie znalazło potwierdzenia w materiałach archiwalnych. Nie udało się odnaleźć dokumentów potwierdzających, aby kiedykolwiek wstąpił do polskiej partyzantki. Także wersja o aresztowaniu przez gestapo, sądzie i wywiezieniu do Berlina wydaje się nieprawdopodobna.

W Deutsche Dienststelle w Berlinie znajduje się adnotacja, że Eduard Lubusch został przyjęty na stan Wehrmachtu 18 marca 1940 roku i wypisany z rejestru 20 listopada 1942 roku. Nie miał żony ani dzieci. Natomiast w jedyne zachowanych dokumentach Zentralbauleitung der Waffen-SS und Polizei Auschwitz znajduje się pismo potwierdzające zawarcie 11 lutego 1943 roku związku małżeńskiego Eduarda Lubuscha z Hildegardą Kneblowski.

Dokumenty Bronisława Żołnierowicza znajdują się w Instytucie Pamięci Narodowej. 23 października 1976 roku

podjął współpracę ze Służbą Bezpieczeństwa, przyjmując kryptonim „Karol”. Od roku 1967 figurował w ewidencji jako KO (kontakt operacyjny). W jego teczce osobowej znajduje się doniesienie sierżanta Serafina, który informował, że Żołnierowicz prawdopodobnie jest Niemcem i pełnił ważne funkcje w niemieckim wojsku. Z dokumentów wynika także, że korespondencja i telefon Żołnierowicza były kontrolowane. Natomiast zachowane listy matki Eduarda Lubuscha Berty Lubusch i jego siostry Hedwig Hawlik zawierają mnóstwo informacji, które musiały naprowadzić Służbę Bezpieczeństwa na jego prawdziwe personalia.

W historii rodziny Lubuszków i Żołnierowiczów z lat wojny i czasów powojennych ciągle jest bardzo dużo niejasności, i chyba nie uda się już ich wyjaśnić. Choć powieść powstała na motywach prawdziwej historii, to nie wszystkie przedstawione w niej wydarzenia należy traktować jako relację dokumentalną. Ich przebieg zrekonstruowałem na podstawie przekazów i dokumentów w sposób prawdopodobny. Imiona i nazwiska niektórych bohaterów powieści zmieniłem.



„Newsweek”, 20.01.2007

## **Bali się całe życie**

Wiecznie się bał, że ktoś doniesie. Przez 39 lat ukrywał swoje prawdziwe nazwisko. Eduard Lubusch, esesman z Auschwitz, któremu wielu więźniów zawdzięcza ocalenie.

Zwykły zimny dzień, 10 marca 1984 roku. Na jeleniogórskim cmentarzu miejskim zebrało się kilkadziesiąt osób. Rodzina, znajomi, koledzy z Polskiego Biura Podróży Orbis. Przybyli towarzyszyć w ostatniej drodze Bronisława Żołnierowicza. Tylko kilka osób miało świadomość, kim naprawdę był leżący w trumnie człowiek, który przez większość życia ukrywał swoją tożsamość.

### **Sram na ten awans**

Jest rok 1941. Funkcję szefa ślusarni w obozie koncentracyjnym Auschwitz objął Eduard Lubusch. W archiwum Państwowego Muzeum Auschwitz-Birkenau zachowało się wiele relacji więźniów, którzy z nim się zetknęli. Jednym z więźniów pracujących w jego komandzie był Stanisław Trynka.

Ich znajomość zaczęła się od dorobienia tłoku i kilku drobiazgów do motocykla, którym jeździł. Umiejętności Stanisława Trynki podały Lubuschowi pomysł uruchomienia odlewni metalu. Trynka w zeznaniach relacjonuje przebieg rozmowy:

– Stasiu! Jeśli uruchomimy odlewnię żeliwa – przekonywał Trynkę – to będę mógł awansować. Tak naprawdę sram na ten

awans. Dzięki niemu będę mógł wymigać się od pójścia na front.

Matka Lubuscha, która była akuszerką w szpitalu w Bielsku, straciła już jednego syna na froncie wschodnim. Wszelkimi możliwymi sposobami chciała zapobiec wcieleniu Edka do Wehrmachtu. Uznała, że obóz koncentracyjny, w którym masowo eksterminowano Żydów i Polaków, jest najlepszym miejscem, gdzie można ukryć syna przed zawieruchą wojenną. Dzięki jej staraniom Eduard został wcielony do załogi SS. Mimo to nie miał spokoju. W każdej chwili przełożeni mogli odesłać go na front. Musiał zabiegać, by uznali jego pracę za bezwzględnie potrzebną.

Na początku 1942 roku zrabowano sprzęt z zakładu salezjańskiego w Oświęcimiu. Dzięki temu udało się zebrać urządzenia potrzebne do uruchomienia produkcji. Wykonanie pierwszego odlewu miało uroczysty charakter. Lubusch zadbał, by w wydarzeniu wzięli udział najwyżsi rangą oficerowie, nawet komendant obozu Rudolf Höss. Stanisław Trynka wspominał później, że cała ta praca była naciągana, ale mimo to Niemcy byli zadowoleni. W podziękowaniu Lubusch zafundował swoim pracownikom wódkę i dodatkowe jedzenie. Dzięki uruchomieniu odlewni awansował do stopnia rottenführera SS. Tym samym udowodnił przydatność w załodze obozu.

Mimo to nie miał dobrej opinii wśród przełożonych. W ślusarni, którą kierował, ratowano więźniów – przyjmowano ich na tak zwany wypoczynek. Podczas pracy u Lubuscha powoli powracali do sił. Trafiali do niego ludzie o bardzo różnych umiejętnościach, rzadko mający pojęcie o ślusarstwie. Stwarzało to wielkie ryzyko, ale w ten sposób udało się uratować wiele osób. Lubusch kilkakrotnie został ukarany za zbyt pobłażliwe traktowanie więźniów. Raz trafił do bunkra, w którym spędził kilkanaście dni w odosobnieniu. Nie

przyniosło to żadnego skutku, skierowano go więc do kompanii karnej w obozie Stutthoff. I tym razem efekt był zgoła odmienny. Po powrocie do obozu jeszcze łagodniej traktował więźniów. Kontakty ułatwiała mu biegła znajomość języka polskiego. Więzień Artur Krzetuski wspominał, że Lubusch po pijanemu śpiewał *Jeszcze Polska nie zginęła*. Innym razem upił się i strzelał do portretu Hitlera. Nie było to wcale śmieszne, bo w takiej sytuacji zwykle więźniów oskarżano o prowokację.

### **Żyli, jakby nie było wojny**

Jedenastego lutego 1942 roku Lubusch złożył podanie o zgodę na ślub z Hildegardą Martą Kneblowski. Kopia tego dokumentu jest do dzisiaj przechowywana w centralnym archiwum Wehrmachtu w Berlinie. W podaniu napisał, że przyszła żona jest Niemką, a wcześniej nosiła nazwisko Knoebl. Świadcami zostali esesman Johann Dangler i Renate Quitzau, policjantka z Auschwitz.

Marta i Eduard poznali się w Bielsku. Było to miasto, którego 80 procent mieszkańców stanowili Niemcy i Austriacy. Reszta to Polacy i Żydzi. Lubusch już wcześniej musiał pomagać rodzinie Kneblowskich. W archiwum rodzinnym zachował się życiorys jego teścia Jana, emerytowanego oficera Wojska Polskiego, który dwadzieścia lat po wojnie napisał: „Dzięki przygodnej znajomości udało mi się dostać pracę w kaflarni Szota oraz zakładzie instalacyjnym Budinera”. Jak wpływowa musiała być osoba, która mu to załatwiła, wskazuje fakt, że – choć Polak i patriota – nie trafił do obozu. Cała rodzina Kneblowskich była znana z patriotycznej postawy. Brat Marty brał udział w kampanii wrześniowej. Po klęsce jego oddział został przerzucony na terytorium Węgier. Mimo działań wojennych Marta odwiedziła go i bezpiecznie wróciła do Bielska. Świadcą o tym zachowane fotografie, na których widnieją odręczne notatki – dokładne miejsca i daty tej podróży. Przez blisko trzy

miesiące przebywała w Becheszu. Do dzisiaj nie wiadomo, w jaki sposób udało się jej wrócić na teren Generalnego Gubernatorstwa. Musiała mieć naprawdę dobre dokumenty.

Przez kolejne dwa lata żyli tak, jakby nie było wojny. Zdjęcia rodzinne dokumentują wycieczki, wyjazdy na narty, spacery. Wszystko w sąsiedztwie obozu zagłady. W październiku 1943 roku na świat przyszedł syn Waldemar.

### **Kradziona kielbasa**

W obozowym archiwum jest wiele relacji byłych więźniów. Jeden z nich, pracownik ślusarni Michał Kula, ukrywał w szafce z narzędziami zdobytą kielbasę. Kiedy o sprawie dowiedział się Lubusch, nie doniósł przełożonym – zdawał sobie sprawę, że karą za nielegalne posiadanie żywności była śmierć. Za to sam zaczął potajemnie podkradać kielbasę ze schowka. Dlaczego okradał więźniów? Był rok 1943, więc sam mógł mieć problemy – cała żywność szła na front, zaopatrzenie obozowej załogi było coraz gorsze. Być może robił to dla żartu, bo wiele świadectw potwierdza, że dokarmiał więźniów przynoszonym z domu jedzeniem. Tak czy inaczej więźniowie szybko się zorientowali, że ktoś korzysta z ich spiżarni. Potencjalnym podejrzanym stał się inny więzień. Nikt nawet nie pomyślał, że może to być esesman. W końcu zastawiono pułapkę. Starą puszkę wypełnioną olejem i farbą ustawiono tak, że jej zawartość musiała się wylać na osobę, która otworzy drzwi schowka. Kiedy więźniowie przyszli rano do pracy, ich oczom ukazał się rottenführer SS Lubusch umazany farbą. Przez kilka minut nic nie mówił. Wszyscy pracowali w milczeniu. W końcu podszedł do Kuli i powiedział cicho: „Dostaliście mnie”.

W maju 1944 roku Lubusch zrobił się nerwowy. Sam zaczął szukać kontaktów z ruchem oporu. Deklarował pomoc w ucieczkach w zamian za przechowanie go do końca wojny wraz z żoną i dzieckiem. Chciał także po wojnie otrzymać

świadczenie, że współpracował z ruchem oporu. Przez długi czas pośredniczył w przekazywaniu korespondencji pomiędzy krakowskim PPS a więźniami obozu. Poczta była zorganizowana tak dobrze, że listy wysłane z Krakowa już następnego dnia rano trafiały do adresata.

### **Obozowa miłość**

Podczas pracy w ślusarni Lubusch zaprzyjaźnił się ze swoim imiennikiem Edek Galiński. W obozie Galiński poznał Żydówkę Małą Zimetbaum. Zakochali się w sobie. Galiński wystarał się o przeniesienie do komanda instalatorów w obozie Birkenau, skąd planował ucieczkę. Pomysł opracowali wcześniej wspólnie z Wiesławem Kielarem, który po wojnie swój pobyt w obozie opisał w książce *Anus mundi*. Znalazły się tam informacje o ucieczce i o udziale w niej Lubuscha. Plan był prosty. Edek przebrany w mundur SS miał wyprowadzić więźniarkę poza teren obozu. Dalej, we wsi Kozy, miał im udzielić pomocy Antoni Szymalak. Mundur dostarczył Lubusch. Prawdopodobnie swój własny, bo z dystynkcjami rottenführera SS. Przekazał także pistolet z dwoma nabojami. Ucieczka się powiodła. Zgodnie z planem Edek i Mała dotarli do wsi Kozy, a potem przedostali się na Słowację. Ale 7 lipca 1944 roku szczęście przestało im sprzyjać. Schwytani, trafili do bloku 11 – bloku śmierci w obozie Auschwitz. Ich historia znalazła się w książce *Pozostał po nich ślad* Adama Cyry, historyka w Państwowym Muzeum Auschwitz-Birkenau, opisującego losy ludzi uwięzionych w bloku śmierci.

### **Dezertor**

Bojąc się, że Edek lub Mała nie wytrzymają przesłuchań, Lubusch zdezerterował. Któregoś dnia wyjechał z domu swoim motocyklem i już nie wrócił. Kiedy nie zjawił się na służbie, Niemcy rozpoczęli poszukiwania. Teraz za okazaną pomoc

odwdzięczył się teść, który pomógł Lubuschowi wstąpić do oddziału Armii Krajowej. W partyzantce awansował na etatowego Niemca. Dalej chodził w niemieckim mundurze, kontrolował samochody, eskortował więźniów. Przez kilka miesięcy zwodził okupantów i sam się przy tym doskonale bawił. Jego żona wraz synem mieszkali w Wadowicach. Marta pracowała jako tłumaczka w sądzie w Kętach. Nie miała pojęcia, że jej dom jest obserwowany przez gestapo. Podczas jednej z nocnych wizyt Eduard został aresztowany. Osadzono go w więzieniu w Bielsku. Wyrok był oczywisty. Kara śmierci. Napierające wojska sowieckie przeszkodziły w jej wykonaniu, a Lubusch został przewieziony do Berlina. Wiosną do obrony stolicy III Rzeszy potrzebne były każde ręce. Cofnięto wyrok i wcielono go do Volkssturmu, formacji o charakterze pospolitego ruszenia, powołanej przez Hitlera pod koniec wojny. Przy jednym z zabitych żołnierzy Lubusch znalazł dokumenty na nazwisko Bronisława Żołnierowicza, urodzonego w Kowaliszkach koło Wilna. Kolejny raz przydała się znajomość języka polskiego. Z nowym nazwiskiem wrócił do Polski.

Nie mógł zostać w Bielsku, bo tam znało go wiele osób. Krótki czas mieszkał wraz z żoną i małym synkiem w Gdańsku. Jako ślusarz miał sporo pracy. Niestety, ktoś go rozpoznał i cała rodzina musiała uciekać. Zdecydowali, że bezpieczniej będzie na wsi. Odtąd przeprowadzali się do różnych wiosek w Wielkopolsce: Krobii, Wierzowic, Rudnej Wielkiej, Luboszycy. Ledwo wiązali koniec z końcem. Przez kilka lat głodowali. Dopiero kiedy Żołnierowicz zaczął pracować w PGR-ach, sytuacja się poprawiła. Marta w tym czasie ukończyła kurs aptekarski i w Luboszycy dostali mieszkanie połączone z apteką. Tam urodziła się córka Krystyna.

**Twój ojciec jest esesmanem**

W 1956 roku Żołnierowiczowie z dziećmi przeprowadzili się do Jeleniej Góry, gdzie od kilku lat mieszkali rodzice Marty. Jan Kneblowski przez blisko dwa lata pisał pisma do urzędników o wydanie zgody na zakup domu przy ulicy Szpaczej 7. W 1959 roku dom został kupiony. W dokumentach znalazły się wyłącznie dane Marty Żołnierowicz. Rodzina starała się uważać, aby osoba Bronisław nie zwracała na siebie uwagi urzędników.

Przez kolejne lata Żołnierowicz zajmował się handlem. Prowadził wraz z żoną magazyn, w którym zaopatrywały się kioski spożywcze. Później był kierownikiem robót w przedsiębiorstwie melioracji. Miał pracę, dach nad głową, ale zaczęły nękać go choroby. W berlińskim więzieniu był przetrzymywany w celi zalanej wodą. Prawdopodobnie dlatego po wojnie zachorował na gruźlicę. Udało się ją wyleczyć, ale płuca były bardzo słabe, dostał astmy. Zły stan zdrowia spowodował, że w 1965 roku otrzymał rentę inwalidzką. Wtedy spadły na niego kłopoty.

Starszy syn Włodzimierz myślał poważnie o małżeństwie. Okazało się, że nie ma metryki urodzenia. Podobno spaliła się w czasie wojny i ojciec za wódkę załatwił odpis. Na jego podstawie wydano dowód osobisty i kolejne dokumenty. Jednak do ślubu potrzebny był oryginał metryki. Chłopak pojechał do Bielska i zaczął szukać. W kościele, w którym został ochrzczony, nie znalazł metryki Włodzimierza Żołnierowicza, ale Waldemara Lubuscha. Data urodzenia się zgadzała. W urzędzie nic nie wiedzieli o pożarze. Nie brakowało żadnych akt, ale w kartotekach figurował Lubusch. Kiedy chłopak powiedział ciotce, czego szuka, ta zaczęła krzyczeć. Mówiła mu, aby dał spokój, bo to się może źle skończyć. Jego ojciec był esesmanem w Auschwitz. Syn nie chciał uwierzyć. Po powrocie do domu próbował rozmawiać z ojcem. Ten jednak zamknął się w swoim pokoju i milczał. Tajemnica rodzinna wyszła na jaw. Pozostał

jednak problem metryki. Włodek na podstawie tej prawdziwej wystąpił o zmianę nazwiska i został adoptowany przez Żołnierowiczów. Po raz drugi został ich synem. Dzięki pieniądзом i znajomościom kolejny raz udało się ukryć prawdę.

### **PBP Orbis**

Któregoś lata rodzina Żołnierowiczów pojechała na wycieczkę do Gniezna. Przez przypadek podczas zwiedzania przyłączyli się do niemieckich turystów. Pilot oprowadzający grupę miał spore problemy z językiem. A kiedy tak się jąkał i dukał, Bronisław nie wytrzymał. Przez wiele lat ukrywał, że zna niemiecki. Był to jego język ojczysty, więc nie mógł go zapomnieć. Odezwał się. Po chwili pilot opowiadał o Gnieźnie, prosząc, aby tłumaczył. Najbliższe godziny były dla Bronisława wielką radością. Znów mówił po niemiecku. Postanowił, że na tym będzie polegać jego nowa praca. Zapisał się na szkolenie dla pilotów wycieczek i rozpoczął pracę w Polskim Biurze Podróży Orbis. W warszawskim archiwum Orbisu zachował się życiorys napisany własnoręcznie przez Bronisława Żołnierowicza. Zawarte są w nim powojenne losy rodziny Lubuschów.

Przez najbliższe lata oprowadzał wycieczki z NRD. Kiedy zdobył zaufanie przełożonych, przydzielono mu także grupy z Niemiec Zachodnich. Szybko zawierał przyjaźnie z zagranicznymi turystami. Rodzina stanęła finansowo na nogi. Kupił trabanta. Później skodę. Wiele osób przysyłało paczki z żywnością i ubraniami. Sam wyjeżdżał za granicę. Hotel Skalny w Karpaczu, jedyny dewizowy obiekt w okolicy, stał przed nim otworem. Przynosił do domu szynkę. Powoli zaczął zapominać o grożącym niebezpieczeństwie. W jednym z wycieczkowiczów rozpoznał mężczyznę z Bielska. Pamiętał go



jeszcze sprzed wojny. Po kilku dniach turysta stwierdził, że Broniek mu kogoś przypomina. Udał, że nie wie, o co chodzi.

### **Kolejna tragedia**

Niedługo po rozpoczęciu przez Żołnierowicza pracy w Orbisie córka Krystyna przyznała się matce, że jest w ciąży z młodym oficerem wojsk radiotechnicznych. Istniało ryzyko, że wojsko może sprawdzać członków rodziny swojego oficera. Nazwisko Lubusch wciąż znajdowało się na liście zbrodniarzy wojennych. Zdecydowali, że nie mogą ryzykować.

Nakłonili dziewczynę, aby nikomu nie mówiła o ciąży. Pod pozorem wyjazdu do szkoły z internatem wywieźli córkę do Wrocławia. Urodziła córkę Anię. Dzięki pomocy proboszcza z Wierzawicy, dziewczynkę adoptowało starsze, bezdziejne małżeństwo. Przez kolejne lata Żołnierowiczowie potajemnie utrzymywali z nimi kontakt. Kiedy Ania miała kilkanaście lat, powiedziano jej, że została adoptowana. Po śmierci ludzi, którzy ją wychowali, zaczęła szukać biologicznych rodziców. Dopiero w 2001 roku odnalazła matkę i kilka lat młodszą siostrę. Ojca nie poznała do dzisiaj. Jego nazwisko znajdowało się w oryginale aktu urodzenia, który został utajniony. Jak powiedziała, „jest już starszym człowiekiem i skoro do dzisiaj nie wie o moim istnieniu, to nie chcę mu burzyć całego życia”.

### **Dobry sąsiad**

– Bronisław Żołnierowicz był bardzo dobrym sąsiadem – wspomina Henryk Mackiewicz. – Mieszkaliśmy na Szpaczej, obecnie, od tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego dziewiątego roku Gałczyńskiego.

Opowiada, że zawsze był spokojny. Nigdy się nie spieszył. Chodził wolno, przesiadywał na ławce przed domem i palił fajkę. Tak zapamiętali go sąsiedzi. Syn Włodzimierz, który dziś mieszka w Poznaniu, mówi jednak, że ojciec był bardzo

nerwowo. Wiecznie bał się, że po niego przyjdą. Że ktoś doniesie.

W 1973 roku na mocy decyzji Urzędu Miasta zabrano im ponad połowę działki przylegającej do domu. Stracili ogród, który kupili wraz z domem. Nie protestowali. Woleli mieć spokój.

Któregoś dnia do Marty przyjechał były narzeczony z Bielska. Dowiedział się, że mieszkają w Jeleniej Górze, i postanowił ją odwiedzić podczas delegacji. Bronisław szybko się schował, ale gość zorientował się w sytuacji. Domyślił się, że mąż Marty to ten sam człowiek, którego znał sprzed wojny. Mimo to nie doniósł do bezpieczeństwa.

Eduard Lubusch zmarł w 1984 roku. Pozostał po nim nagrobek, na którym widnieje nazwisko Bronisław Żołnierowicz. Przez trzydzieści dziewięć lat ukrywał swoje prawdziwe nazwisko. Jego żona Marta zmarła piętnaście lat później. Przed śmiercią, trzymając za rękę swoją wnuczkę Joannę, powtarzała, że bardzo się boi.